WIESŁAW WERNIC

GWIAZDA TRAPERA

★★★★★

Wiesław Wernic

Gwiazda Trapera

Edited by Eskel

Dymy na wzgórzach

Kończył się dzień. Jeszcze tylko na krańcach horyzontu gorzały gasnące łuny. Potem kurtyna ciemności zasunęła się nad ziemią. Noc nadchodziła w ciszy i skupieniu.

Karol Gordon siadł na skalnym zrębie, tuż za kamiennym progiem oddzielającym naturalną platformę od zbocza, jakie na przemian stopniami nagich urwisk i porośniętych trawą łagodnych pochyłości spadało ku rozległej płaszczyźnie prerii. Ćmił fajeczkę i powtarzał w myślach, aż do znudzenia: „Jak dobrze siedzieć bezczynnie, jak dobrze jest słyszeć ciszę i widzieć mrok".

I kiedy tak powtarzał, czuł, że odpoczywa, że znika mu sprzed oczu diabelski krajobraz Bad Lands, najbardziej ponury właśnie w kłującym oczy blasku słońca, a w uszach milknie wreszcie świst wiatru wygrywającego dziką melodię wśród skalnych urwisk.

Z wędrówki wrócił przed kilku godzinami, szczęśliwy, że znowu jest u siebie, w domu. Chociaż tym „domem" była tylko dziwna kombinacja drzewa i kamieni, a to „u siebie" nie znaczyło nic. Przecież jak okiem sięgnąć, rozciągały się puste obszary, do których największe prawo mieli czerwonoskórzy wojownicy.

Ognisko rozpalone w zagłębieniu gruntu błyskało już tylko czerwienią węgielków. Nie dołożył ani jednej szczapki drewna. Było gorąco, parno, a blask ognia mógł stać się niebezpiecznym sygnałem.

Spoglądał przed siebie i w niebo, aż w górze poczęły migotać gwiazdy. Jakby wielki siewca rzucił z rozmachem garść srebrnego ziarna na ciemny firmament — i zaraz rozbłysły wszystkie, aż pojaśniało nad prerią. Tam, gdzie toczyła swe wody rzeka Powder, i tam, hen daleko, w dolinie Big Horn.

Spoglądał w niebo, aż odnalazł jeden, błękitnawo polśniewający punkt. — „Moja gwiazda— pomyślał. — Nie zawiodła mnie dotychczas".

—Nieźle się spisujesz, gwiazdo — powiedział półgłosem. — Jestem z ciebie zadowolony.

Błyszczący punkcik, srebrne ziarnko, jak gdyby mrugnęło w odpowiedzi. Potem zapłonął zimnym ogniem dysk księżyca. Odległą równinę pokrył świetlisty pył, który sypał się z nieba, tworząc scenerię, jakiej Karol nigdy dotąd nie oglądał. Duchota wzmogła się. A wraz z nią napłynęły z dali tajemnicze dźwięki, wśród których Karol rozpoznał urywane głosy

tchórzliwych wilków prerii — kojotów. Nagle nadpłynęła czarna chmura o zdumiewającym kształcie cwałującego mustanga. Szybko przebiegła pół nieba, pogasiła gwiazdy, dosięgła tarczy księżyca i wtedy uczyniło się czarno i nieprzenikliwie, jak w górskiej jaskini. Ale już po chwili niebo zapaliło się żółtym, migotliwym światłem. Błyskawica. Drżała przez kilka sekund. Preria stała się widoczna jak na dłoni. Blask wydobył z ciemności każdy jej szczegół. Karol zobaczył, jak przez płaszczyznę gna koń z człowiekiem na grzbiecie.

Jasność znikła. Wówczas grzmot nadciągnął powoli z dalekich krańców ziemi. Najpierw przypominał turkot ciężkich wozów, w chwilę później — rumor skalnej lawiny, wreszcie rozpękł się, tuż, tuż, przeraźliwym hukiem, który odbił się wielokrotnym echem od skał i górskich dolin. Spadły krople deszczu. Pierwszą poczuł na dłoni, drugą na nosie, gdy spod szerokoskrzydłego kapelusza zerknął ku niebu. Na dalsze nie czekał. Cofnął się pod dach z nie ciosanych bali, w głąb dziwnej ni to chaty, ni jaskini, która w swej głębszej części była już tylko skalnym tunelem.

Ledwie to uczynił, lunął wodospad szumu i świetlistej wilgoci. Drżąca ściana zasłoniła wejście, raz po raz zapalało się światło błyskawic, a po nim huczał grom. Karol namacał w ciemnościach prymitywny stołek, usiadł. Szum i huk ogłuszały go. Aż raptownie przestało padać. Z ostatnią błyskawicą pojaśniały gwiazdy. Księżyc odsłonił najpierw ćwierć, później połowę, na koniec całą swą tarczę. Zerwał się wiatr, przygnał zapach wilgoci i nocy.

Karol wyszedł spod dachu, odetchnął pełni piersią. Wtedy usłyszał ciche parsknięcie konia — jego własnego konia. Sięgnął w głąb czarnego przedsionka, zacisnął dłoń na lśniącej kolbie winchestera. Teraz odszedł w bok, ominął kałużę i wzdłuż kamiennej ściany, górską steczką przewędrował do miejsca, w którym zastygła lawina piargów spływała łagodnym zakosem ku nizinie. W bladym świetle dostrzegł tam, w dole, ciemną plamę posuwającą się z wolna ku górze. Skrył się za załomem skały i czekał. Niezbyt długo. Wkrótce usłyszał miarowe, lekkie postukiwanie. To był odgłos kopyt. Człowiek stąpał bezszelestnie. Oczywiście, to mógł być tylko — on.

Karol odetchnął. Tchórzem nie był. Tchórze nie wybierają na siedlisko ziemi pustynnej i dzikiej. Nie lubił jednak nieoczekiwanych spotkań z nieznanymi przybyszami! Ale teraz już był pewien, że ten przybysz nie jest mu obcy. Dlaczego jednak przybywa o tak dziwnej porze? Dlaczego gnał przez prerię nocą, w strugach ulewnego deszczu i błyskawicach burzy?

Po chwili ujrzał go, skąpanego w blasku księżyca.

— To–imniża? — zapytał wyraźnie, choć cicho.

Człowiek wspinający się po zboczu nie zatrzymał się, tylko podniósł głowę i tym samym tonem odpowiedział:

— Tanka–czan?

Karol odczekał chwilę, przepuścił przybysza i konia, który stąpał za swym panem, z cuglami zarzuconymi na kark, zupełnie jak wierny pies. Tak dotarli do chaty–jaskini, która w półmroku rysowała się jaśniejszym odcieniem belkowań. Tu człowiek, nazwany imieniem To–imniża, zdjął zwierzęciu uprząż wraz z derką, złożył przy wejściu i siadł na niej. Karol również przykucnął. Spoglądali na siebie w milczeniu.

— To–imniża bardzo się spieszył jadąc nocą i w burzę. Czy kto ścigał mego czerwonego brata?

— Mila–hanska.

— Żołnierze tutaj? — zdziwił się biały.

Skinienie głowy.

— Musieli zgubić twój trop w taką ulewę...

— Oni nie idą za moim tropem. Co uczynisz, gdy przyjdą w góry?

— Nic. Któż trafi do mego tipi?

— Czerwoni wojownicy.

Biały odetchnął głęboko:

— Czy wampum mego brata nic już nie znaczy?

— Jeśli Tanka–czan zdąży go pokazać... jeśli nie...

Karol zrozumiał. Miał wampum zapewniający mu przyjaźń i ochronę ze strony czerwonych wojowników. Jednakże w zamęcie walki... A zresztą, mogą strzelić zza najbliższego załomu skały. Kto spyta o wampum? Lecz skąd to wojsko? Na ziemiach zagwarantowanych traktatem jako wieczne władanie czerwonych plemion? Niezmierne przestrzenie od Black Hills na wschodzie aż po szczyty Big Horn miały być niepodzielną ojczyzną Dakotów, Czejennów i Arapahów. Co prawda rok nie minął, a w głąb Czarnych Gór wtargnęły bandy awanturników szukających złota. Lecz awanturnicy — to nie regularne wojsko!

Podniósł się i zniknął w czarnej głębi swego domu, aby po chwili zjawić się z wielkim kawałem pieczonej baraniny, owiniętym w liście. Położył na kamieniu przed Indianinem i czekał, aż niespodziany gość zaspokoi głód. Ale pytać już nie było potrzeby. To–imniża sam wyjaśnił:

— Mila–hanska zgromadziły się w forcie Lincoln. Szykują wyprawę. Tam gdzie słońce się skrywa.

— Na zachód — powiedział biały — ale może zawrócą? Jak myślisz?

— Czy mój biały brat widział kiedy tę samą kroplę wody płynącą w dół i znowu w górę rzeki? Czy można zobaczyć dzień, który minął? Nic się nie powtarza. — Umilkł, a po dłuższej przerwie dodał: — Gdy wstanie dzienna gwiazda, będę w drodze. Tatanka Yotanka czeka na mnie.

Karol przyjął tę informację jako zakończenie rozmowy.

— Przyjdzie czas — stwierdził Indianin — dowiesz się o wszystkim. Howgh!

— To wyglądało uspokajająco i groźnie jednocześnie — opowiadał mi po latach Karol Gordon. — Wiedziałem, że zostanę uprzedzony, że nie zaskoczą mnie nieprzewidziane wydarzenia, o ile w tak dzikich stronach było to w ogóle możliwe. Ale równocześnie bałem się. Wcale nie wstyd mi się przyznać do tego: piekielnie się bałem, że nadchodzi dzień, który zmusi mnie do dalszej wędrówki. Dokąd? Co prawda na trop To–imniża wpadł zapewne przypadkowo jakiś zabłąkany patrol kawaleryjski; co prawda fort Lincoln znajdował się o setki mil stąd, nad Missouri, ale To–imniża musiał mieć poważne powody do pośpiechu, jeśli gnał burzliwą nocą, a na odpoczynek poświęcił kilka zaledwie godzin.

Tak mówił Karol wygrzebując z pamięci tamte dni, powracając niekiedy do wydarzeń już opowiedzianych, aby dorzucić jeszcze jakiś szczegół niby drobny, ale ważny, który miał odegrać jakąś rolę w niezwykłej historii jego młodzieńczych przygód.

Początkujący poszukiwacz skarbów ziemi, początkujący traper, stawiający swe pierwsze kroki farmer, wreszcie doświadczony łowca skórek, westman związany licznymi węzłami

przyjaźni z plemionami pierwotnych mieszkańców północnoamerykańskiego kontynentu — Karol Gordon. Takim go właśnie poznałem.

Świt wstawał różowozielonkawy. Smużył blaskami na krańcach dalekiej równiny. Jeszcze było szaro i dopiero gasły gwiazdy, gdy To–imniża opuścił skalne schronisko.

Podali sobie ręce i rozstali się bez słowa. Gordon widział z wysokości skalnej platformy jeźdźca i konia, jak zagłębiali się w gardziel ciemnej doliny, aż znikli za jej zakrętem, hen, wśród jałowych obszarów Bad Lands. Potem spojrzał w przeciwnym kierunku, gdzie preria rozlewała się szmaragdowym morzem, stwarzającym złudzenie płaszczyzny gęstych traw. W rzeczywistości były to tylko kępki roślin poprzegradzane mieliznami piasków i żwirowa tych pagórków. Złudzenie było wynikiem odległości.

Karol przyglądał się uważnie, ale nie ujrzał nic, co mogłoby przypominać oddział żołnierzy. Odnalazł tylko stadko płochliwych antylop, a wiele mil w prawo — czarną plamę sunącą bardzo wolno: bizony. Nieco w lewo, i najbliżej, kłusował tabunek mustangów.

Preria budziła się i szła spać równocześnie. Puma, płowy lew amerykański, polująca na krańcach wzniesień, teraz, po nocnych łowach wracała na swe legowisko. Drapieżna sowa i tajemniczy lelek odleciały do gniazd i dziupli, wysoko, wysoko, gdzie szczyty górskie porastał las. Kojot krył się w norze, a grzechotnik wypełzał spod głazów, aby ogrzać się w promieniach wschodzącego słońca.

Karol zawrócił, minął swą dziwaczną chatę, zatrzymał się kilka kroków dalej przed poczerniałym prostokątem belek zamocowanych w litej ścianie skały. Zza tej zagrody ozwało się ciche rżenie. Zgrzytnęły belki na prymitywnych zawiasach. Z wnętrza wysunął się koński łeb. Zwierzę przymrużyło oczy i powoli, tupiąc kopytami, opuściło skalną stajnię. Karol poklepał je po szyi.

— Chodź — rozkazał i nie oglądając się ruszył przodem za jeden, drugi zakręt wijącej się ścieżki, która znikła nagle w miejscu, gdzie kolorowa skałka wyglądała jak przerąbana potężnym tomahawkiem legendarnego olbrzyma... Po dnie ciurkał szeroko rozlany, płytki strumień. Za cieśniną leżała Dolina Bajki. Tak ją Karol nazwał, gdy pewnego ciepłego dnia To–imniża zaprowadził go za kamienny próg. Kiedyś prawdopodobnie stanowiła dno górskiego jeziorka, gromadzącego przez wieki żyzny muł, na którym teraz rosła bujna trawa — spiżarnia dostarczająca jego wierzchowcowi paszy na cały rok. Cudowne schronienie, dokąd zima prawie nie docierała, a wejście wiodło jedynie poprzez pękniętą skałę. Z pozostałych trzech stron dostęp zamykały strome zbocza. W najdalszym krańcu doliny, na wysokiej ścianie, wygiętym łukiem drżał i pienił się miniaturowy wodospad. U podnóża wyżłobił płytkie, owalne wgłębienie, które z kolei zamieniało się w rzeczkę płynącą skrajem doliny aż ku naturalnemu wyjściu, a dalej — ginącą wśród piargów i skał. Karol nie zdołał odnaleźć dalszego ciągu strumienia. Prawdopodobnie jego skąpy nurt, nie zasilany żadnym dopływem, ginął w jakiejś szczelinie bez dna.

Bacznie zlustrował okolicę, później spojrzał ma swego konia. Zwierzę nie zdradzało niepokoju. Pobiegło do strumienia, schyliło głowę, piło długo, a potem poczęło się tarzać wśród traw. Karol zawrócił.

Mrok ustępował. Światło rannej zorzy wspięło się nad okoliczne grzbiety, aż wreszcie rozbłysło w pianach siklawy, która nagle poróżowiała. Karol rozpoczął swój codzienny obrządek: rozpalenie ognia, przyrządzenie posiłku, wreszcie — obchód swej skromnej

posiadłości. W pobliżu nie odkrył żadnych nowych śladów: ani człowieka, ani zwierzęcia. Nigdy zresztą nie dotarł tu żaden piechur poza To–imniża. Indianin był właśnie odkrywcą tego zakątka, on go wskazał Karolowi. To królestwo skał, dolin, pustaci i czarnych borów zamieszkiwały stada dzikich, wielkorogich owiec górskich. Od nich to wzięło nazwę całe pasmo — Big Horn. Od nich przybrała nazwę rzeka płynąca z południa na północ. Obok owiec, na podmokłych dolinach, żerowały łosie. Tam właśnie bobry wznosiły swe żeremia, tam pojawiał się czarny niedźwiedź wędrujący z połonin, a puma przemykała chyłkiem na nocne polowania. Ta kraina zwierząt, piękna w swej urodzie pierwotnej przyrody, sprawiała Karolowi sporo kłopotów. Leżała zbyt daleko od miejsc, gdzie można by zaopatrzyć się w amunicję, w mąkę, w suszoną kukurydzę dla konia, w mnóstwo innych, ale nieodzownych drobiazgów. Gdyby nie pomoc To–imniża, Karol niejeden raz cierpiałby niedostatek. Do najbliższego fortu Laramie droga była daleka i uciążliwa, toteż tylko dwukrotnie tam się wybrał, i to dopiero z początkiem wiosny. Były to zresztą ryzykowne wyprawy. I gdyby nie pomoc Indianina, nie przewiózłby cennych futer upolowanych w zimie zwierząt i nie sprzedałby ich handlarzowi. Bo chociaż łatwiej na i tych pustkowiach spotkać czworonoga niż dwunoga, od czasu do czasu przemykały tędy grupki „ludzi znikąd", awanturników, którzy zaniechali wyczerpującego siły, mozolnego poszukiwania złotego piasku i przerzucili się na rozbójnicze rzemiosło, czatując przy najbardziej uczęszczanych szlakach na wracających z Czarnych Gór, obciążonych złotem szczęśliwców, którzy trafili na skarby ziemi. Ale nie gardzono i futrami, o czym Karol Gordon doskonale wiedział. Zresztą amatorami futer byli również czerwonoskórzy mieszkańcy tej ziemi. Przed rabunkiem ze strony wojowników Dakota chronił trapera wampum otrzymany od To–imniża, ale przecież kręciły się w okolicy watahy Czejennów, Kruków i Szoszonów, a któż potrafi z daleka rozpoznać plemienną przynależność? Dlatego osobiste bezpieczeństwo opierał Karol na sprawności nóg swego konia, tylko w ostateczności zdając się na odstraszający huk swej strzelby. Wiosenną wędrówkę miał już za sobą, i to z bardzo pomyślnym wynikiem. Za futra baranów, za skóry bizonie i niedźwiedzie otrzymał sumę wystarczającą na zakup amunicji i innych zapasów.

Teraz, z wiosną, zaczynał się okres odpoczynku. Bowiem poza bizonami, skóry wszystkich zwierząt futerkowych traciły swą wartość, liniały, świeciły gołymi plackami. Któż by je kupił? Więc obecnie polował tylko wtedy, gdy trzeba było uzupełnić mięsem własną spiżarnię.

Karol ruszył dobrze sobie znaną ścieżką prowadzącą ku rozległej połoninie, porosłej rzadką trawą. W górze czernił się górski bór jodeł i świerków o zielonym poszyciu, z którego tu i ówdzie sterczały niziutkie krzaczki borówek i jagód, jeszcze pozbawione owoców.

Wysoko, wysoko, pod niebem, poranny wiatr dał o sobie znać głębokim szumem konarów, trzepotały niewidoczne skrzydła, wśród ptasich nawoływań zwracał uwagę zadziwiający dźwięk wydawany przez nie znanego Karolowi przedstawiciela skrzydlatych: brzmiał jak tykanie wielkiego zegara. Za każdym razem rozlegał się przez kilka sekund, monotonnie i rytmicznie, aby ucichnąć nagle, właśnie tak, jak cichnie zegar, kiedy zatrzymać wahadło. Odezwał się tuż przy pierwszych pniach jodłowych olbrzymów, w półmroku padającym od potężnych konarów.

— Jak się masz, zegarku? — powitał go Karol półgłosem.

Zbocze pięło się łagodnie, rzedła gęstwa leśna, wreszcie linia lasu urwała się raptownie; zaczynał się tu splątany pas kosodrzewiny, najtrudniejszej do przebycia. Gdy traper go przebrnął, wyszedł na łąkę błyszczącą od rosy w promieniach słońca, które rąbkiem swego koliska wyjrzało zza szczytu. Zwolnił kroku, zdjął strzelbę z ramienia i począł szukać odcisków racic. Od tej łączki aż hen, po same grzbiety gór, ciągnęło się królestwo dzikich owiec. Odcisków nie znalazł. Powędrował więc dalej i wyżej, zakosami, raz w prawo, raz w lewo, aż dotarł na kraniec łąki, za którą leżały pokłady szutru, drobnych odłamków skalnych i wielkich głazów. Dalej dźwigały się potężne, granitowe bloki o dziwacznych kształtach. Nigdzie nie znalazł tropów. Nocny deszcz zmył stare ślady, nowych nie było.

Postrzępione garby górskiego grzbietu leżały tuż, tuż, tylko ręką sięgnąć, ale Karol wiedział, że dzieli go od nich odległość spora, że w niezwykle przejrzystym powietrzu przestrzeń maleje, a złudzenie to było zawsze tak silne, iż w pierwszych tygodniach pobytu w tych stronach wielokrotnie padał ofiarą pomyłek.

Siadł pod skałą uważając, aby sylwetka jego nie rzucała cienia, i czekał. Wreszcie zauważył na grzbiecie górskim najpierw trzy, później pięć znajomych sylwetek. Dzikie owce. Szły powoli, ale odległość była zbyt duża. Podejść do stadka nie mógł, żeby go nie spłoszyć. Więc czekał na szczęśliwy traf. Czekanie jest cnotą myśliwego i decyduje o sukcesie w takim samym stopniu, jak dobre oko i pewna ręka.

Zwierzęta poczęły spokojnie schodzić w stronę łączki. Na czele kroczył przewodnik stada — baran z potężnymi, zakręconymi rogami. Przystawał co pewien czas, jak gdyby przeczuwając niebezpieczeństwo. Jednakże Karol mógł już rozróżnić szarobrązową barwę gęstego runa — nie zdążyły jeszcze zrzucić zimowych kolorów, latem stawały się brązowożółte.

Czekał z zapartym oddechem. Nagle całe stado zawróciło i ostrym galopem pognało w stronę górskiego grzbietu. Coś je spłoszyło?

Nadal tkwił nieruchomo w tym samym miejscu, oczekując ukazania się płowej pumy — największego wroga owiec, albo czarnego misia, który co prawda żywił się przede wszystkim leśnymi jagodami, ale z braku jagód nie gardził i mięsem. Zwłaszcza teraz, po przebudzeniu się z zimowego snu. Nie ukazał się jednak żaden z drapieżców. Karol odczekał jeszcze chwilę, potem ruszył owczym tropem. Odciski racic raz ginęły, raz ukazywały się na miększym podłożu, aż znikły ostatecznie na drożynce wysypanej skalnymi okruchami. Wiodła prosto w górę, tam więc się skierował. Pragnął osiągnąć grzbiet górskiego pasma, gdzie nic nie zasłaniało widoku. Z takiego punktu obserwacyjnego najłatwiej dostrzec wędrującą zwierzynę. Horyzont olbrzymiał z każdym krokiem 1 wkrótce odsłonił się bezmiar przestrzeni — kolorowe szczyty, zieleń trawiastych dolin czerń rosnących na podgórzu dębów, białego orzecha i wiązów.

Na prawo, w najbliższym sąsiedztwie, ze zbocza góry rozbłyskującego maleńkim lodowcem, spływała nitka białego potoku. Na lewo — za dwoma ostrymi wierchami — szczyty przechodziły w pogórze rysujące się wyraźnie długim szeregiem kopulastych wzniesień, coraz niższych, w miarę jak oddalały się ku horyzontowi.

Owce gdzieś się skryły, bo nie zdołał ich wypatrzeć, ale nad jednym ze wzgórz ujrzał wąski słup czarnego dymu. Strzelił ku niebu i nagle zgasł. I znowu uniósł się, i znowu zniknął. Zadziwiający obraz dla człowieka, który nigdy nie przebywał na ziemiach zwanych potocznie Dzikim Zachodem. Karol jednak spędził tu okres czasu wystarczająco długi, by

poznać zwyczaje mieszkańców tej krainy. Doskonale widział, w jaki sposób powstaje i znika dym: ogień rozpalony przy pomocy mokrego drzewa i raz po raz nakrywany mokrą płachtą — indiańskie sygnały.

Jaką wieść przekazywały?

W Cheyenne i dalej

— Nie zapomniałem o tamtym dniu — opowiadał Karol Gordon — ani o słupach dymu, które stopniowo jak gdyby wędrowały z pagórka na pagórek, aż znikły za horyzontem. Nie wiedziałem wówczas, że te sygnały są zapowiedzią końca mego pobytu w górach Wielkiego Rogu. Tak, bawiłam tam prawie rok i dobrze mi było.

— Jednak w końcu dowiedziałeś się...

— Oczywiście. Zostałem zaskoczony wieścią, która zmusiła mnie do dalszej drogi. Bo tej wieści nie przewidziałem. Cóż, nie miałem jeszcze wtedy doświadczenia.

— I to był koniec twej eskapady.

— Prawie koniec...

— A jak wyglądał początek?

— Nie wiem, czy potrafię... Widzisz, zapomina się o szczegółach, a bez nich cała rzecz może wypaść niezrozumiale.

— Nie martw się o to! A teraz słucham, od początku...

Początek przypadł na pewien jasny majowy ranek w Cheyenne, mieście położonym na samiutkim południowym krańcu terytorium Wyoming. Tu kończyła się podróż wagonem dla wszystkich, którzy wędrowali na północ, a nie na zachód, dokąd biegły szyny transkontynentalnej kolei Union Pacific Railroad.

Trzy wagony osobowe, jeden towarowy — to był cały skład pociągu. Wagon towarowy niezbyt pełen, ale osobowe tak przeładowane, że podróżni tłoczyli się nawet na platformach i na stopniach. Większość tych pasażerów w jednym jechała kierunku — ku Black Hills. Cóż stało się przyczyną masowej wędrówki?

Do roku 1874 granica obszaru, który biali osadnicy — słusznie czy niesłusznie — nazywali „cywilizowanym światem", biegła korytem Missouri. Rzeka dzieliła indiańskie ziemie na zachodzie od częściowo skolonizowanych wschodnich stanów. Tu wzniesiono w kolejnych latach wojskowe strażnice i forty. Od południa aż ku odległej północy forty: Old Sully, Pierre, New Sully, Yates, Lincoln, Clarke, Berthold, Buford. W tym samym 1874 roku rząd Stanów Zjednoczonych postanowił wysłać poza Missouri wojskowo–naukową ekspedycję. Dowództwo nad nią powierzono generałowi Jerzemu Armstrongowi Custerowi, doświadczonemu oficerowi, który podczas wojny Południa z Północą uzyskał stopień generała oraz opinię najlepszego oficera kawalerii Stanów Zjednoczonych.

Ekspedycja Custera, posuwając się ze wschodu na zachód, z terytorium Południowej Dakoty doliną rzeki Fourche, dotarła do odosobnionego pasma Gór Skalistych, zwanego Black Hills — Czarnymi Górami — obszaru uważanego przez pobliskie plemiona czerwonoskórych za ziemie zamieszkałe przez duchy ich przodków. Dlatego rzadko kiedy zapuszczali się tam czerwoni wojownicy. W tej krainie pierwotnej przyrody żyły tylko łosie, jelenie, antylopy i niedźwiedzie. Krążyły legendy o olbrzymich żeremiach bobrów

zakładanych na rozlewiskach górskich potoków, o stuletnich bobrach—olbrzymach z futrem siwym lub srebrzystym.

Tak opowiadano przy indiańskich i traperskich ogniskach, a dodawano jeszcze, iż na widok człowieka bobry wychodziły na brzeg witać nieznanego przybysza.

Przemierzywszy w poprzek Czarne Góry podjazdy Custera po raz pierwszy w tej wyprawie zetknęły się z Indianami. Byli to wodzowie Dakotów (przezywanych również Siuksami): Powolny Byk i Długi Niedźwiedź. Zawiadomiony o spotkaniu, Custer przybył ze swym sztabem i przez tłumacza oświadczył zaniepokojonym gospodarzom ziemi: „Wielki Ojciec pragnie dowiedzieć się, jak wygląda kraina Czarnych Gór. Po to nas tu przysłał. Spełnimy jego wolę i zbadamy ziemię należącą do czerwonych ludzi, a uczyniwszy to wrócimy za Missouri".

Czy obietnica ta była szczera, czy miała na celu jedynie uspokojenie wodzów plemienia Dakota, nie sposób obecnie rozstrzygnąć. Faktem jest, że wyprawa Custera we wrześniu tego samego roku powróciła na wschód.

Być może, iż na świeżo odkrytych terenach zapanowałby na długie lata spokój, gdyby nie wieści przyniesione przez żołnierzy i towarzyszących Custerowi dziennikarzy. Głosiły one fantastyczną pochwałę Black Hills jako raju myśliwych i skarbca pełnego złota. Ta wiadomość, wyolbrzymiona, popłynęła na skrzydłach wiatru na wschód i na południe, znajdując powszechną wiarę. Już w październiku, niecały miesiąc od chwili powrotu Custera, z miejscowości Joncy wyruszyła grupa trzydziestu mężczyzn pragnących odkryć górskie skarby. Innych — bo chętnych było więcej — przestraszyły wieści o nieprzystępności terenu i o agresywnej postawie Indian wobec białych. Trzydziestu śmiałków — częściowo awanturników, którzy nigdy nie żyli z własnej pracy, częściowo biedaków liczących na szybkie wzbogacenie się — zakupiło pięć wozów, konie i broń. Opowieści o ich wędrówce dochodziły do ciekawych uszu tak długo, jak długo nie opuścili granic ostatnich osad. Później wszystko ucichło, aż do kwietnia następnego roku. Wówczas bowiem, w samym sercu Black Hills dopadł wędrowców specjalnie wysłany szwadron kawalerii i zmusił do opuszczenia zajętego terenu a prowizoryczne osiedle spalił. Ten zaskakujący przypadek komentowano jednogłośnie — rząd pragnie zachować dobre stosunki z Indianami. Trzydziestu ludzi wypędzonych z Black Hills rozjechało się na wszystkie strony rozgłaszając, że w Czarnych Górach dosłownie depcze się po złocie, które można garściami zbierać. Opowiadali również o głodzie, o mrozie, o siedemnastu bitwach stoczonych z czerwonoskórymi. Efekt tych opowiadań był taki, że wzmogło się zainteresowanie dziewiczymi ziemiami. Teraz już nie trzydziestu śmiałków, ale setki żądnych wzbogacenia się poczęły płynąć nieprzerwanym strumieniem ku wymarzonym terenom.

Oto właśnie dlaczego w majowy ranek przybył do miasta Cheyenne pociąg zatłoczony pasażerami. Nie pierwszy i nie ostatni. Podróżni wysiadali szybko, tak szybko, że sprawiało to wrażenie ucieczki. A było tylko pogonią za znalezieniem najszybszego środka lokomocji. Z Cheyenne do Laramie — pośredniego przystanku na drodze do Czarnych Gór — jeździł dyliżans. Iluż jednak mógł zabrać pasażerów? Od dziesięciu do dwunastu. Z Cheyenne do Laramie odległość wynosi sto mil, na następny kurs dyliżansu należało czekać cztery do pięciu dni a przez te dni mieszkać w Cheyenne, płacąc za nocleg i za wyżywienie. Większość wędrowców rozporządzała bardzo skromnymi funduszami. Bogatsi nie korzystali z kolei. Kupowali wozy, muły lub konie, aby móc podróżować nie licząc się z trudnościami

transportu, aby móc zabrać odpowiedni zapas żywności, która stawała się coraz droższa, im dalej posuwano się na zachód. W Cheyenne opowiadano, że w okolicach Laramie cetnar mąki kosztuje sześćdziesiąt dolarów, co było wówczas niesłychanym zdzierstwem, nie spotykanym nigdy przedtem ani nigdy później nawet w tych dzikich stronach. Nie bez przyczyny więc niektórzy twierdzili, że szybciej można wypełnić kieszenie na dostawach żywności niż na złocie. Jakoż znalazło się kilku ryzykantów wożących mąkę w głąb Czarnych Gór, a przywożących... woreczki złotego piasku. Zdobytego drogą wymiany, bez uciążliwego szukania w wodach zimnych jak lód górskich potoków, powodujących rozliczne choroby wśród poszukiwaczy, często kończące się nagłą śmiercią.

O tych sprawach dobrze wiedziano w Cheyenne, ale pasażerowie każdego pociągu i każdej karawany wozów ciągnących ze wschodu albo bagatelizowali te informacje, albo wierzyli, że zdołają pokonać wszelkie trudności na drodze wiodącej do zdobycia fortuny. Tylko bardzo nieliczni brali do serca przestrogi i bądź zawracali na wschód, bądź też, pozostając na miejscu, wybierali zawód mniej niebezpieczny od poszukiwania złota.

Jednym z ostatnich pasażerów, jacy opuścili kolejowy wagon, był młody człowiek, chociaż już nie chłopiec i nie podrostek. Różnił się jednak od współtowarzyszy podróży nie młodym wyglądem — takich było wielu — lecz ubraniem! Było zbyt nowe, zbyt czyste, zbyt rzucające się w oczy w tym tłumie prawie obdartusów. Młody człowiek nosił strój traperski: jelonkową bluzę z licznymi kieszeniami, spod której wyzierała niebieska kamizela i kraciasta koszula. Spodnie, ozdobione frędzlami, wyglądały jak przed chwilą nabyte w eleganckim magazynie ubrań, w którymś z miast Wschodu — co było zresztą zgodne z prawdą.

Z lewego ramienia zwieszała się na szerokim rzemieniu torba uszyta z nieprzemakalnego płótna, mocno wypchana. Na ramieniu prawym wisiała na pasku wielostrzałowa, długa broń, popularnej marki „Winchester". Ta broń również wyglądała, jak nabyta zaledwie wczoraj od rusznikarza.

Właściciel tej broni, worka i ubrania, opuściwszy stacyjny peron, zatrzymał się na skraju ulicy, gdzie w prawo i w lewo ciągnęły się szeregi domów różnej wysokości, różnego kształtu i różnej barwy, zależnie od fantazji czy umiejętności budowniczego.

Cheyenne było już sporym miastem, stolicą terytorium Wyoming, a przede wszystkim jednym z początkowych etapów drogi wiodącej ku Czarnym Górom. Dlatego miasto szybko się rozwijało. Przybysz tkwił w miejscu i przyglądał się przechodniom, wozom ciągnionym przez woły, przez muły lub konie. Wozom nakrytym płótnem rozpiętym na półkolistych obręczach, które przeszły do historii Dzikiego Zachodu pod nazwą „okrętów prerii". Sam nigdy dotąd nie był na Dzikim Zachodzie, a to miasto, chociaż spore i rojne, pachniało już wonią dalekich przestrzeni (przynajmniej tak mu się wydało), budynki miały w swych kształtach i kolorycie coś z egzotyki.

Przybysz nie posiadał konia, jak zresztą wszyscy jego towarzysze z kolejowego wagonu. Ale on, w przeciwieństwie do wielu innych, nie miał pieniędzy na kupno wierzchowca. W kieszeni pozostało niewiele dolarów na opłacenie noclegu i niewybrednego posiłku. Ile jednak takich noclegów i posiłków trzeba będzie opłacić, zanim trafi się okazja opuszczenia Cheyenne w czyimś wozie, bo o miejscu w dyliżansie nawet nie marzył? Już jadąc pociągiem zorientował się, że w Chicago naopowiadano mu wierutnych bajek o łatwości drogi na Zachód, o nielicznych śmiałkach wybierających się na awanturniczą wyprawę. Liczba pasażerów pociągu zamiast maleć w miarę zbliżania się ku Zachodowi — wzrastała. Na

malutkich stacyjkach tłumy wdzierały się do wnętrz wagonów, aż zrobiło się tak ciasno jak śledziom w beczce. Od którejś tam stacji wozy obiegła wieść o drożyźnie w zachodnich osiedlach o niedostatkach transportu i olbrzymich sumach żądanych za konie. I dlatego obcy gość w obcym dlań Cheyenne mocno teraz żałował pieniędzy wydanych na elegancki ubiór. Ale ponieważ żal niczego nie naprawi, a stanie w miejscu nie usunie trudności — ruszył wolno wzdłuż linii domów znaczonej występami sklepów o najdziwniejszych nazwach i godłach wymalowanych na szyldach i witrynach. Zatrzymał się przy niskich drzwiach, nad którymi widniał napis: „Hells Saloon".

Wzdrygnął się i równocześnie roześmiał na widok tak zdumiewającej nazwy. Zawtórował mu śmiech inny. Odwrócił się. Kilka kroków dalej stał wóz o wysokich kołach, nakryty płócienną budą, zaprzęgnięty w dwa muły. Na koźle tkwił człowiek w dziwacznym kapeluszu, o twarzy spalonej słońcem, z długą, siwą brodą i takiejże barwy wąsiskami. To on się śmiał.

Wędrowiec mimo woli wzruszył ramionami.

— Dziwna nazwa — powiedział, jak gdyby chcąc usprawiedliwić swą wesołość. — Dużo tu takich piekielnych knajp?

— Och, młody człowieku, wiem tyle, co i ty. Ale to nie piekło, tylko nazwisko właściciela. Także bardzo dziwne. Jakże się tu do niego zwracać: „Dzień dobry, panie Piekielny?"

— Dziadku, chciałbyś się nazywać Piekielny? — zagadnął niespodzianie jakiś dziecinny głos.

Wędrowiec dopiero teraz zauważył, że obok woźnicy na koźle przycupnął mały chłopaczek w żółtym kapeluszu o wielkim rondzie, przypominającym słonecznik.

— To nieważne, Jack — odparł dziadek. — Co tam znaczy nazwisko? Każde jest dobre. Ale ponieważ ja się nazywam Heart i ty się nazywasz Heart, i twój ojciec, i twoja matka, po cóż mielibyśmy zmieniać na jakieś inne? A myślę, że Heart to coś więcej znaczy od Hell. Nieprawdaż, młody człowieku?

— Na pewno, ale ja nie jestem taki młody, jak się panu wydaje, a nazywam się Gordon.

— No proszę! Nie ma się o co obrażać. Jak zaczniesz nosić taką brodę, wszyscy dla ciebie staną się młodzi. Mówię ci to z serca, jakem Heart.

„Wcale sympatyczny staruszek" — pomyślał Gordon i zapytał: — Dokąd jedziecie?

— Czy to trudno zgadnąć? I ty tam zmierzasz, młody... przepraszam... panie Gordon. Ładną masz broń. Dobrze służy? Bo czasem strzelec świetny, ale fuzyjka kiepska. Częściej jednak trafia się odwrotnie.

Był to wyraźny przytyk, ale Gordon odparł skromnie:

— Każdemu zdarza się spudłować, zwłaszcza na początku. Pokazałbym, jak się strzela, ale nie ma do czego.

— Czekasz na kogo? — zapytał stary człowiek.

Pokręcił przecząco głową.

— Masz konia?

Znowu zaprzeczający gest.

— Do Czarnych Gór na piechotę? A może zostajesz w Cheyenne?

— Nie po to tu przyjechałem.

— Więc co zamierzasz?

Już chciał burknąć, że nie przywykł do odpowiadania na tyle pytań naraz, ale się powstrzymał.

— Czekam, aż mnie pan zaprosi do swego wozu, panie Heart. Droga daleka i będzie pan miał sporo czasu dowiedzieć się, kim jestem a ja nie mam nic do ukrywania.

Stary pogładził siwą brodę, a siedzący obok niego malec roześmiał się. Wówczas rozwarły się wahadłowe drzwi saloonu, na progu ukazali się kobieta i mężczyzna. I ona, i on nieśli po dwie pękate butelki z ciemnego szkła.

— Jak tam? — zagadnął starzec.

— Wzięliśmy, co było najlepszego.

— Pokaż.

Jedna z butelek powędrowała do rąk woźnicy. Obejrzał dokładnie etykietę i pokiwał głową na znak aprobaty.

— Schowaj to, Ab, schowaj dobrze, żeby się nie potłukło. Nie wcześniej jak za rok ujrzymy znowu jakikolwiek saloon, a zima tam podobno jest bardzo ostra.

Tymczasem mężczyzna nazwany imieniem Ab skierował się do tyłu wozu i uniósł plandekę, by dostać się do wnętrza. Gordon odprowadził go wzrokiem i — ku swemu zdziwieniu — dostrzegł dwa konie przywiązane do pałąka budy. Jeden z nich dźwigał na sobie siodło, drugi służył widać za luzaka, bo założono mu tylko prymitywny kantar. Ale po chwili wyskoczył z wozu.

— No to już, gotowe — stwierdził. — Mamy wszystko, co potrzeba, możemy ruszać.

— Tak nie mów, Ab — zganił go starzec. — Przydałoby się jeszcze coś niecoś, ale że wóz i tak przeładowany, czas nam opuścić Cheyenne. Obejrzyj Katy, wydało mi się, że kuleje na prawą tylną nogę.

Wydawszy takie polecenie zeskoczył z wozu ze zręcznością i szybkością młodzieniaszka. Gdy Ab skrupulatnie badał kopyta muła, nazwanego kobiecym imieniem, starzec podszedł do Gordona, ujął go pod ramię i odprowadził kilka kroków w bok.

— Słuchaj — powiedział — wyglądasz na porządnego chłopaka. Zaczekaj chwilkę, pogadam z synem.

Zostawił Gordona i wrócił do Aba.

— Chodź, synku, na stronę, coś ci mam do powiedzenia.

Znikli sprzed oczu Gordona za płócienną budą. Tymczasem kobieta, najpewniej żona Aba, wdrapała się na kozioł i siadła przy chłopcu obejmując go ramieniem. Coś do siebie mówili. Gordon odgadł, że to on właśnie jest tematem cichej wymiany zdań, bo chłopiec parokrotnie zerknął w jego stronę, a kobieta spojrzała raz jeden, ale dłużej, jakby oceniając postać nieznajomego.

Tymczasem słońce zdążyło przewędrować z jednej strony ulicy na drugą. Gordon, który dotąd stał w cieniu, znalazł się w pełnym blasku południa, a chociaż był to dopiero maj, skórzana kurta zaraz poczęła parzyć, strzelba — ciążyć, a rzemień, na którym wisiał tobołek, boleśnie wrzynał się w ramię. Zamarzył, aby nagle znaleźć się pod cienistą budą wozu, cisnąć tobołek, odstawić strzelbę i beztrosko obserwować, jak droga ucieka spod kół.

Wreszcie zza zasłony budy wyjrzeli obaj naradzający się mężczyźni. Młodszy zbliżył się do Gordona i wyciągając rękę powiedział:

— Jestem Abel Heart. Ojciec mówił mi o panu. Druga strzelba na pewno w drodze się nam przyda. Mamy tylko jedną. Czy jeździ pan konno?

— Oczywiście!

— W naszym wozie jest dość ciasno, ja sam jadę wierzchem, ale mamy jeszcze luzaka.

— Widzę — odparł Gordon niechętnie, nieco zaniepokojony perspektywą jazdy na oklep.

— Siodło również się znajdzie — rozproszył jego obawy Abel. — Nie najlepsze, ale zawsze...

Najlepszym na pewno nie było. Kiedy je odebrał z rąk Aba, krytycznym okiem ocenił wartość wysłużonej uprzęży: łaty i cery. Jednak całość wyglądała solidnie. Osiodłał konia, której to czynności Abel Heart przyglądał się bacznie, pewnie niezbyt przekonany o jeździeckich umiejętnościach nieznajomego. Bo można nieźle trzymać się na siodle, nie bardzo umiejąc to siodło założyć, ale kto potrafi obchodzić się z uprzężą, potrafi trzymać się na końskim grzbiecie. Cichy egzamin wypadł widać pomyślnie, bo Ab poufale klepnął Gordona w ramię i stwierdził:

— Umiesz robić przy koniach! Chodź, poznasz moją żonę.

Ruszyli ku przodowi wozu.

— To nasz nowy towarzysz, Jessie. Nazywa się Karol Gordon. A to moja żona Jessie i mój syn Jack. Myślę, że będzie nam razem dobrze, a jak nie, to się rozstaniemy.

Gordon przytaknął niezbyt skwapliwie. Myśl o rozstaniu na pustkowiu (a przed nim było tylko pustkowie, nic więcej) mogła przerazić najodważniejszego. Wydaje się, że stary Heart, który coś tam majstrował przy uprzęży mułów, zrozumiał rzecz podobnie.

— No, no. Nie będzie aż tak źle. A gdyby nawet... Nikt nie powie, że Samuel Heart zostawił samotnego człowieka bez konia w miejscu, gdzie diabeł odbywa swe harce, a powiadają, iż Złe Ziemie to diabelskie królestwo. No, ruszajmy!

— Przecież ja tak nie myślałem — usprawiedliwiał się Ab. — Tylko tak jakoś wypadło.

— Drobiazg — stwierdził Gordon i wskoczył na siodło.

— Wszystko w porządku? — zapytał Samuel Heart zajmując miejsce na koźle. — Buda zapięta? Uważajcie na tył wozu. Nie ma nigdzie tylu złodziei co w mieście. Wio, małe! Naprzód, Katy! Ciągnij, Kully!

Muły szarpnęły, obłoczek kurzu zbił się spod kopyt.

— Co to znaczy, Kully? — zagadnął Gordon młodego Hearta.

Posuwali się strzemię w strzemię tuż za wozem.

— Doprawdy nie wiem. Takie imię, jak mi powiadano, nosiła kotka mego pradziadka Jonathana i kotka mego dziadka, i kotka mego ojca, dopóki nie utonęła w studni. Więcej kotów nie trzymaliśmy. Jak ojciec nabył tę parę mułów, zaraz jednego nazwał Kully. Ja myślę że to skrót jakiegoś imienia. A tylko pradziad Jonathan mógłby zdradzić tę tajemnicę.

Gordon spojrzał bystro w twarz informatora Sądził, że żartuje, nie dostrzegłszy jednak cienia uśmiechu, sam pohamował wesołość.

Posuwali się wciąż prosto, jedną i tą samą ulicą, na której przechodniów było coraz mniej i coraz mniej sklepów, aż zwarta linia domów i domków poczęła przypominać zaniedbane uzębienie człowieka: coraz więcej dziur, pustych placów, wreszcie zabudowania w ogóle znikły. Ich miejsce zajęły jakieś szałasy, budy, a nawet ziemianki wygrzebane w piaszczystym gruncie. Gdzieś z boku wyskoczyła sfora zdziczałych psów, tu i tam stały grupki obdartusów. Gordon pomyślał, że spacer tędy nocą byłby na pewno nie mniej niebezpieczny od wyprawy do Czarnych Gór. Powiedział o tym. Abel przytaknął.

— To są plewy wielkiej wędrówki — wyjaśnił.

— Jak to?

— Proste. Daleka droga odsiewa ziarno od śmieci śmiecie zostają. Te budy i jamy zbudowali ci, którym nagle zabrakło chęci na dalszą podróż, a pieniędzy na powrót. Albo może nie mają dokąd wracać?

— Skąd pan o tym wie?

— Opowiadano mi. Staliśmy tu dwa dni. Prawdę powiedziawszy, rozglądałem się za jakimś pasażerem na przyprzążkę. Jedna strzelba na cztery osoby to niewiele.

— Indianie?

— Nie tylko. Odkąd rozniosła się wieść o złocie nie zabrakło amatorów szybkiego wzbogacenia się cudzym kosztem. Mówiono mi o napadach na karawany. Rabują konie, których tu brak.

— A droga? — zagadnął Gordon. — Czy znacie drogę?

— Ktoś ją na pewno dobrze zna. Trzymam zakład, że spotkamy sporo wozów jadących w tym samym kierunku. Ojciec rozmawiał z takim, który już był w Black Hills. Opowiadał, jak tam dojść. Sprawdzałem te informacje w Cheyenne. Są dobre.

— A złoto? Mówił co o złocie? Dużo tego?

— Jeśli dobrze szukać. Każdy wierzy, że to on właśnie znajdzie.

— A tamten znalazł?

— Powiadał, że tak.

— To czemu wrócił?

— Wojsko ich przepędziło.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może zaczepiali czerwonoskórych?

— To mogą przepędzić i nas.

Abel zaśmiał się:

— W Czarnych Górach jest teraz chyba parę tysięcy eksplorerów. Trzeba by kilku pułków kawalerii, żeby ich zmusić do powrotu. Nie ma strachu!

— A tamten? Powędrował znowu w góry?

— Nie, mówił, że ma dosyć swego, że życie bardzo tam trudne, a już najgorsza zima. Sześć miesięcy, od listopada po koniec kwietnia. Nie to, co w naszych stronach.

— Jakież to strony?

— Na południe od Omaha, małe miasteczko nazywa się Louisville. Mieliśmy kuźnię.

— Kiepsko szło?

— Ani kiepsko, ani dobrze, więc sprzedaliśmy wszystko, kupili wóz, muły i konie.

— A jeśli się nie powiedzie? — zagadnął Gordon zdumiony taką nieroztropnością.

— Wrócimy do kowalstwa, to dobry fach.

Rozmowa została przerwana, bo wóz raptownie się zatrzymał.

— Co tam, ojcze? — zawołał Ab i wysunął się do przodu..

Gordon został sam i zamyślił się nad tym co przed chwilą usłyszał.

To czyste szaleństwo. Tak musi wyglądać to, co nazywają „gorączką złota". A on sam? Również uległ podobnemu opętaniu, ale przecież nie miał nic do stracenia, jedynym grzechem stało się lekkomyślne kupno kosztownego ubrania i równie kosztownej broni.

Opowiadał, że pochodzi z Chicago. Co prawda urodził się w tym mieście i spędził w nim swe najmłodsze lata, jednakże ostatnio pracował na farmie, piętnaście mil od Chicago.

Pracował aż do chwili, w której wieść o złocie Black Hills i możliwościach przeżycia wielkiej przygody przeważyły szalę. Bez wielkiego trudu. Praca przy pilnowaniu i obrządzaniu bydła była wystarczająco nudna, aby perspektywa innej drogi życiowej nie wyrwała go z kręgu spokojnego, monotonnego życia. Żeby oddać pełną sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, iż wizja złota odegrała tu stosunkowo niewielką rolę. Karol Gordon nabył, nie wiadomo kiedy i skąd, szlachetnego zwyczaju czytania książek, w godzinach wolnych od pracy, wbrew nawykom współtowarzyszy — kowbojów spędzających czas na odwiedzaniu podejrzanych spelunek chicagowskich przedmieść — wsiadał na konia i gnał do centrum miasta, gdzie kupował książki. Początkowo — jak popadło. Stąd powstał zabawny galimatias dobrych i złych utworów, pochłanianych przez żarliwego czytelnika w cieniu samotnego wiązu, gdzie mu nikt nie przeszkadzał, gdzie nie słyszał żartobliwych prześmiewek ludzi nie potrafiących zrozumieć, czego Karol szuka na zadrukowanych kartkach. Do uszu pana Bootha, właściciela farmy, dotarły wieści o niecodziennych zwyczajach jego pracownika, a ponieważ pan Booth pamiętał doskonale ojca Karola, słabiutkie więzy tej dawnej znajomości skłoniły go któregoś dnia do zainteresowania się synem.

James Booth nie należał do grupy tych prymitywnych, nieokrzesanych rolników i hodowców, którzy poza własną ziemią nic nie widzą, a których cała mądrość sprowadza się do umiejętności uprawy roli i hodowli bydła. James Booth przewędrował kawałek świata, lubił drukowane nowinki, a przede wszystkim chciał różnić się od swoich ciemnych jak tabaka w rogu sąsiadów, rzadko niekiedy umiejących pisać. Marzył w cichości swego serca, iż przyjdzie dzień, w którym ta jego inność zostanie w pełni oceniona przez współobywateli, i doczeka się stanowiska sędziego. Wezwał do siebie Karola, przejrzał nabyte i przeczytane książki, rozdzielił je na dwie nierówne kupki. Jedną bardzo pochwalił, drugą polecił Karolowi wrzucić do ognia jako bezwartościowe piśmidła zaśmiecające — jak to określił — serce i głowę czytelnika.

Warto dodać, że wśród tych drugich znajdowało się sporo powieści określanych popularnie jako „dime novels" opisujących życie na zachód od Missisipi, codzienne trudy „pograniczników" bohaterów Teksasu, górników i straceńców szukających szczęścia na mało znanych ziemiach. Niektóre z nich posiadały pewne wartości poznawcze, inne nie zasługiwały w ogóle na czytanie.

Karol nie od razu pojął, na czym polega różnica między „dobrą" a „złą" książką, ale kilka uwag, jakie na ten temat wypowiedział farmer, zapamiętał bardzo dokładnie. Na tym sprawa się nie zakończyła. Booth udzielił Gordonowi prawa korzystania ze swej biblioteki, wcale okazałej, i od ręki wybrał swemu pracownikowi kilkanaście tomów, grubych i cienkich, które — jak twierdził — Karol powinien koniecznie poznać. Czy ten wybór był słuszny? Na pewno daleki od ideału. Niemniej James Booth znał się na rzeczy znacznie lepiej od młodego kowboja.

Karol zabrał się energicznie do lektury. Bardzo mu się spodobały powieści traktujące o życiu białych osadników. „Pięcioksiąg Sokolego Oka" dosłownie pochłonął, chociaż miejscami narracja wydała mu się rozwlekła i nudna. Ale później trafił na opowieści z czasów nowszych, te lepsze spośród olbrzymiej serii „dime novels", opisujące prerie i Dziki Zachód. Powoli zaczął rozróżniać. Coraz częściej wykrywał fałsz lub wręcz nieprawdopodobieństwa, świadczące chyba tylko, że autorzy piszą o tym, o czym sami niewiele wiedzą. Z czytania takich książek: złych i dobrych, ciekawych i nudnych, wyrosła tęsknota za nie zbadanymi

ziemiami, za ciekawymi ludźmi, za przygodą. Wiadomość o odkryciu złota w Czarnych Górach — zadecydowała. Mimo przestróg Bootha wyruszył w nieznane.

— Znowu kłopot z Kully — powiedział Abel nadjeżdżając od przodu wozu. — Ona często się narowi, nie tak, jak Katy, która jest łagodna i zawsze ciągnie tyle, ile trzeba. Musiałem przemówić Kully do rozumu.

Na potwierdzenie tych słów koła skrzypnęły i wóz ruszył. Jechali wyjeżdżonym szlakiem przetartym prawdopodobnie przez dyliżans, na pewno przez liczne wozy wędrowców takich jak oni. Wreszcie ujrzeli migocące w słońcu nurty rzeki.

— To North Platte, ani chybi — stwierdził Ab. — Nie ma innej wody w tych stronach, a to wszystko oznacza, że jedziemy, jak trzeba. Do Laramie sto mil. Kłopotów chyba nie będzie, bo kraj ludny. Popatrz!

Wędrowali tak prawie do zmroku wzdłuż zielonego pasa roślinności towarzyszącej rzece. Raz po raz ukazywały się domy — rancha hodowlane, coralle, pasące się konie, a grupy jeźdźców jawiły się i znikały wśród stad bydła. Kraina była gładka jak stół, porośnięta trawą, przejrzystość powietrza pozwalała widzieć bardzo daleko i bardzo dokładnie, co wprowadzało w błąd każdego nowicjusza. Samotne drzewo lub odległy domek osadnika wydawały się bardzo bliskie, a w rzeczywistości znajdowały się o godzinę jazdy.

Nad wieczorem rozbili obóz na brzegu rzeki, gdzie szeroka, piaszczysta plaża pozwalała na rozpalenie ogniska bez obawy podpalenia prerii. Wyprzężono muły, zdjęto siodła z koni, które natychmiast poczęły się tarzać po trawie, a następnie wszedłszy daleko w nurt piły spokojnie i długo.

Karol nie bardzo wiedział, co ma robić i jak się zachować. Krzątająca się czwórka (bo i chłopiec brał udział w rozbijaniu obozowiska) nie wezwała go do pomocy. Ponieważ nie lubił przyglądać się bezczynnie, jak inni pracują, powędrował wzdłuż rzeki, tam gdzie rosły gęste wikliny i gdzie prąd wiosennej powodzi powyrzucał na brzeg kłody, szczapy i gałęzie przyniesione z dalekich lasów. Zebrał to wszystko w jeden stos, a następnie poprzenosił na plażę. Kiedy gromadka Heartów uporała się wreszcie z rozładowaniem wozu oraz spętaniem koni i mułów, na piasku gorzał już płomień, a zapas drzewa był tak ogromny, iż wystarczyłby na najdłuższą nawet noc.

— O! — wykrzyknął Samuel Heart zmierzając z garnkiem w stronę rzeki. — Spadł nam kłopot z głowy, a już się martwiłem, skąd weźmiemy choć kilka szczapek.

Kucnął przy ogniu i począł grzać dłonie.

— Noce są jeszcze bardzo chłodne — ostrzegł — Trzeba będzie palić do rana.

Po chwili zjawił się Abel i z jakichś tajemniczych dla Karola kawałków żelaza bardzo szybko i sprawnie zmontował metalowy trójnóg. Ustawił go nad płomieniem, a pod szczytem trzech zbiegających się prętów zawiesił na łańcuszku kociołek.

— Uniwersalna kuchenka traperska — wytłumaczył nie bez dumy w głosie. — Ostatnia nowość. Można złożyć inaczej, a wówczas powstanie rożen do pieczenia. Dobre, co?

Kiedy woda poczęła wrzeć, wsypano do garnka mieloną kawę, a jej zapach od razu przypomniał Karolowi, że nie miał nic w ustach od wczesnego śniadania spożytego jeszcze w kolejowym wagonie. Poczuł okropny głód. Wydobył z wnętrza wozu swój pękaty tobołek, w którym znajdowały się dwie szczelnie zamknięte puszki pemikanu, nabyte jeszcze w Chicago za słone pieniądze, puszka kawy, nieco soli i cukru. Resztę miejsca zajmował rondelek, mocno zwinięty koc oraz kilka pudełek nabojów. Przydźwigał to wszystko w pobliże ognia

nie wiedząc, że przez cały czas obserwują go oczy Samuela Hearta. Kiedy rozsupłał sznur worka, usłyszał:

— Zostaw to na gorsze godziny. Siadaj i czekaj, aż Jessie przygotuje nam kolację. Na ten czas drogi należysz do rodziny i dlatego dłużej nie będę cię nazywał panem Gordonem. Zgadzasz się?

Karol kiwnął głową, ale równocześnie zaprotestował:

— Nie chcę was objadać. Do Czarnych Gór wędruje się przez miesiąc...

— Głupstwo! — przerwał mu Samuel. — Ten twój woreczek, żebyś nie wiem jak w nim upchał, starczy zaledwie na tydzień. Na co liczyłeś?

— Na swoją strzelbę. Mówiono mi, że im dalej na północny zachód, tym więcej zwierzyny.

— Prawda, słyszałem o tym i ja. Ale tereny leżą dopiero za rzeką Cheyenne. Nie ma ona nic wspólnego z tym miastem, które opuściliśmy. Wiesz, którędy ona płynie?

— Nie — wyznał Karol szczerze.

— Ja również — roześmiał się starzec — ale nie martwię się. Jeśli droga będzie tak łatwa, jak dotychczas, dotrzemy do twojej zwierzyny za trzy tygodnie. Lepiej więc zostaw swe zapasy na później. Kto wie, może i my z nich skorzystamy. No, trzymaj...

To powiedziawszy wetknął w ręce Karola kubek z kawą oraz sporą kromkę chleba przykrytą plastrem wędzonego boczku.

Karol jedząc winszował sobie spotkania z rodziną Heartów. Wędrując samotnie nigdy nie zdołałby przyrządzić tak znakomicie tego posiłku. Cóż za szczęśliwy traf!

Po kolacji Ab zebrał naczynia i powędrował do rzeki, aby przy pomocy piasku i wody przywrócić im czystość. Później Jessie zaprowadziła syna do wozu na nocny spoczynek, trzej mężczyźni pozostali przy ogniu. Abel pouczył Karola, jak należy układać drewna, by płomień nie wygasł, ale by również nie buchał zbyt wysoko.

Zapadła ciemność, na wysokościach zabłysły gwiazdy, chłodny wiatr począł studzić rozgrzaną słońcem ziemię.

— To tam — odezwał się Samuel wyciągając rękę ku niebu. — Tamta gwiazda będzie nam teraz stale przyświecać wskazując drogę ku Czarnym Górom.

— To dobre w nocy — roztropnie zauważył Gordon — ale w dzień?

— W razie czego odnajdziemy roślinę magnetyczną.

— Cóż to takiego?

— Roślinka ani mała, ani wielka. Kwitnie żółto, a jej liście wskazują zawsze północ. Znaleźć łatwo, bo mocno pachnie i wydziela z siebie lepki sok.

— I jej liście zawsze wskazują północ? — powtórzył z niedowierzaniem Ka—rol.

— Zawsze.

— Skąd o tym wiecie?

— Opowiadał mi jeszcze ojciec, potwierdzili inni. Mój ojciec sporo wędrował po świecie — dodał tonem wyjaśnienia. — No, ale czas na spoczynek.

Ciągnąc różnej długości patyczki ustalili kolejność nocnej warty. Chociaż okolica robiła wrażenie spokojnej i pustej, należało czuwać, zwłaszcza przy koniach i mułach.

Na Karola wypadł najlepszy, bo pierwszy w kolejności dyżur. Przerzucił winchester przez ramię, powiedział „dobranoc" Heartom i poszedł w kierunku zwierząt.

— A nie zapomnij o ogniu — przestrzegł go Samuel — i... wybierz dla siebie gwiazdę— przewodniczkę!

Czwartego dnia dotarli do fortu Laramie, nad rzeczką o tej samej nazwie, znacznie mniejszą od North Platte, z którą przyszło się im rozstać. Tu woda płynęła mętna, błyszcząca w słońcu jak złoto na tle szarej, prawie czarnej płaszczyzny. Przestrzeń była jałowa, tylko nad brzegami ciągnęły się wąskim pasmem niskie zarośla. To był przedsmak Złych Ziem, jak oświadczył Samuel.

— Ojciec mi o nich opowiadał.

— Kim on był? Traperem? — zainteresował się Gordon.

— Nie. Służył w Kanadyjskiej Konnej.

— Ho, ho! Musiał nie byle jak znać się na rzeczy. Słyszałem niejedno o „czerwonych kurtach". Niełatwa to służba i niełatwo być do niej przyjętym. Ale skąd się ojciec znalazł po tej stronie granicy?

— Ojciec ścigał bandytę aż tutaj. To trwało z pół roku.

— I złapał go?

— Złapał, ale nie doprowadził. Uciekający był tak wyczerpany, że ledwo na nogach się trzymał. W trzy dni później umarł.

Karol pomyślał, iż relacje ojca Hearta o Złych Ziemiach to trochę za mało dla poznania warunków wędrówki przez ten pierwotny kraj, ale nie wspomniał o tym głośno.

Nad rzeczką Laramie rozbili obóz południową porą, a Karol poszedł obejrzeć fort. Ta drewniana budowla, postawiona w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków od wody, wyglądała dość niepozornie. Drewniana palisada — raczej płot — ustawiona w czworobok, a nad tym płotem trzy wieżyczki — domki o spadzistych dachach, występujące poza ogrodzenie i wsparte dodatkowo palami. Jedna z tych wieżyczek znajdowała się nad wąską bramą wjazdową, tak niską, że nie mógł jej przebyć jeździec na koniu.

Kiedy wracał do obozowiska, spotkał Abla. Od niego dowiedział się, że fort Laramie powstał w 1834 roku jako obronna faktoria dla celów handlu, a dopiero po latach został nabyty przez rząd Stanów Zjednoczonych i zamieniony w strażnicę wojskową.

Nad rzeką dymiło już ognisko. Mały Jack buszował wśród nadbrzeżnych zarośli, dopóki go nie przywołała matka. Chłopak pokręcił się przez chwilę w pobliżu i korzystając z nieuwagi dorosłych znowu się oddalił. Tym razem w stronę szarej płaszczyzny porosłej rzadką, suchą trawą. Karol spostrzegł, jak odchodził coraz dalej, ale pomyślał, że to nie jego sprawa. Poszukał wzrokiem Jessie, lecz jej nie znalazł. Zauważył tylko nad rzeką Abla. Wyglądało na to, iż razem z ojcem łowią ryby. Bowiem to, co trzymał w rakach stary Heart, przypominało wędkę. Czy nie nazbyt ufali sąsiedztwu fortu, pozostawiając cały dobytek bez opieki — zaniepokoił się Karol. Zerknął znowu w kierunku, w którym powędrował Jack, dostrzegł go już tylko jako małą plamkę na tle szarzyzny gleby. Gdyby nie czerwona kurteczka, na pewno by go nie zauważył.

— Cóż za nieostrożność — mruknął.

Wziął strzelbę i poszedł szybkim krokiem tam, gdzie majaczył barwny punkcik. Wkrótce dojrzał drobną sylwetkę dziwnie nieruchomą.

— Jack! — krzyknął. — Wracaj!

Chłopiec ani nie odwrócił się, ani nie poruszył.

—Jack! — zawołał raz jeszcze i puścił się biegiem.

Mały Jack stał jak skamieniały. Cóż było przyczyną? Zanim ją dostrzegł, już usłyszał: coś jakby szelest arkusza papieru albo raczej chrzęst, jaki wydają ziarnka grochu potrząsane w rybim pęcherzu. Znał świetnie ten dźwięk, mimo że nigdy dotąd nie przekroczył koryta Missouri. Bo grzechotniki żyją na całym wielkim kontynencie, od Teksasu po Wielkie Jeziora. Zatrzymał się, przyłożył kolbę do ramienia i gdy muszka lufy znalazła się na wysokości płaskiego łba, pociągnął za cyngiel. Błysnęło krótkim języczkiem ognia. Raz, drugi, trzeci. Wzniesiona nad ziemią obrzydliwa, trójkątna głowa opadła. Karol chwycił chłopca za rękę i gwałtownie odciągnął. Jadowity wąż leżał nieruchomy jak kawał porzuconej liny.

—Jak to się stało, Jack? — Gordon czuł, że zimny pot spływa mu po czole.

—Bałem się. Czy on gryzie?

—Gryzie... to jest grzechotnik, jego jad zabija! Nigdy nie zbliżaj się do węży!

—On leżał obok tamtego kamienia — Jack wskazał na pobliski głaz. — Nie byłem pewien, czy to wąż, czy jakaś dziwna gałąź. Poruszyłem go patykiem. Wtedy podniósł głowę, a ja nie wiedziałem, co robić, uciekać czy stać...

Przecież gdyby chłopiec uczynił chociaż jeden krok, gdyby poruszył się albo odpowiedział na wezwanie, wąż by go ukąsił.

—Wracamy — zdecydował Karol. — Nigdy więcej nie dotykaj patykiem niczego, co przypomina gałąź lub sznurek, lub kolorową wstążkę. Tak mogą wyglądać jadowite węże.

—Ale pan mnie uratował — stwierdził malec już bardziej raźnym głosem.

—Hm... pewnie. Tylko nie licz na to, że zawsze ktoś będzie stał za twymi plecami!

Podeszli do obozowiska, gdy głowa pani Jessie wyjrzała spod płóciennej budy wozu.

—Jack — powiedziała — nie oddalaj się od obozu. Możesz zabłądzić.

—Mamo, pan Gordon zabił węża!

—Węża? — roześmiała się, podeszła do syna i pogłaskała go po głowie. — Doprawdy, widzieliście węża? — zwróciła się do Karola z niedowierzającym uśmiechem.

Odparł nieco ostro:

—To był grzechotnik, proszę pani. Nie wolno puszczać malca samego. Gdybym się spóźnił...

I natychmiast pożałował swych słów. Jesse zbladła gwałtownie. Przeląkł się, że zemdleje.

—Panie Heart! — zawołał w stronę rzeki.

—Nic, nic — opanowała się. — Powiedzcie jak to było.

Gordon pozwolił wygadać się chłopcu. Kiedy malec skończył swą relację efektownym „puff" co miało naśladować głos winchestera, Jessie uklękła i przytuliła do siebie syna.

—Jack — szepnęła — Jack, jak mogłeś...

Karol odwrócił się. Powstała szybko z ziemi i chwyciła go za rękę.

—Niech pan nie odchodzi... Abel, ojcze!

Dwa cienie wyjrzały z nadrzecznych zarośli.

—Chodźcie szybciej! — wołała.

Przybiegli.

—Słyszeliśmy jakieś strzały — zaniepokoił się mąż.

—Abel — powiedziała Jessie — podziękuj panu Gordonowi. Gdyby nie on... — zaczerpnęła oddechu — gdyby nie on...

— Co się stało?

— Grzechotnik! — krzyknęła. — Tam — pokazała ręką.

— Czy dziecku nic się nie stało? Dajcie strzelbę — rozkazał Samuel.

— Nic a nic — odparł spokojnie Karol. — Strzelba niepotrzebna. Wąż jest martwy jak kamień.

— Uff! Opowiadajcie teraz...

Gordona wyręczyła Jessie. Abel stał cały czas milczący, a gdy opowiadanie dobiegło końca, wyciągnął obie ręce do Karola.

— Jak ci mam dziękować? Teraz powiem: nie chciałem, żebyś z nami jechał, a wszystko przez twoje ubranie, zbyt nowe. Sądziłem, że posiadacz takiego ubrania przysporzy nam tylko kłopotu. A teraz... żeby nie ty! Odtąd wszystko, co moje, będzie twoje. Mam rację, ojcze?

— Dobrześ powiedział, synu — przytaknął Samuel. — Chodźmy zobaczyć tego węża.

Gordon zaprowadził ich na miejsce wypadku. Obejrzeli dokładnie grzechotnika. Miał łeb całkowicie odstrzelony. To był skutek jednej tylko kuli, następne dwie... chybiły. Ale o tym Karol nie powiedział. Nasłuchał się natomiast wielu pochwał.

— Gdzieś wtedy stał? — dopytywał się Samuel.

Pokazał.

— A Jack?

Malec zatrzymał się o krok od wężowego zewłoku.

— Do licha! — przeraził się Abel. — Piekielnie blisko. Kiepski strzelec prędzej trafiłby w dziecko niż w węża. Ale masz oko! Polowałeś kiedy na grzechotniki?

— Nigdy, lecz... — zawahał się i dodał jakimś przytłumionym głosem — mój ojciec zginął od ukąszenia...

— Okropność — szepnęła Jessie. — Co za straszne strony...

Wrócili do obozowiska, każdy na swój sposób komentując wydarzenie. Nad wieczorem Ab dostrzegł po drugiej stronie rzeki stadko antylop. Zaprowadził Gordona w nadbrzeżne zarośla i pokazał mu nieoczekiwanych gości.

— Mamy tylko peklowane mięso i boczek — zauważył mimochodem. — Za tydzień nie będziesz mógł na to patrzeć, ja już mam dosyć.

— Podobno antylopy są niezwykle płochliwe.

— Prawda, ale przy takich strzelbach... Ty przecież świetnie strzelasz.

Karol pomyślał o dwu swoich „pudłach", lecz nie zaprzeczył.

— Nigdy nie polowałem na antylopy — odparł. — Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

— Cierpliwości, pomogę ci. One są jeszcze zbyt daleko. Gdy zacznie zmierzchać, podejdą do wodopoju. Ale w którym miejscu? Chyba nie tutaj, odstraszy je blask ogniska.

— Słyszałem, że pragnienie zaspokajają tylko o świcie.

— O zmierzchu również. Gdyby nie ta przeklęta równina, spróbowałbym je podejść, wiatr wieje w naszą stronę, ale nic z tego. Zauważą nas, zanim kiwniemy palcem. Ot i kłopot. Poradzę się ojca. Siedź tu w krzakach i czekaj.

Zniknął, a Karol klęcząc wśród chaszczów obserwował dalekie stadko. Zwierzęta poruszały się wolno, to tu, to tam. Wydawało się, że zmierzają w kierunku wody.

— Ojciec zgodził się, żebyśmy tu sterczeli aż do skutku — zaszeptał głos Abla.

— To może nawet trwać kilka lat — zauważył złośliwie Karol.

— Cii! One naprawdę podchodzą.

Abel Heart wydobył z kieszeni podłużny przedmiot, pobłyskujący żółtym metalem. Szarpnął za jeden koniec i rozciągnął.

— Luneta?

— Doskonała. To pamiątka po dziadku. Dobrze mu służyła w Królewskiej Konnej. Nie jeden raz zauważył to, czego nie dostrzegłby gołym okiem. Spójrz — wręczył lunetę towarzyszowi. — Nie tak, bardziej w lewo. Widzisz?

Oczywiście, że widział. Stadko nagle zogromniało. Rozróżniał pojedyncze sztuki.

— Dziesięć — stwierdził. — Chyba... chyba idą w naszą stronę, ale jak mrok spadnie, stracimy je z oczu. — I oddając lunetę Ablowi dodał z uznaniem: — Dobry wynalazek taka rzecz.

— Bardzo dobry. Chodźmy trochę w prawo, one tam idą.

Ruszyli wzdłuż linii krzewów, co kilka kroków przystając, aby zerknąć w szkła lunety.

— Tu się zatrzymamy — zdecydował Abel. — Siadaj jak najwygodniej i uzbrój się w cierpliwość.

Tkwili w miejscu chyba ze dwie godziny i Gordon rozmyślał, dlaczego przyjemność oddania strzału musi być okupiona tak straszliwie nudnym wyczekiwaniem celu. U siebie, w Illinois, polowano na... wiewiórki i ptactwo. Większa zwierzyna należała do rzadkości, a do kojotów (gdzież ich nie ma?) po prostu nie warto strzelać. Tak więc Karol nie posiadał prawie żadnego doświadczenia. Co prawda w strzelaniu do rzutków zdarzyło mu się aż trzykrotnie podbić ku niebu blaszaną puszkę i kowboje okrzyknęli go zwycięzcą. Ale kowboje z okolic Chicago — to wcale nie najwyższa klasa celności oka i pewnej ręki.

Rozpoczęła się przedwieczorna szarówka. Na horyzoncie gasły różowe blaski zorzy. Wiatr nagle ustał. Zapadła cisza. Karolowi wydało się że słyszy przytłumiony tupot racic. Zwierzęta zbliżały się powoli. Teraz już gołym okiem można było rozróżnić poszczególne sztuki.

— Uważaj, Karolu — przestrzegł Abel. — Nie ruszaj się, za pół godzinki będziemy je mieli.

Nie pomylił się. Ledwie zgasły blaski zachodu, na przeciwległym brzegu ukazały się ciemniejsze od zmroku sylwetki. Na przedzie posuwała się jedna powoli i czujnie. Gordon widział, jak rozgląda się dokoła, podnosi łeb i wciąga powietrze. Potem odeszła w bok, kiwając głową, jakby zachęcając swe towarzyszki do skorzystania z wody. Podbiegły całą gromadką, weszły w płytkie rozlewisko.

— Teraz — szepnął Abel.

Karol nacisnął cyngiel. Jednocześnie ozwały się obie strzelby, ich głos zlał się w jeden łoskot. Antylopy zawróciły błyskawicznie, ale nim znikły z pola widzenia, błysnęło wśród przeciwległych zarośli i nim huk przebrzmiał, jedno ze zwierząt runęło w trawę.

— A to co? — zdumiał się Abel i dodał markotnym tonem: — chybiliśmy obaj. Tamten miał więcej szczęścia.

Zza kępy krzewów wyłonił się najpierw kapelusz, później szyja, wreszcie ukazała się cała postać mężczyzny. Postąpił kilka kroków, schylił się i ukazał znowu, objuczony myśliwskim łupem. Odwrócił się twarzą ku rzece i wkroczył w jej nurt. Przebył go bez trudu, woda w najgłębszym miejscu nie sięgnęła mu powyżej kolan.

— Witajcie, nieznani przybysze, na nieznanej ziemi — powiedział zatrzymując się przed nimi. — Prowadźcie mnie do ogniska. Kapinkę zmokłem.

— Chodźmy — odezwał się Abel. — Pogratulować strzału.

— Eee... nie było trudno. Bardzo złe wybraliście miejsce. Należało przejść na drugi brzeg, wówczas mielibyście zwierzynę z boku. Krótki strzał i pewny.

Karol zauważył, że nieznajomy dźwigał nie tylko antylopę, ale i mocno wypchany worek, na pewno ciężki, strzelbę i dwa woreczki uwieszone przy pasie. Mimo to stąpał pewnie i lekko.

— Wędrujecie do Czarnych Gór? Spostrzegłem was za dnia. Czy to ma jaki sens? Tyle ludu pcha się na północ, a tylu już tędy przeszło, że gdyby to nawet były nie Czarne, lecz Złote Góry, i tak ich nie starczy dla wszystkich.

Kiedy znaleźli się w kręgu migotliwego blasku ognia, przybysz zrzucił z siebie niesione ciężary i skłonił się Samuelowi.

— Strudzony wędrowiec zapytuje, czy może ogrzać się przy waszym wspaniałym ognisku? W zamian ofiaruje antylopę w nadziei, że i jemu dostanie się kawałek pieczeni. Ho, ho — wykrzyknął pociągając zabawnie nosem — czuję pieczony boczek! To jeszcze lepsze, bo przyznam, że mięso antylopie już mi w gardle staje.

Gadał przez cały czas i rozglądał się dokoła jakby szukając jeszcze innych uczestników obozowiska. Skłonił się Jessie, zerknął na Jacka który nagle wyłonił się z mroku.

— Witam panią — powiedział uchylając kapelusza. — Jak się masz, chłopcze?

— To moja żona — wyjaśnił Abel nieco zaskoczony zachowaniem nieznajomego.

— Czy mogę spocząć?

— A siadajże, człowieku — żachnął się Samuel. — Miejsca jest sporo, nikomu nie odmawia się go w takich stronach.

— Prawda! — nie wiadomo dlaczego uradował się przybysz. Przysunął swój tobołek i usiadł na nim.

— Nazywają mnie Grzechotnik — przedstawił się.

— Jak? — zapytał Gordon podejrzewając, iż nieznajomy był świadkiem chybionego strzału do węża i kpi sobie teraz z niego.

— Grzechotnik, powiadam. Chociaż naprawdę to jestem Derek Carty. Ale po faktoriach nie gadają inaczej, tylko: Grzechotnik.

To powiedziawszy wyciągnął nogi w kierunku ognia, aż z nogawic i butów poszła para.

— Skóra popęka — zauważył Samuel.

— Co?

— Powiadam, że szkoda butów.

Cofnął nogi.

— Ma pan rację, panie...

— Jestem Samuel Heart, to mój syn Abel, synowa i wnuk. A to nasz towarzysz, Karol Gordon.

— Więc rodzina i przyjaciel — ucieszył się nieznajomy. — I wędrujecie do Czarnych Gór z wozem i całym gospodarstwem.

Karol, któremu jakoś nie przypadło do smaku takie gadanie, postanowił je przerwać.

— Myślę — powiedział szybko — że należałoby zająć się antylopą, jeżeli pan pozwoli?

— Oczywiście! Zupełnie zapomniałem. Jeśli mi pomożecie, uwiniemy się raz dwa.

Podniósł się żwawo, wyciągnął zza pasa myśliwski nóż o rączce z bawolego rogu i klindze tek czystej, że zalśniła w blasku ognia niczym srebro. Karol pospieszył z pomocą. W

zdejmowaniu skór zwierzęcych nabrał wprawy w służbie u pana Bootha. Wycięto kawał polędwicy, który został upieczony tak szybko, jak to było możliwe. Jedli z apetytem, tylko Derek Carty poprosił o wędzony boczek. Kiedy kawa została wypita, a pieczeń zniknęła, przystąpiono do ścielenia — każdy sobie — nocnych legowisk, a później ciągnięto losy mające ustalić kolejność wart. Uczestniczył w tym i Carty, zgodnie z jego własną propozycją. Karol jakoś nie okazał zachwytu, lecz nie zaprotestował. Nie miał wprawdzie żadnych powodów do nieufności, ale przybysz nie bardzo mu się podobał. Zdawało mu się, że czuje fałsz w jego słowach.

Jednakże noc, wbrew tym obawom, minęła spokojnie. Obudzili się zdrowi i cali. Konie wyglądały rześko, a muły rozbrykały się na nadrzecznej łące. Z posiłkiem uwinięto się szybko, wpakowano na wóz wszystko, co wpakować należało.

— A pan, Grzechotniku? — zagadnął Samuel Heart. — Dokąd pan zmierza?

— Ja... jeżeli nie będziecie mieli nic przeciwko temu, chętnie przyłączę się do towarzystwa

— Niech pan ciśnie swój tobół na wóz. Z tyłu jest nieco miejsca, można usiąść. Pan także do Czarnych Gór?

Zaprzeczył:

— Bajkowe złoto nic mnie nie obchodzi. Poluję, to mi wystarcza.

— Z wiosną skóry są kiepskie — zauważył Karol.

— Ja też nie zbieram obecnie futer, tylko grzechotniki.

Słuchacze roześmieli się sądząc, że to żart.

— Ależ tak — zapewnił — poluję na grzechotniki. Ich skóra jest mocna i trwała bez względu na porę roku. Trzeba umieć wyprawiać, nadaje się świetnie do wyrobu nieprzemakalnych czapek, pokrowców, a nawet obuwia.

— Ileż takich skór należy zebrać na najmniejszą nawet czapkę? — zagadnął Karol nieufnie.

— Sporo, ale też grzechotników nie brakuje w tych stronach. Teraz już wiecie, skąd pochodzi moje przezwisko.

— Ruszamy! — ponaglił Samuel.

Wskoczył na kozioł zajmując miejsce obok synowej i wnuka.

Carty siadł w tyle wozu, zwieszając nogi na zewnątrz. Dwaj jeźdźcy wierzchem wysunęli się ku przodowi i kawalkada ruszyła w ciszy poranka i lekkich podmuchach wiatru.

Z upływem godzin krajobraz się zmieniał, należałoby powiedzieć: posępniał. Trawa rzedła, coraz częściej ukazywały się języki szarego piachu, a w przerwach między nimi rósł już tylko brązowo czarny sedż. Pod koniec dnia trafili na małe jeziorko, raczej — wielką kałużę pozostałość wiosennych roztopów.

— Stańmy tutaj! — krzyknął z wozu Carty.

— Po co? Jeszcze całkiem, widno i możemy przez dwie godziny jechać — odkrzyknął z kozła Samuel.

— Dalej nie ma wody!

— Nie ma wody?

— Ani kropelki.

Zatrzymano muły. Karol i Abel, którzy odjechali nieco ku przodowi, teraz zawrócili.

—Ostatnia możliwa do picia woda — wyjaśnił Grzechotnik — aż do Black Hills. Radzę napełnić wszystkie naczynia, jakie macie. Później już tylko źródła alkaliczne, gorzkie, że gębę wykrzywia, a zwierzęta padają.

Posłuchali rady. Z dwu wielkich beczek, jakie mieli na wozie, wydobyto zapasy mąki i kaszy, wyciągnięto skórzane wory, po czym rozbito obóz.

Karol, Abel i Carty nazrywali sedżu, nałamali gałęzi z trzech samotnych drzew sterczących na skraju rozlewiska. Kiepski był z tego ogień, jednak kawę dało się ugotować i upiec podpłomyki z mąki zarobionej przez Jessie.

Gratulowano Ablowi, że poprzedniego wieczoru upiekł całą resztę antylopy. Teraz nie sposób by było tego dokonać i mięso uległoby zepsuciu.

Po wieczerzy mężczyźni znów ciągnęli losy. I znów Karolowi przypadła pierwsza nocna warta. Najlepsza, bo będąca jedynie pewnym skróceniem odpoczynku, a nie wyrwaniem z głębokiego snu, co było zawsze najbardziej przykre. Najkrótszy patyczek, oznaczający wartę przedranną, tę najgorszą, wyciągnął Carty (co prawda Karol twierdził później, że to wcale nie był przypadek, ale jakże tego dowieść?). Noc zapowiadała się pogodnie, księżyc wypłynął na czyste niebo i osrebrzył ziemię. Widać było okolicę daleko i dokładnie. Karol z bronią pod pachą krążył tu i tam, pilnując równocześnie, aby ognisko do szczętu nie wygasło. Niczego nie dojrzał poza kilku cieniami czworonogów, które zbliżyły się do rozlewiska na przeciwległym brzegu, a później odbiegły i nawoływały się znajomymi głosami: kojoty.

Kiedy nadeszła pora, obudził Samuela i natychmiast zajął jego miejsce przy żarzących się szczapach. Długo nie mógł zasnąć. Dlatego pewnie, gdy otworzył oczy, już zgasły poranne zorze, a słońce ćwiartką swej tarczy zdążyło wyjrzeć zza horyzontu. Jego towarzysze nadal spali. Dlaczego Carty ich nie obudził?

Zerwał się z prymitywnego legowiska, chwycił strzelbę, rozejrzał się dokoła. Nie dostrzegł sylwetki wartownika. Ruszył na obchód zataczając wokół wozu coraz większe kręgi. Carty'ego nie odnalazł.

„Na pewno zasnął — pomyślał ze złością — i chrapie teraz w jakiejś dziurze. Już ja mu powiem do słuchu!”

Począł wołać, ale z takim tylko skutkiem, że obudził współtowarzyszy. Derek Carty jakby pod ziemię się zapadł. Gniew Karola teraz zamienił się w niepokój. Pobiegł nad wodę, gdzie zostawiono na noc konie i muły. Muły dostrzegł od razu. Koni nie było!

Pościg

—Może znalazł lepsze pastwisko i tam zaprowadził konie? — wyraziła naiwne przypuszczenie Jessie Heart.

Abel machnął lekceważąco ręką.

—Gałgan uciekł! Po prostu uciekł! Jak myślisz, ojcze?

—Trzeba ścigać. Weź Katy i spiesz się, synu.

Rzucili się do szukania siodła, wszyscy naraz, co nie przyspieszyło, ale opóźniło jego znalezienie. Heartowie, jak to się mówi, popadli w desperację. I trudno się temu dziwić. Utrata obu wierzchowców równała się przedłużeniu wędrówki. Dla dwu pozbawionych koni osób nie było miejsca w wozie, co najmniej jeden musiałby iść pieszo.

W rozgardiaszu, jaki powstał, jeden Karol zachował zimną krew. Być może dlatego, że taką już miał naturę; być może dlatego, że strata nie dotyczyła go bezpośrednio. To on właśnie przygnał muła znad wody, znalazł siodło i uprząż. Kiedy Abel wkładał nogę w strzemię, powiedział:

— Zaczekaj. Myślę, że byłoby lepiej, abym ja udał się w pościg. Jeżdżę wcale nie najgorzej, a wiele zależy tu od szybkości.

— Nie! — zaoponował Abel.

— Ależ...

— Ale — odezwał się Samuel — on ma rację. Ustąp. Jeśli Karol nie dogna rabusia, nie dogna go nikt. Czy nie wiesz, jak jeżdżą kowboje? Ustąp mu, synu.

— Dziękuję. Nie powinniście źle wyjść na tej zamianie.

Karol pobiegł do wozu, wyciągnął ze swego tobołka zwinięty w grube kolisko rzemień, w sekundę był z powrotem.

— Czekajcie, albo posuwajcie się moim tropem! — krzyknął, uderzył piętami muła i z miejsca ruszył galopem. Coś tam za nim zawołano, ale co, nie dosłyszał.

Pognał prosto przed siebie. Ślad dwu koni był bardzo wyraźny.

„Chyba nie ma jeszcze i dwu godzin" — pomyślał i przynaglił wierzchowca do prędszego biegu. Przed nim rozpostarła się równina widoczna hen, daleko, skąpana w promieniach wschodzącego słońca. Równina pusta.

Czyżby Carty odjechał tak daleko? To niemożliwe, przecież prowadził jucznego konia. Coś w tym się musi kryć!

Co się kryło, zauważył już po pierwszej godzinie jazdy. Grunt powoli opadał, aż Karol znalazł się na dnie płytkiego parowu, wystarczająco jednak głębokiego, aby koń wraz z jeźdźcem mogli posuwać się nie zauważeni. Okoliczność bardzo niepomyślna dla ścigającego. Wąwóz co prawda skończył się szybko, ale za jego wylotem nie ciągnęła się już gładka jak stół powierzchnia, lecz kłębowisko skał o fantastycznych kształtach i głazów wymytych erozją gleby. Ziemia była czarna, jakby spalona na popiół, czarne były skały, czarne głazy, wokół których sterczały posępne krzewy. Na prawo i na lewo gmatwał się labirynt przejść, ścieżek, rozpadlin nie wiadomo dokąd wiodących. Sytuację ratował wyjeżdżony szlak dyliżansu — jak Karol trafnie się domyślił — wyraźne koleiny, zdeptana kopytami ziemia, na której nawet niezbyt spostrzegawczy obserwator musiał dostrzec odciski podków jeszcze nie przyprószone kurzem. Carty musiał tędy podążać trzymając się jedynego drogowskazu — śladu kół.

Mimo szybkiej jazdy wierzchowiec Karola sprawował się znakomicie, ani na minutę nie zwalniając tempa. Muły są wytrzymalsze od koni i Karol liczył się z tym faktem, który dawał mu przewagę nad ściganym na dłuższej drodze, a droga do Czarnych Gór była długa.

W drugiej połowie dnia trafił na ślady świadczące o tym, że koniokrad zmęczył się ucieczką. Z boku dyliżansowego szlaku odkrył miejsce zryte kopytami, wydeptane przez buty i walające się resztki jedzenia. Tu odpoczywał Derek Carty i pokrzepiał nadwątlone siły spóźnionym śniadaniem. Albo konie mu ustawały, albo zlekceważył możliwość pościgu. I taką okoliczność należało wyzyskać. Karol ruszył dalej marząc o schwytaniu złodzieja i... o kawałku antylopiej pieczeni. Od wczorajszego wieczoru nic nie jadł, a w pośpiechu nie zabrał z sobą nawet kawałeczka podpłomyka i co gorsza — ani kropli wody! Było to karygodne niedopatrzenie, które nie przytrafiłoby się doświadczonemu podróżnikowi. Jeśli Carty mówił

prawdę o pustynnym charakterze tych ziem, przedłużający się pościg groził śmiercią z głodu i pragnienia. Wszystko zależało od szybkości. Gnał więc na złamanie karku.

Krajobraz nie ulegał zmianie, tylko gdzieniegdzie wymyte erozją skały nikły, a ich miejsce zajmowały żółtawe wydmy o bokach stromych i szpiczastych szczytach, porośnięte kępkami bawolej trawy lub niskimi dębczakami o liściach spopielałych, jakby wszystkie te drzewka od dawna uschły. Wydawało się, że w całej okolicy fauna dawno już wymarła, a flora właśnie wymierała. Nad takim ponurym krajobrazem wisiało słońce, grzejąc niezwykle mocno jak na tę porę roku i ukazując jaskrawe kontrasty jasności i mroku, posępne wnętrza jaskiń, w których nikt nie mieszkał, i głębokie zapadliny gruntu, na dnie których czaiła się śmierć.

Potem słońce jakby przygasło, przejrzyste powietrze zmętniało. Upał się wzmógł, duchota stawała się nie do zniesienia. Karol pomyślał, że zwiastuje to burzę, i ucieszył się: deszcz w tej bezwodnej krainie zawsze był pożądany, a cóż dopiero w jego sytuacji!

Nieco później dmuchnął wiatr tak gorący, jak z wnętrza rozpalonego pieca. Podniosły się tumany kurzu, widoczność pogorszyła się tak bardzo, że jeździec musiał zatrzymać muła, a przy następnym podmuchu zeskoczył z siodła. Teraz wicher począł dąć z szybkością huraganu, bez żadnej przerwy, z siłą mogącą zwalić z nóg najtęższego piechura.

Ledwie co widząc Karol dobrnął wraz ze swym mułem pod załom skalny, występujący nad ziemią niczym balkon domu. Ustawił zwierzę głową ku skale, twarz zakrył sobie kapeluszem i postanowił przeczekać zawieruchę. Był pewien, że w tych warunkach Carty również niedaleko ujedzie.

Wiatr przeciskając się między skalnymi wyniosłościami świstał i dudnił niby pędzący pociąg. Od czasu do czasu odzywały się grzmoty. Karol czekał na deszcz. Ale oczekiwanie nie spełniło się. Wiatr ucichł, kurz powoli opadał, a zza zasłony wirujących drobin wyjrzało słońce. Zdziwił się więc, że tak krótko trwała zawierucha, że dzień nie dobiegł końca, i ucieszył się, że można podjąć pościg. Ale radość zamieniła się w niepokój na widok spustoszenia, jakiego dokonała burza: wszystkie ślady zostały dokładnie zasypane — znikły nawet głębokie koleiny, wyżłobione przez dyliżans. Nic, żadnego znaku mogącego służyć jako drogowskaz.

Karol zapamiętał, z której strony tu przybył, i sądził, że jadąc prosto dalej będzie posuwał się tropami Carty'ego w kierunku Czarnych Gór. Wskoczył więc na siodło i pognał kłusem.

„Jeśli nie doścignę go do zachodu — postanowił — wrócę po własnych śladach do miejsca, w którym zaskoczyła mnie burza. A co dalej... zobaczymy".

Była to decyzja ryzykowna. Najprostsza droga mogła równie dobrze doprowadzić do celu, jak i wywieść w nie zbadane przez nikogo pustkowia, bez możliwości powrotu. Zdawał sobie z tego sprawę, jednak nie chciał rezygnować z pogoni. Wstydził się myśli, że stanie przed starym Samuelem z pustymi rękami. Więc jechał nie tracąc resztek nadziei. Miał szczęście — po pół godzinie natrafił na świeży trop. Zatrzymał się, aby obejrzeć odciski kopyt. Tu szły dwa konie! Więc burza zatrzymała Carty'ego prawie o krok od miejsca przymusowego postoju Karola.

„Ej, złapię go!" — pomyślał w przypływie nowej energii.

Nawet zapomniał o głodzie. Ruszył czytelnym śladem, wijącym się wśród pagórków, skał i wąskich czarnych kanionów, w głąb których strach było się zapuszczać. Trop mijał te niebezpieczne miejsca. W końcu Karol dostrzegł uciekiniera i jednocześnie został przez niego zauważony.

Derek Carty zatrzymał się i zawrócił konie.

— O! — wykrzyknął. — Kogo widzę? Czy ty także wybrałeś się na samotną wycieczkę?

— Złaź z siodła!

— Co tak ostro? I czemuż to mam złazić z siodła właśnie ja? A nie ty na przykład! Gdyby nie to, że mi dwa wierzchowce całkowicie wystarczają, szybko zmusiłbym cię do skoku na ziemię. I cóż ty na to?

— Nic — odparł Karol. — Sądziłem, że wiesz, jak w tych stronach postępuje się z koniokradami. Chciałem cię puścić wolno, jeśli jednak wolisz wisieć...

— Gadasz głupstwa i niepotrzebnie mnie denerwujesz. Lepiej zawróć muła, dopóki strzelbę mam schowaną.

Karol obserwował go uważnie. Nie miał zamiaru sięgać po broń. Chyba nie potrafiłby zdecydować się na strzał do człowieka...

— Dobrze — powiedział wolno.

Obrócił muła tak, że znalazł się bokiem do przeciwnika. Lewą ręką lekko ściągnął cugle, a prawą opuścił na zwój rzemienia zawieszonego przy łęku. Czy Carty tego ruchu nie zauważył, czy też go zbagatelizował?

To, co później nastąpiło, trwało dwie, trzy sekundy. Rzemień wyprysnął ku górze, rozwinął się, przeskoczył odległość dzielącą obu jeźdźców i pętla spadła na głowę Carty'ego, zsunęła się po ramionach i zacisnęła. Karol poderwał muła do skoku, rzemień się naprężył, nastąpił wstrząs i Carty, wyrwany z siodła, runął na piach. Karol zeskoczył, ukląkł przy leżącym. Zbadał szeroki pas i kieszenie. Carty nie miał rewolwerów. Leżał nieruchomy jak kłoda. Karol spętał konie i muła i wrócił do pokonanego w chwili, w której ten się ocknął.

— No, panie Grzechotniku, jak się czujemy?

Carty stęknął:

— Aleś mnie urządził! To diabelskie lasso! Nie doceniałem ciebie. W głowie mi szumi... Żebra mam chyba całe — stwierdził po chwili — tylko ta głowa...

— Zbadamy ją po powrocie.

— O jakim powrocie gadasz? To ty sobie wracaj, ja zostaję.

— Zabieraj się — rozkazał Karol — ja nie żartuję. Właź na muła i ruszaj przodem. Nie próbuj uciekać, bo znajdziesz się na ziemi po raz drugi. No!

Po tym „no" Carty, łagodny jak baranek, podniósł się.

— I cóż mi zrobisz, ty amatorze lassa? Nigdzie nie pojadę.

— Człowieku, nie bądź głupi!

— Kto jest głupi, jeszcze się okaże. Zabieraj swoje szkapy i ruszaj. Przecież mnie nie zastrzelisz?

— Nie — przyznał Karol. — Mam inne sposoby.

Posunął się o krok i nim Carty się spostrzegł, otrzymał cios pięścią prosto w szczękę. Zachwiał się i runął.

— Jedziesz?

— Oooch... — zajęczał pokonany.

Podniósł się niezgrabnie i pocierał policzek. Miał dwa czerwone ślady na twarzy i nienawiść w oczach.

— Ty wściekły kowboju! — wrzasnął nagle i skoczył na Karola. Nim zdążył uderzyć, znalazł się na ziemi.

— Jedziesz?

— Niech cię... jadę. Mam chyba złamany ząb...

— Czemuś się upierał? Wstawaj!

Karol schylił się, chwycił leżącego za kołnierz koszuli, aż trzasnęła ostrzegawczo, i pomógł mu wstać.

— Ale ty masz siłę! — zdumiał się Carty. — Myślałem, że z ciebie jakiś miejski paniczyk, co palcem ruszyć nie potrafi. Oj — złapał się za szczękę. — Nigdy nie będę ludzi oceniał po odzieży.

— I słusznie, a teraz... na muła! Jeśli masz już dosyć tej zabawy.

— Zupełnie dosyć — mruknął.

Wgramolił się niezdarnie na siodło. Karol rozpętał rzemienie uzd i lekko wskoczył na konia.

— W drogę! — rozkazał. — A spiesz się, bo nie dostaniesz ode mnie ani jedzenia, ani wody przez cały czas jazdy. Sam nie mam.

— Worek z wodą jest na jucznym, a i nieco mięsa...

— To starczy akurat dla mnie i dla zwierząt. Nie próbuj więc kręcić. Jeśli mnie wywiedziesz na bezdroża, zginiesz pierwszy. I pamiętaj, że mam lasso.

Ruszyli. Niezbyt szybko, bo i muł, i konie miały już spory szmat drogi w nogach. A poza tym po pewnym czasie urwały się końskie tropy, zatarte piaskową burzą. Karol nie orientował się w labiryncie przejść, ścieżek i skalnych przesmyków, ale nie zdradzał się z tym, słusznie rozumując, że mogłoby to rozzuchwalić Carty'ego. Więzień nie zawahał się jednak ani przez chwilę. Wymijał pagórki i szczeliny tak bezbłędnie, jakby całe życie tędy jeździł.

Zbliżał się wieczór. Ciemność nakryła ich w wąskim przesmyku między dwiema potężnymi skałami. Tu rozbito obozowisko. Był to kiepski nocleg. Nigdzie nie rósł najdrobniejszy nawet krzaczek nadający się na opał, a noc zapowiadała się chłodna.

Karol napoił zwierzęta, rzucił im po garści kukurydzy wydobytej z zapasów Carty'ego, zanim sam zasiadł do wieczerzy. Wbrew groźbie — podzielił się nią z jeńcem, po czym skrępował mu ręce i nogi oraz nakrył kocem.

— Żebyś nie zmarzł — wyjaśnił.

Następnie sam otulił się derką, położył obok dwie strzelby i postanowił czuwać do świtu.

Przeliczył się z siłami. Całodzienna męcząca wędrówka dokonała swego! Zerwał się gwałtownie, spojrzał w bok i z westchnieniem ulgi ujrzał głowę Carty'ego. Spał jeszcze. A konie? Stały kilka kroków dalej. Muł również.

— Hej, obudź się!

Jeniec otworzył oczy, ziewnął. Karol ukląkł przy nim i zdjął rzemienie.

— Wstawaj, jedziemy.

— Już? Wszystkie kości mnie bolą.

— Wiem, że ci nieskoro, ale woda się kończy. Musimy się spieszyć. Jak się dobrze sprawisz, może będę ci mógł pomóc.

Carty uśmiechnął się. Po raz pierwszy od chwili spotkania.

— Zawsze wierzyłem, że z ciebie porządny chłop. Przecież ja te konie chciałem tylko pożyczyć. Nim się z wami spotkałem, ukradziono mi wierzchowca...

— Carty — przerwał mu Karol — ani słowa więcej! Albo nie umiesz kłamać, albo uważasz mnie za półgłówka. Jeśli będziesz tak postępował, nawet palcem nie kiwnę, gdy ci sznur założą na szyję.

Jeniec znowu sposępniał.

— Skłamałem — przyznał z zabawną skruchą. — Co ty chcesz ze mną zrobić?

— Ja? Nic. Przekażę cię okradzionym. To ich sprawa.

— Aha, to niby ten stary farmer, syn i synowa.

— Zgadza się, tylko że to nie są wcale farmerzy, ale mniejsza z tym.

— Zostawiłem ich z dwoma mułami, i do tego nad wodą. Czy to nie ładnie z mojej strony?

— Przestań, bo zaraz ci się odechce kpin! Zostawiłeś nas przy wodzie, bo właśnie wówczas nadarzyła ci się doskonała okazja kradzieży. Gdyby trafiła się innej nocy, nie zważałbyś, czy to jest bezwodna pustynia, czy cały ocean. Ale zwiodła cię chciwość. Zabrawszy tylko jednego konia, prawdopodobnie zdołałbyś uciec. A może... — tu Karol zawahał się — może ktoś cię ściga? Przyznaj się.

— Coś ty! Co ci przyszło do głowy?

— Ludzie wybierają się do Czarnych Gór po złoto, ale ty sam wygadałeś się, że nie szukasz złotego piasku. I dlatego myślę, że po prostu pragniesz się tam ukryć. Pewnie masz na, sumieniu coś więcej niż te dwa konie.

— Bzdura! — żachnął się jeniec.

— Niech będzie i tak. Nie jestem szeryfem ani sędzią. A teraz w drogę!

Carty nie stawiał oporu, tylko na nowo popadł w ponurą zadumę.

Jeszcze tego samego dnia przybyli nad znajome rozlewisko, witani radosnymi okrzykami całej rodziny Heartów. Okrzyki te wiązały się oczywiście ze znalezieniem koni, a nie... Carty'ego. Ale wbrew temu, co przypuszczał Karol, poszkodowani nie okazali oburzenia w stosunku do złodzieja. Nie było wymyślań, nie rzucono się na Carty'ego z pięściami. Heartowie musieli zaliczać się do ludzi spokojnych, o nieco filozoficznych skłonnościach — co z wielką ulgą stwierdził Karol Gordon. Z ulgą, ponieważ nie lubił sytuacji, w której dwu biło bezbronnego przeciwnika, nawet jeśli ten był winien. Karol wiedział, że gdyby do tego doszło, stanąłby w obronie złodzieja. A to bardzo pogmatwałoby jego stosunki z całą rodziną i zapewne uniemożliwiło wspólną wędrówkę ku Czarnym Górom.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił po powrocie było dokładne skrępowanie Carty'ego, gdy tylko zeskoczył z siodła. Rzeczą drugą — pokrzepienie się sporym kawałem antylopiej pieczeni i podpłomyka. Okazało się bowiem, że Abel Heart miał tym razem szczęśliwą rękę i celniejsze oko. Upolował wcale niezłą sztukę.

Z kolei Karol opowiadał o swej pogoni. Wysłuchali go nie przerywając ani słowem. Dopiero gdy skończył, zabrał głos Samuel:

— W bardzo krótkim czasie oddałeś nam dwie przysługi. Tak wielkie, że aż trudno je ocenić. Możesz odtąd liczyć na każdego z nas, zawsze i wszędzie.

Powiedziawszy to podniósł się od ognia i uściskał Karola. Po nim uczynił to Abel, po Ablu Jessie, po Jessie — mały Jack wspiął się na palce i ucałował swego niedawnego wybawcę w oba policzki. Wszystko to odbyło się z powagą, niemal uroczyście, jakby Karola adoptowano na członka rodziny. Poczuł się wzruszony, a swych towarzyszy uznał raz jeszcze za sprawiedliwych i dobrych ludzi. Ta opinia znalazła potwierdzenie, gdy poczęto radzić nad dalszym losem Carty'ego.

— Słyszałem — zaczął Abel Heart — że w tych stronach koniokradów po prostu się wiesza. Przecież nie ma tu ani szeryfów, ani sędziów, ani więzień.

Samuel spojrzał nań ostro.

— Przepraszam, ojcze. Jeszcze nie skończyłem. Ja jednak jestem przeciwny sądowi Lynch'a. Uważam taką procedurę za bezprawie. To wszystko.

— Dobrześ powiedział, synu — stwierdził Samuel. — Ale co my z nim poczniemy?

— Puśćcie go — nieśmiało zaproponowała Jessie. — Biedak dostał już za swoje.

— Jeżeli go zwolnimy — zauważył Karol — i oddamy broń, jaka gwarancja, że wyjdziemy cało z tej przygody? Powiem wam więcej: podejrzewam, że Carty jest ścigany za jakieś poważniejsze przestępstwo. Ukradł konie, by jak najprędzej stąd się oddalić, uznając, że podróż z nami, jako zbyt powolna, nie ocali go przed pościgiem.

— Może być tak, może być nie tak. Dowodów przecież nie masz.

Karol kiwnął głową.

— A więc — mówił dalej Abel — głosujesz za lynchem?

— Nie! — zaprzeczył Karol gwałtownie.

— Więc co? Sprawić mu lanie?

— Nigdy by nam tego nie darował. Nie zgadzam się.

— A na co się zgodzisz? — zapytał Samuel Heart.

— Proponuję odstawić Carty'ego do Laramie i złożyć zeznanie. Już tam się nim zajmą.

— Chyba żartujesz — oburzył się Abel. — Dzień jazdy w jedną stronę. Co za zwłoka w podróży!

— Dzień jazdy wozem — odparł spokojnie Karol. — Przecież nie potrzebujemy wozu. Konno da się dotrzeć do Laramie i w pół dnia.

— Konno? Mamy tylko dwa konie!

— Doskonale o tym wiem. Dwa konie wystarczą. Na jednym pojedzie Carty, na drugim ja.

— Ty!? — wykrzyknął Abel. — Nie zgadzam się.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że nie jesteś poszkodowanym, a zeznanie powinna złożyć osoba okradziona.

— Och, potrafię sprawę jakoś załatwić.

— Dosyć już dla nas zrobiłeś. Nie jesteśmy gromadką dzieci, którymi musisz się opiekować.

Karol parsknął śmiechem.

— Przepraszam, nie spojrzałem na sprawę od tej strony.

Abel poczuł się dotknięty.

— Nie potrzeba nam niczyjej wyręki — odparł ostro.

I chyba zaraz się spostrzegł, jak brutalnie zabrzmiały jego słowa, bo natychmiast zamilkł i uczyniło się nieprzyjemnie cicho.

— Abel — odezwał się po chwili Samuel Heart — nie powinieneś tak mówić. To nie są dobre sposoby rozwiązywania trudności. Nasz gość i równocześnie nasz przyjaciel, nie zasłużył na takie uwagi. Wybacz mu, Karolu — zwrócił się do Gordona. — Uczyniłeś dla nas tak wiele, że nigdy ci nie odpłacimy. Do Laramie ja pojadę. A teraz podajcie sobie ręce.

— Rzeczywiście — i wymamrotał zawstydzony Abel — strzeliłem głupstwo.

Uściskali się. I tak sprawa została ostatecznie rozstrzygnięta. Jednak o tym Derek Carty nic jeszcze nie wiedział. Umieszczono go dość daleko od ogniska i jeśli cokolwiek potrafił usłyszeć, to tylko jakieś strzępy zdań. Gdy więc Karol zjawił się przed nim, zagadnął ze źle maskowanym niepokojem:

— I cóż? Zdecydowaliście założyć mi postronek na szyję? Będzie z tym kłopot. Obawiam się, że żadna z gałęzi tych kiepskich drzewek nie udźwignie mego ciała.

— Nadrabiasz miną, a niepotrzebnie. Pojedziesz do Laramie.

Carty nic nie odpowiedział.

Tego samego dnia nad wieczorem niespodziewani goście zjawili się w obozowisku Heartów. Dwu jeźdźców: jeden nieco starszy, drugi młodzieniaszek, wyglądający na szesnaście—siedemnaście lat. Dostrzegłszy wóz, natychmiast wstrzymali bieg swych wierzchowców, zeskoczyli z siodeł i grzecznie uchylili szerokoskrzydłych kapeluszy. Mimo takiego powitania Karol delikatnym ruchem przysunął do siebie winchester.

— Przepraszam — odezwał się starszy — poszukujemy pewnego człowieka. Wygląda... — tu podał rysopis przypominający Carty'ego.

— Czy pan jest szeryfem? — zapytał Samuel z nadzieją w głosie.

— Nie. Jestem tylko człowiekiem... okradzionym. Bezczelnie okradzionym! Jak o tym pomyślę — machnął ręką i nie dokończył zdania. — Można spocząć?

Na zapraszający gest Samuela rozciągnęli się na trawie.

— Bardzo męcząca droga — usprawiedliwiał się starszy. — Czy nie zrobi wam różnicy, jeśli zostaniemy tu na noc? Miejsce jak wymarzone, trawa dla koni, woda dla ludzi.

— W tych okolicach — odparł Samuel — nikt nie stroni od towarzystwa uczciwych ludzi.

Słowo „uczciwych" wymówił ze specjalnym naciskiem. Zostało to odpowiednio zrozumiane.

— My właśnie do tych uczciwych należymy, a padliśmy ofiarą nieuczciwego człowieka. Nazywam się Harry Flanagan, a to mój syn George. Mamy farmę hodowlaną w okolicach Cheyenne. Przed paru tygodniami przybył do nas niejaki Derek Carty. Przynajmniej za takiego się podawał...

Heartowie i Karol spojrzeli porozumiewawczo na siebie, ale nie rzekli ani słowa.

— Otóż ten drapichrust potrafił nas chyba zaczarować — mówił Flanagan. — Uwierzyliśmy we wszystko, co nam bajał. Twierdził, iż w swej podróży na zachód padł ofiarą bandy rabusiów, którym z trudem udało mu się wyrwać. Jedynie z bronią i małym tobołkiem, tak że pozostał bez środków do życia.

— Czy również opowiadał, że poluje na grzechotniki? — wtrącił się Karol.

— Nie. Dlaczego pan pyta?

— Proszę sobie nie przerywać. Na to pytanie odpowiem później.

— Więc... jak już mówiłem, Carty nie miał centa przy duszy. Żal mi się zrobiło biedaka, przyjąłem go do pracy. Miał dozorować bydło. Różnił się bardzo, i to na korzyść, od moich półdzikich kowbojów, a poza tym robił wrażenie człowieka otrzaskanego z ludźmi i znającego świat. Dlatego mianowałem go nadzorcą. No i co powiecie? — tu klasnął się dłonią w udo. — Po kilku tygodniach sprzedał moje stado przygodnemu handlarzowi. Uczynił to tak sprytnie, że kowboje sądzili, iż działa na moje polecenie.

— A to gałgan! — mruknął Samuel.

— Zabrałem syna i ruszyłem w pościg za złodziejem. On uciekał na wschód z wypchanym workiem moich przecież pieniędzy. Dopadliśmy złodziejaszka w jakiejś dziurze...

— To się nazywało Goodwill — wtrącił George Flanagan — nad Niobrarą, w Nebrasce...

— Niech to — Harry machnął ręką — nie mam głowy do nazw. Otóż w tym Goodwill jest tylko jedna karczma...

— „Pod Szarą Sową" — wtrącił syn.

— Nieważne... W tej karczmie dopadliśmy uciekiniera. Wyobraźcie sobie, siedział spokojnie przy stole i rżnął w karty z grupą podobnych jemu włóczykijów. Leżał przed nim stos monet. Nawet się nie przestraszył na nasz widok ani okiem mrugnął. Myślę, że ograł swych towarzyszy niezbyt uczciwym sposobem i nie wiedział, jak się wycofać. Wstał od stołu, elegancko przeprosił graczy i powiedział do mnie, że wszystko „wyjaśni na stronie". No to wzięliśmy go „na stronę", do strasznie nędznego pokoiku. Oczywiście, nic nie wyjaśnił. Tłumaczył, że to była nadzwyczajna okazja dostać taką cenę za bydło. Mało tego, rozsupłał swój worek i wyciągnął stos pieniędzy. Powiadam wam: osłupiałem! Nie wiedziałem, co o tym człowieku sądzić: pomylony czy oszust? Zaraz go zapytałem, czemu to zamiast zwrócić mi pieniądze pognał nie wiadomo dokąd. Odparł, piąte przez dziesiąte, że w drodze powrotnej coś go napadło i postanowił odwiedzić Goodwill, w którym rzekomo chował się od maleńkości. Już gotów byłem w to wszystko uwierzyć, ale on sam popsuł dobre wrażenie. Nocowaliśmy we trójkę w jednym pokoju i rankiem...

— Już go nie było! — wykrzyknął Abel starając się opanować wesołość.

Karol odwrócił głowę, aby się nie roześmiać, a pani Jessie długo obcierała twarz chustką. Jeden Samuel Heart zdołał zachować powagę.

— Zgadł pan — stwierdził Harry Flanagan, wcale nie wyprowadzony z równowagi zachowaniem słuchaczów. — Nicpoń, zabrał pieniądze, nie wszystkie co prawda, coś musiało mu przeszkodzić. Karczmarz powiedział nam, że Carty wczesnym świtem odjechał na jednym z naszych koni.

— A to heca! — wykrzyknął Abel i aby nie wybuchnąć śmiechem, skrył się za budą wozu. Tym razem nawet Samuel dziwnie się rozkaszlał, zasłaniając twarz dłonią, a Karol pochylił głowę udając, że coś tam majstruje przy własnym bucie.

— I co się stało później? — zapytał po chwili, siląc się na poważny ton.

— Ruszyliśmy w pogoń. Gałgan zmylił nam tropy. Zamiast na wschód, skierował się na północ. Byliśmy w Laramie, podaliśmy jego rysopis żołnierzom. Twierdzili, że podobny człowiek bawił w pobliżu fortu przed kilku dniami, a nawet sprzedał konia jednemu z oficerów. Łatwo zgadniecie, że to był właśnie nasz koń.

— Zdumiewająca historia — powiedział Samuel Heart.

— Cóż w niej zdumiewającego? — zdziwił się starszy Flanagan.

— Musi to być spryciarz nie lada.

Karol pomyślał, że ten spryciarz trafił na wyjątkowo łatwowiernych i niezaradnych ludzi.

— Że spryciarz, to spryciarz — zgodził się Flanagan — ale tym razem złapiemy go ostatecznie i już nie puścimy!

— Skąd taka pewność? — zagadnął Karol.

— Stąd, że posuwamy się właściwym tropem. W Laramie żołnierze opowiadali, że Carty przyłączył się do jakichś wędrowców ciągnących z wozem ku Czarnym Górom.

Samuel Heart pogładził siwą brodę:

— Wygląda na to, że powiedzieliście prawdę. Ci wędrowcy z wozem to właśnie my, a Derek Carty leży pięknie związany.

— Złapaliście go? — wykrzyknął radośnie Harry Flanagan. — Skąd wiedzieliście...

— Ten spryciarz usiłował i nam ukraść konie, ale tym razem miał pecha — odpowiedział Abel.

— Gdzie on?

Karol powiódł przybyszów do więźnia.

— Ten sam — stwierdził George Flanagan. — Jak się czujesz, oszuście?

Carty nawet okiem nie mrugnął. Nie wydawał się być zaskoczony.

— Nieźle, nieźle — odparł rześkim głosem — tylko pęta nieco utrudniają swobodę ruchu.

— Rewidowaliście go? — zapytał Harry Flanagan.

Karol zaprzeczył:

— Nie było potrzeby. Ukradł nam tylko konie, a te odzyskaliśmy.

— Ależ on ma nasze pieniądze! — wykrzyknął starszy Flanagan. — O ile ich do tej pory nie przepuścił — dodał smętnie.

— Dobrze. Obejrzymy jego tobołek — zgodził się Karol — ale na jego oczach, żeby nie myślał, że chcemy go obrabować. Ile wam zabrał?

— Prawie dwieście dolarów, nie licząc konia.

Sprowadzono Samuela i Abla jako dodatkowych świadków, przyniesiono worek Carty'ego i na oczach delikwenta przystąpiono do sprawdzania zawartości. Najpierw ujrzał światło dzienne pled nie najlepszej jakości, później pokazały się dwie chusty na szyję, dwie kolorowe koszule, para skarpet, półfuntowa puszka mąki i druga ze sproszkowanym mięsem, kilka pokruszonych sucharów, prawie nowa para butów, sto ładunków do strzelby w kartonowych opakowaniach, zwój sznura, oderwana od buta podeszwa („A to mu po co?" — pomyślał Karol), obiecująco wyglądający woreczek, na który rzucili się obaj Flanaganowie. Gdy go rozwiązano — najpierw wywołał zdumienie, które zamieniło się w powszechną wesołość. W woreczku znajdował się z tuzin złociście połyskujących pierścieni i damskich kolczyków zdobnych kolorowymi kamieniami. Na pierwszy rzut oka — niezmierne bogactwo. Zaraz się jednak wykryło, iż te wszystkie klejnoty wykonano z tombaku!

— Widzę, że bawiłeś się w jubilera — zażartował Samuel Heart. — Ile osób nabrałeś na te fałszywe złoto?

Carty gwałtownie zaprotestował. Oświadczył, iż tombakowe precjoza służyły mu za podarki dla czerwonoskórych.

— Nic więcej? — zmartwił się Harry Flanagan.

— Chyba nic — odparł Karol, ale raz jeszcze wsadził rękę do wnętrza worka. — O! — zawołał — coś tam leży...

Po tych słowach wyciągnął jeszcze jeden woreczek, sporządzony z koźlej skórki, pękaty i owinięty rzemieniem. Kiedy go rozplatał, z wnętrza wysypało się na dłoń nieco żółto połyskującego piasku i kilka grudek wielkości orzecha. Widzowie oniemieli.

Pierwszy odezwał się Samuel Heart:

— Pokaż mi to — zwrócił się do Karola.

Z kieszeni spodni wydobył prymitywny kozik i naciął nim podaną grudkę. Nacięcie zalśniło jaskrawo.

— No, no. Chyba będziecie mieli z czego pokryć swoje straty — odezwał się do Flanaganów. — Złoto, najczystsze złoto. Gdzieś to znalazł? — zwrócił się do więźnia.

— Lepiej niech się pan zapyta, komu to ukradł — poprawił go Harry.

— Spróbujcie tego dowieść — odezwał się nagle Carty.

— No to skąd masz? — zapytał Karol. — Odkryłeś bonanzę?

— Mógłbym powiedzieć, że odkryłem, ale to nieprawda. Nie jestem poszukiwaczem. To złoto po prostu wygrałem w karty. W najuczciwszej grze.

Gordon tylko uśmiechnął się, a Harry Flanagan mruknął:

— Znamy się na tym.

— Znaleźliśmy, co mieliśmy znaleźć — odezwał się Samuel Heart — i to chyba dosyć...

— A rewizja osobista? — zaoponował starszy Flanagan. — Może on ma przy sobie nasze pieniądze? Z tym złotem to tylko kłopot. Któż je oceni?

— Dobrze — zgodził się Karol — już ja go obszukam.

— Tylko uważaj — przestrzegł Carty — mam łachotki...

W kieszeniach kurtki znaleziono składany nożyk, kawałek sznurka, kilka srebrnych monet dolarowych oraz wypchany portfel uszyty z wytartej, poplamionej skóry jelonka. Na niego zwrócono uwagę. Samuel Heart rozłożył skórzaną oprawę. Wewnątrz nie było nic poza pokaźną paczką banknotów. Przeliczono: wypadło trzysta dwadzieścia dolarów.

— Proponuję — powiedział Samuel — zwrócić poszkodowanym dwieście dolarów...

— I za konia — dodał szybko Harry Flanagan.

— I za konia — powtórzył Samuel.

— Kto by myślał, że on takie skarby z sobą nosi — mruknął Abel. — I włóczy się z tym nie wiadomo po co.

— Trzydzieści dolarów za konia — odezwał się znowu Harry Flanagan — to prawie za bezcen...

— Niech będzie — zgodził się Samuel — resztę pieniędzy zwracamy, prawda?

Flanaganowie milczeli. Heart wręczył portfel Karolowi, a ten wepchnął go do kieszeni kurty Carty'ego.

— I cóż ty na to? — zapytał Samuel więźnia. — Zgadasz się? Uważasz, że słusznie postąpiliśmy?

Carty roześmiał się:

— Dla mnie... niesłusznie, ale przecież was nie przekonam.

To powiedziawszy odwrócił się do nich plecami.

— Chodźmy do ogniska — zakończył śledztwo Samuel. — Pewnie jesteście głodni, bo ja tak.

Kiedy już zaspokoili głód i zapalono fajki, Flanagan zagadnął Samuela:

— Po co pan zwrócił mu pieniądze?

— A cóż z nimi miałem począć? — zdziwił się Heart.

— To nie są jego pieniądze.

— A czyje?

— Komuś ukradł.

— Trzeba by tego dowieść. Jeśli to nawet nie są jego pieniądze, nie są też ani wasze, ani nasze. Sprawę mógłby rozstrzygnąć sąd, ale gdzież tu sąd?

— Właśnie! — podchwycił Harry Flanagan. — Nie ma szeryfa, nie ma sędziego, nie ma ławy przysięgłych. Cóż w takim wypadku należy czynić?

— Odstawić oskarżonego tam, gdzie jest sędzia — wtrącił się Karol.

— Co? Wlec się z tym oszustem aż do Laramie? A jaka gwarancja, że nie ucieknie?

— Najlepszą gwarancją dobre oczy i mocny postronek.

— Wszystko to może zawieść. Proponuję coś innego: jesteśmy na prerii, są poszkodowani, są świadkowie i jest oskarżony. Cóż nam przeszkadza osądzić przestępcę na miejscu?

— Sąd Lyncha? — zagadnął Karol.

— A cóż by innego? Stary zwyczaj i dobry.

— Że stary, to prawda, ale czy dobry? Poczucie sprawiedliwości wymaga — powiedział z naciskiem Karol — aby poszkodowani nie sądzili oskarżonego, a spośród nie poszkodowanych jestem tylko ja jeden. Więc jakże tu wyrokować?

— To znaczy, że się pan nie zgadza?

— Nie.

— Ojciec ma rację — wyrwał się nagle George Flanagan. — Co tam będziemy się patyczkować z jednym złodziejem!

— Za bardzo zalazł wam za skórę i dlatego koniecznie chcecie go powiesić. Niech się w tej sprawie wypowiedzą inni.

— Właśnie! — ucieszył się George. — Niech inni zabiorą głos.

Do Custer City

Jechali teraz ku północnemu—wschodowi, ku ziemiom Dakoty, na granicy której rozciągało się pasmo Black Hills: rodzina Heartów i Karol Gordon. Ukazał się ich oczom posępny krajobraz — rozległe, jakby spopielałe na kształt pogorzeliska, ziemie. Nieco dalej ujrzeli żółtawe pagórki, później ponure, skaliste kaniony, których zaletą był tylko cień rzucany na wędrowców. Słońce grzało coraz mocniej, a podróżni raz po raz obcierali pot z czoła. Złymi Ziemiami nazwano niegdyś te tereny, i chyba słusznie.

Teraz zmienili szyk karawany. Jeden z konnych, na przemian Karol lub Abel, jechał na czele, drugi zamykał kawalkadę. Dla bezpieczeństwa.

— Flanaganowie byli uparci jak osły. To jest chyba najlepsze określenie — wspominał po latach Karol, gdy zapytałem go o losy Carty'ego. — Ci naiwni i raczej dobroduszni farmerzy okazali się nagle żądnymi krwi okrutnikami. Domagali się linczu i nie chcieli ustąpić, mimo iż mój pogląd został poparty przez obu Heartów. Wynikła z tego kłótnia przeciągająca się do późnych godzin nocnych i prowadzona coraz głośniejszym tonem. Carty oczywiście wszystko słyszał. Wyobrażam sobie, jak to musiał przeżywać!

Ostatecznie przekonał ich Samuel. Po prostu zapytał:

— Co straciliście przez Carty'ego?

— Jak to, co? — oburzył się starszy Flanagan. — Trzykrotnie nas okradł: z bydła, pieniędzy i konia.

— Ale przecież za bydło i za konia otrzymaliście zapłatę, a te dolary, które wam zabrał w jakimś Goodwill, również odzyskaliście. Czy nie tak?

— To prawda — przyznał niechętnie Harry Flanagan.

— Więc za co chcecie go karać?

Nasi goście na chwilę zapomnieli języka w gębie, na koniec młodszy wykoncypował zarzut:

— Straciliśmy mnóstwo czasu ścigając złodzieja!

— Prawda — przyznał Samuel — należy mu się kara, ale przecież nie stryczek!

Długo rozważali ten problem. Samuel Heart okazał się człowiekiem sprytnym, a obu farmerom nie przyszło do głowy, że zawsze karze się złodzieja za jego postępek, bez względu na to, czy przedmiot skradziony został mu odebrany, czy nie. Ale po cóż miałem to tłumaczyć? I wtedy nareszcie zgodzili się z nami. Ponieważ Flanaganowie wracali do Cheyenne, musieli jechać przez Laramie i mogli odstawić tam Carty'ego. Jednakże nie bardzo im ufałem. Wziąłem na stronę Samuela i zwierzyłem się ze swych wątpliwości. Zrozumiał je i zgodził się, abym eskortował więźnia aż do fortu.

W Laramie, razem z Flanaganami, złożyłem zaprotokołowane zeznanie, przekazałem więźnia, a przy okazji nabyłem strzelbę dla Samuela. Nie chciał jej przyjąć, wreszcie zgodził się potraktować dar jako „pożyczkę". Tak się zakończyła tamta historia.

Wzięli sobie do serca dawne ostrzeżenie Carty'ego i napełnili wodą wszystkie wolne naczynia, ale nie przewidzieli, że podróż przez pustynię trwać będzie tak długo. W kilka dni po opuszczeniu obozowiska wóz ugrzązł w rozpadlinie. Ani muły, ani przyprzęgnięte dodatkowo konie nie potrafiły wyciągnąć wehikułu z pułapki. Trzeba było wóz rozładować. Najgorzej poszło z ciężką, bo pełną wody beczką. Trzech mężczyzn z trudem dało jej radę, ale część cennego płynu wylała się. Z resztą poszło łatwiej, jednak na rozładunek i załadunek zmarnowano połowę dnia. Gorszy kłopot przydarzył się nazajutrz: pękło koło. To już była poważniejsza sprawa. Znowu musieli częściowo rozładować wóz. Karol nigdy nie dałby sobie rady z naprawą, ale przecież Heartowie byli kowalami, a w jakimś stopniu i kołodziejami, wieźli więc ze sobą najpotrzebniejsze narzędzia kowalskie oraz kilka obręczy. W naprawie Karol nie brał udziału, zajął się natomiast pilnowaniem obozowiska i szukaniem — bezskutecznym — zwierzęcych tropów. Kiedy wreszcie koło zostało zbite, trzeba było naciągnąć na nie nową obręcz. Jest ona zawsze nieco mniejsza i aby ją założyć, należy rozgrzać do czerwoności, wówczas obwód nieco się rozszerzy, a stygnąc, silnie ściśnie koło. Musieli więc rozpalić ogień, ale że drzewa w pobliżu nie było, Karol ruszył na poszukiwanie. Spenetrował kilka wąwozów, gdzie rosły jedynie kępy bawolej trawy, zanim wreszcie zmęczony i zniechęcony znalazł w niewielkiej kotlince kilka karłowatych, prawie martwych dębów. Z naręczem gałęzi i kawałków kory przywlókł się do obozowiska tak zmordowany, że nawet nie starczyło mu siły, by przyglądać się operacji nabijania obręczy na koło.

Tego dnia nie wyruszyli już w dalszą drogę. Za to następnego mocno nadrobili zwłokę. Skończyły się co prawda wszelkie ślady kolein i końskich kopyt. Burza piaskowa, ta sama, która zaskoczyła Karola, zatarła szlak dyliżansu jeżdżącego do Czarnych Gór i teraz już nikt z podróżnych nie wiedział, czy posuwają się we właściwym kierunku. Jednakże Heartowie nie tracili serca.

— W końcu gdzieś dojedziemy — rozmyślał głośno Samuel. — Złe Ziemie gdzieś się przecież muszą skończyć, a dalej znajdziemy wodę, trawę i zwierzynę.

Ba, gdyby jeszcze wiedzieć, ile dni drogi dzieli ich od tej upragnionej wody. Tymczasem nic nie zapowiadało kresu pustynnych terenów. Już, już byli pewni, że wyjeżdżają z labiryntu skalnych zakamarków, gdy ujrzeli lśniącą płaszczyznę i uwierzyli, że po kilku milach zobaczą

lasy i łąki. Niestety, była to tylko gruba powłoka soli alkalicznych, na której nie rosło nawet źdźbło trawy. Można tu było jedynie zwiększyć szybkość jazdy, co omal nie spowodowało katastrofy.

Tego właśnie dnia Karol wyprzedzał karawanę wypatrując jakichkolwiek śladów: zwierząt lub ludzi. Wóz toczył się co sił w nogach mułów, zostawiając za sobą biały tuman kurzu. Narowista Kully jakoś zapomniała o swych narowach, zreperowane koło trzymało się znakomicie, a gładka droga napawała wszystkich otuchą. Wtedy to Karol dostrzegł ciemną smugę przecinającą w poprzek biel płaszczyzny. Serce zabiło mu nadzieją: może to jar, na dnie którego toczy swe wody jeden z nie znanych strumieni? Zmusił konia do szybszego biegu, ale im bliżej znajdował się celu, tym bardziej zaniepokojony zwalniał tempo jazdy. Zatrzymał się w porę, a w sekundę później wrzasnął na rozpędzony wóz. Samuel skręcił, koła zatoczyły szerokie półkole i znieruchomiały.

— Co takiego?

— Nie ma przejazdu. Zobaczcie!

Ziemia rozpękła się w tym miejscu, ukazując czarne wnętrze o stromych ścianach i ledwo widocznym dnie. Zafrasowali się.

— Nie przejedziemy — stwierdził markotnie i zupełnie niepotrzebnie Abel.

— Nie przejedziemy, to objedziemy — zauważył optymistycznie Samuel.

— Na pewno, ta dziura przecież gdzieś się kończy — odparł Karol — ale możemy zagubić się z kretesem na bezdrożach, jeśli już nie uczyniliśmy tego. Jedziemy i jedziemy, a żadnych znaków na ziemi, wygląda na kompletne pustkowie. Podejrzewam, że tędy dyliżans nigdy nie kursował. Przecież ta zapadlina jest stara jak świat!

— Hm, pewnie i masz rację — przyznał Heart — ale narzekania do niczego nas nie doprowadzą. Ruszajmy.

— Na prawo czy na lewo? — zapytał Karol. — Przestałem się orientować, gdzie północ, gdzie południe. Szkoda, że tu nie rośnie ta wasza magnetyczna roślina.

Po krótkiej naradzie zdecydowali skręcić w prawo. Z położenia słońca wywnioskowali, że wschód musi być „gdzieś w tamtej stronie", a na wschodzie leżą Czarne Góry.

Objazd rozpadliny trwał kilka godzin, ale obyło się bez kłopotów. Abel Heart przypadkowo trafił na dziurę wykopaną w ziemi, która na pewno stanowiła dzieło rąk ludzkich. Przerwano podróż i cała rodzina Heartów zgromadziła się roztrząsając, każdy na swój sposób, powód, dla którego ktoś się tu tak bardzo namozolił. Otwór w ziemi był głęboki, kształtem przypominający wielki lejek, na dnie którego połyskiwała wilgoć.

— Ab — rozkazał Samuel — przynieś sznur i wiadro. Zobaczymy, jak to wygląda.

Opuszczono wiadro w głąb otworu. Abel podciągał je i opuszczał, aby jak najwięcej nabrać wody, w końcu sznur się naprężył. Zwinnie i szybko uporali się z windowaniem wiadra w górę — było wypełnione zaledwie do połowy szarobiałą cieczą.

— Woda — ucieszyła się Jessie — ale wygląda jakoś kiepsko...

— Byle była zdatna do picia! Skocz no który po kubek — zarządził Samuel, zaczerpnął gęstego płynu, wąchał, a później posmakował.

— No i co? — zagadnął Karol.

— Spróbuj, więcej w tym piasku niż wody. Konie nie będą tego piły, ale nam chyba nie zaszkodzi.

Z tym stwierdzeniem zgodzili się wszyscy i znalezienie „dziury” uznali za bardzo pomyślne zdarzenie. Radość zmalała, gdy po wydobyciu czwartego kubła okazało się, że zawiera on już tylko wilgotny muł.

„Dziura” stała się tematem wieczornej rozmowy przy ognisku. Jej odkrycie świadczyło, że Złe Ziemie nie były tak suche, jak je opisywano. Gdzieś tam, na głębokości kilkunastu stóp musiały się znajdować podziemne źródła, kto miał szczęście, ten dobrze trafiał. A poza tym „dziura” stanowiła oczywisty dowód, że okolica nie była tak bezludna, jakby się wydawało.

Następnego dnia znaleźli potwierdzenie swych przypuszczeń: koleiny wozu i ślady kopyt, prawie zupełnie świeże. Popędzono muły tym śladem, licząc, że zbliża się kres ciężkiej wędrówki. Jednakże mylili się.

Jeszcze sześć dni trwała podróż, aż któregoś popołudnia, wjechawszy na szczyt kopulastego wzgórka, ujrzeli w dole, chyba z milę przed sobą, zielone pasmo wijące się zygzakowato z krańca po kraniec horyzontu.

—Rzeka! — zawołał Karol.

Muły ruszyły żwawiej, konie zerwały się do biegu poczuwszy wilgoć. Ale dotrzeć do wody, nie było łatwo. Strumień — bo nie sposób nazwać go rzeką — płynął dnem doliny. Gładka płaszczyzna, gdzieniegdzie tylko znaczona lekkimi wzniesieniami, urywała się raptownie nad przybrzeżną równiną, szeroką chyba na dwieście kroków. Tylko piechur mógł tędy zejść. Karol i Abel rozjechali się w przeciwne strony szukać dogodnej drogi. Abel wrócił nie odkrywszy żadnego zjazdu. Karol trafił, o pół mili w górze rzeki, na łagodnie opadający parów. Tam skierowano wóz i przy użyciu hamulców zjechano na zieloną łączkę. Po tylu dniach podróży zwierzęta mogły się wytarzać w trawie, a ludzie odpocząć wreszcie wśród drzew i krzewów porastających brzegi. Na środku nurtu leżały małe wysepki oblewane drobną falą. Płytka woda toczyła się leniwie po złocistym piasku.

Dwa dni i dwie noce spędzono w tej oazie zieleni, ku zdziwieniu Karola, który uważał, że ta rzeczka oznacza kres Złych Ziem, a dłuższy postój tutaj jest tylko marnotrawstwem czasu. Zwierzył się z tego Samuelowi, ale tamten był innego zdania.

—To wcale nie koniec — stwierdził. — Przestrzegano mnie, jeszcze przed naszą podróżą, abym nie łudził się, że pierwszy potok to kres kłopotów. Może właśnie o tym potoku mi wspominano, nazywa się Indian Creek. Ale stąd do Czarnych Gór droga wcale nie lepsza od tej, którą przebyliśmy. Zobaczysz.

Samuel Heart nie mylił się, chociaż przez pierwsze godziny mogło się wydawać, iż słuszność jest po stronie Karola. Posuwali się bowiem wśród łąk, gdzie rosły kępy; krzewów, a wóz żłobił głębokie koleiny w wilgotnej glebie. Lecz rychło ujrzeli znowu piaszczyste osypiska, na których rosły już tylko kaktusy. Potężne głazy dziwacznych kształtów sterczały tu i tam zieleń znikła, ziemia przybrała znowu ciemnobrązową barwę. Jechali wzdłuż widocznych śladów, szlak był przetarty, a więc droga właściwa. Tak posuwając się dotarli do szerokiego rozlewiska rzeki. Na przeciwległym, wyższym brzegu ujrzeli budynek podobny do kwadratowego pudła. Ten widomy znak życia ucieszył wszystkich, jeszcze bardziej uradował widok wozu, wokół którego krzątała się gromadka ludzi. Rzekę przebyli bez trudu, tak była płytka.

—Hej! — zawołał Samuel, zatrzymawszy muły i zeskoczywszy z kozła. — Co to za woda?

— Cheyenne! — odkrzyknął jakiś dryblas i zaraz zbliżył się, ciekawy nowo przybyłych. — Nie mieliście jakich trudności? — zagadnął.

— Trudności? — powtórzył Karol. — A pewnie, były. Koło się złamało.

Dryblas machnął pogardliwie ręką:

— Nie to mam na myśli. Spotkaliście Indian?

— Nie spotkaliśmy nikogo — odparł Samuel. — Na nasze nieszczęście, bo trochę pobłądziliśmy...

— Mary! — wrzasnął nieznajomy w stronę budynku.

— Co?

— Chodź tutaj!

Zbliżyła się starsza, tęgawa kobieta.—

— Słyszałaś?

— Co miałam słyszeć?

— Popatrz na nich, jacy szczęściarze.

— Znaleźli złoto?

— Głupstwa gadasz, Jakie tam złoto! Oni nie widzieli Indian, a ja myślałem, że po naszym przejeździe już nikt tamtędy się nie przedostanie.

Cały czas wykrzykiwali do siebie, ale teraz Mary podeszła do wozu.

— Czy to prawda? — zagadnęła Samuela.

— Nikogo nie spotkaliśmy — potwierdził. — Opowiedzcie, co tu się wydarzyło.

— Czemu nie? Ja jestem Mary Dugan, a to mój mąż, Frank. Jechaliśmy więc tą przeklętą drogą aż z Laramie, ale później spadła piaskowa burza, zatarła ślady i z kretesem straciliśmy kierunek.

— Trochę to nieostrożnie wędrować we dwoje — wtrącił Abel. — Mogliście poczekać, aż się zbierze większa gromada.

— Ależ nas nie było dwoje — zaprzeczyła pani Mary. — Nie mówiłam o tym?

— Nie — wtrącił się jej mąż.— Nie potrafisz opowiadać po kolei. Może ja...

— Cicho, Frank! Wyjechaliśmy w dobrym towarzystwie, prosto z Hutchinson...

— Powiadaliście, że z Laramie — przerwał Samuel.

— I dobrze mówiłam. Laramie było później, a na początek właśnie Hutchinson. To ładne miasteczko w Kansas.

— Kawał drogi — mruknął Karol, ale zaraz pożałował swego odezwania, bo spowodowało ono szereg zbytecznych wyjaśnień. Nie wiadomo, jak długo by trwały, gdyby nie ponowna interwencja Franka:

— Skończ wreszcie — zażądał. — Tych panów nic a nic nie obchodzi Kansas.

— Skąd wiesz? Ale dobrze. Więc jak nas ta burza zaskoczyła... nie, zapomniałam dodać, że jedzie z nami mój brat z żoną i dwoma chłopakami. Więc... po tej burzy zbłądziliśmy...

— Już o tym mówiłaś — wtrącił się Frank.

— Cicho bądź i nie przerywaj. Zaczęliśmy się kręcić tędy i owędy, a każdy wskazywał inny kierunek. Zupełnie zgłupieliśmy na tych bezdrożach..

— Ale nie ja — zaprotestował małżonek. — Trzeba było jechać tak, jak mówiłem od samego początku...

— Frank! Przestań, się mądrzyć! Żeby nie Indianie, nigdy nie wyplątalibyśmy się z tej sytuacji.

— Indianie wam pomogli? — zapytał Karol, zniecierpliwiony gadaniną.

— Gdzie tam! — wykrzyknął mężczyzna, kobieta nie dała mu dojść do słowa.

— Indianie naprowadzili nas na właściwy kierunek. Napadli któregoś ranka, gdy już mieliśmy wóz gotowy do drogi. Wyjechali ze wszystkich stron naraz i poczęli strzelać.

— Dużo ich było? — zagadnął Karol.

— Pięciu, chyba wystarcza! Poczęli do nas strzelać z łuków, na szczęście nie mieli broni palnej. Przecież i z łuku można człowieka zabić. Podziurawili budę od wozu, że wygląda teraz jak sito. Pognaliśmy przed siebie, a oni za nami. Do końca życia nie zapomnę tej jazdy. Bałam się, że wpadniemy w jaką dziurę i tamci nas dognają.

— Lecz nie dognali.

— Nie. Po jakimś czasie dali nam spokój. I okazało się, że uciekając trafiliśmy przypadkiem na szlak dyliżansu. Dlatego właśnie powiadam, że Indianie nam dopomogli znaleźć właściwą drogę. Nie chciałabym drugi raz korzystać z takiej pomocy.

— A dokąd teraz? — zapytał Samuel.

— Do Custer City.

— Co to takiego?,

— Osada w Black Hills założona w miejscu w którym żołnierze Custera znaleźli złoto. Jedźcie z nami, będzie raźniej.

— Chętnie, ale musimy dać odpocząć zwierzętom.

— Nie ruszymy przed jutrem, namyślcie się.

Kiedy odchodziła, Samuel zdążył ją zapytać:

— A co to za dom?

— Tam mieszka handlarz. Jak wam czego brakuje, możecie kupić, jednak nie radzę, bo to zdzierus. Do zobaczenia.

Heartowie zajęli się rozkładaniem obozowiska. Gdy napojono muły i konie i spętane puszczono na trawę, trzej mężczyźni dla zaspokojenia ciekawości udali się do handlarza.

Takich budynków Karol do tej pory jeszcze nie oglądał. Zbity z nie okorowanych bali, prawie kwadratowy dom, miał malutkie, wąskie okienka, wzorem obronnych blokhausów, a drzwi również wąziutkie, że pojedynczy człowiek ledwie mógł się przez nie przecisnąć. Wnętrze wyglądało nie mniej ciekawie. Jedna obszerna izba, półmroczna, stanowiła równocześnie saloon, sklep i bawialnię. Saloon znajdował się po lewej stronie... Tworzyła go lada z nie heblowanych desek, a za ladą na ścianie półki z takich samych desek, zastawione rzędem butelek.

— Napijemy się, ojcze? — zaproponował młody Heart.

— Nie słyszałeś, co mówiła tamta kobieta? Mamy cztery butelki whisky, po co przepłacać?

— Przecież to nasz zapas.

— Jak zapas, to nie będziemy pić.

— Napiłbym się z Karolem — westchnął Abel.

— Z Karolem, powiadasz — zastanowił się Samuel — hm... on jest wart tego. Chodźcie.

Ale Karol nie ruszył się z miejsca.

— Bardzo was przepraszam — powiedział — nie mogę się zrewanżować...

— Nie gadaj głupstw — zgromił go Samuel. — Nie potrzebujesz nam stawiać. No...

Podeszli do szynkwasu, za którym tkwił właściciel przedsiębiorstwa, w brudnym kaftanie, kiedyś zapewne posiadającym właściwą barwę, ale teraz koloru raczej nieokreślonego.

— Co podać?

Nie czekając na odpowiedź postawił na desce trzy szklanki i napełnił je żółtawym płynem.

— Za twoje zdrowie, Karolu, i żeby ci się zawsze szczęściło — powiedział Samuel.

Karol niejeden raz w życiu próbował whisky, ale takiego paskudztwa nigdy jeszcze nie miał w ustach. Kosztowało go sporo wysiłku, aby się nie zakrztusić. Płyn palił gardło, a pachniał myszą. Podobnie ocenili go obaj Heartowie, bo kiedy sprzedawca sięgnął po butelkę, pokręcili przecząco głowami. Samuel zapłacił, coś tam mrucząc do siebie. Ile to wyniosło, Karol nie zauważył, Heart plecami zasłonił wykładane na deski monety. Ruszyli pod przeciwległą ścianę. Tam znajdował się sklep: kontuar, a za kontuarem brodaty jegomość. Na półkach biegnących wzdłuż belek leżały stosy traperskich koszul, paczki z amunicją, lassa, derki, buty, kolorowe chusty, a nawet dwa siodła. Z boku sterczały lufy strzelb. Jak z tego wynikało, sklep był doskonale zaopatrzony.

Przeszli powoli przez środek izby, gdzie stały wbite w klepisko koślawe stoły i ławy.

— Jeżeli te wszystkie towary są tak samo dobre, jak tutejsza whisky — mruknął Abel — nie dziwię się, że nie widać kupujących.

— Chyba nie jest tak źle — odparł Samuel. — W przeciwnym wypadku zwinęliby interes.

Wrócili do wozu mijając po drodze ognisko, przy którym rozlegał się mocny głos Mary Dugan, i zajęli się własnym gospodarstwem.

Noc upłynęła spokojnie, sąsiedztwo Duganów nie było ani hałaśliwe, ani krępujące. To oni zaproponowali rozłożenie nocnej warty na wszystkich mężczyzn, co skróciło ten przykry obowiązek do zaledwie półgodzinnych dyżurów.

Rankiem oba wozy, przy okrzykach jeźdźców i nawoływaniach woźniców, ruszyły ku Czarnym Górom.

Karczmarz

— Niech mnie powieszą! — krzyknął nagle Abel Heart. — Przecież to kojot!

— Chyba pies — wyraził wątpliwość jadący obok Karol. — Skąd by tu znalazły się kojoty?

— Przyjrzyj się dokładnie. Stoi za rogiem żółtej budy.

Karol wstrzymał konia.

— Rzeczywiście — odparł zdumiony.

— Co tam? — zawołał Samuel podjeżdżając wozem.

— Kojot —odparł Abel.

— To nie powód, żeby się zatrzymywać. Jedźmy dalej, może wreszcie spotkamy człowieka.

Ruszyli rozglądając się na wszystkie strony, a było na co popatrzeć.

Do Custer City przyjechali dobrze po południu, po rozstaniu się z Duganami, którzy postanowili jechać dalej, do Hill City, bo tam mają znajomka. Na pytanie, co to jest Hill City i skąd o nim wiedzą, odparli, że nie jest to ani lepsza, ani gorsza dziura niż Custer City i wszystkie inne osady powstałe w Czarnych Górach, a wiedzą o Hill, ponieważ stamtąd przed kilku miesiącami otrzymali list.

Tak więc Heartowie i Gordon znowu zostali sami, ale już u celu podróży. Nie przedstawiał się on wesoło. Kiedy wjechali między pierwsze budy niby–drogi, niby–ulicy Custer City,

sądzili, iż tak wygląda przedmieście. Lecz w miarę jak krok za krokiem posuwali się ku rzekomemu centrum miasteczka — miny się im wyciągały. Na prawo i na lewo, wśród nieregularnych przerw — pustych placyków, na których walały się śmiecie, kawałki drzewa, puszki po konserwach i resztki jedzenia — stały sklecone z desek lub gałęzi nędzne szałasy, niekiedy nawet jamy wygrzebane w ziemi, przykryte deskami, na które nałożono pasma darni.

— To chyba psie budy? — zdziwiła się pani Jessie.

— Obawiam się, że nie — odparł Samuel. — Tam mieszkają ludzie.

— Okropność! Chyba ci się zdaje, ojcze, wewnątrz nikogo nie ma.

— I mnie się widzi, że całe to Custer jest wymarłą osadą, ale może jeszcze ktoś został. Szukajmy.

Powlekli się przed siebie wzdłuż nieregularnej linii ziemianek, szałasów, czarnych śladów po ogniskach. Wreszcie natrafili na budowle nieco przypominające domy, bo zbite z bali, z okiennymi otworami i drzwiami, ale — cóż za dziwo! — pozbawione dachów! Na koniec, kiedy już stracili nadzieję znalezienia chociaż jednego mieszkańca tych ruder, nieoczekiwanie spostrzegli dom bliźniaczo podobny do tego, który odwiedzili podczas postoju nad rzeką Cheyenne. Nad drzwiami wisiała poprzeczna deska z wymalowanym na niej czarną farbą napisem: „French Creek Saloon".

— Zobaczmy, jak wygląda ten French Creek od środka — zadecydował Samuel i zeskoczył z kozła. Przywiązali konie do dwu długich żerdzi wbitych w ziemię. — Ciekaw jestem, czy ten saloon obsługują ludzie czy duchy?

— Nie duchy, szanowni goście, jakem Patrick Musgrave. Skąd droga prowadzi?

Ta informacja została wypowiedziana jednym tchem, tak szybko, że zaledwie zrozumieli jej znaczenie. Patrick Musgrave — jak sam się przedstawił — był małym, krępym, prawie okrągłym człowieczkiem, z głową pozbawioną nawet śladów włosów, błyszczącą jak kula bilardowa.

— Wejdźcie, podróżni — zachęcał. — Pusto tu teraz i nudno. Przez sześć dni w tygodniu nie ma do kogo gęby otworzyć.

— A siódmego dnia? — zagadnął żartobliwie Karol.

— O... siódmego! W każdą niedzielę rojno tu jak na najruchliwszej ulicy Nowego Jorku.

— A gdzież ci ludzie? — zdziwił się Samuel Heart.

— Gdzie? Ktoś doniósł, że więcej złota ma być w głębi gór. Najpierw grzebali w dolinie French Creek...

— I dużo znaleźli? — zapytał Abel.

— Jedni mniej, drudzy więcej. Jak to zwykle bywa. Później poszła plotka, że gdzie indziej można wybierać nuggety garściami. Rzucili wszystko i pognali, ale na niedziele wracają. Nic w tym dziwnego, mój lokal jest jedyny w obrębie stu mil. Wejdźcie. Pierwszą kolejkę ja stawiam! — Skłonił się elegancko i wykonał zapraszający. — A poza tym — dodał — dowiecie się mnóstwa szczegółów, o których każdy nowo przybyły powinien wiedzieć, bo inaczej zginie tu z kretesem. O! — wykrzyknął — jest i miss!

— To moja żona — wyjaśnił Abel Heart.

— Bardzo przepraszam, wygląda tak młodo. O, i dziecko! — ucieszył się nagle. — Wejdźcie wszyscy. Dla każdego coś znajdę.

Cofnął się do wnętrza, a za nim wkroczyła cała gromadka wędrowców.

Wnętrze nie miało wyglądu typowego saloonu, było czymś pośrednim między karczmą a sklepem, odpowiednikiem przedsiębiorstwa, jakie oglądali nad Cheyenne, ale bardziej eleganckim. Bufet był właśnie taki, jaki przeciętnie spotyka się w saloonach na Wschodzie, z blatem obitym lśniącą blachą, z kurkami do piwa i wgłębieniem do mycia naczyń. Za bufetem stała solidna szafa pełna butelek o kolorowych etykietach. W sumie — jak na te zapadłe strony — zdumiewający luksus.

Whisky była taka, jaka powinna być. Może dla uczczenia niespodziewanych gości, a może szynkarz w ogóle nie fałszował trunków. Kiedy odeszli od bufetu, poprowadził ich do sąsiedniej izby, zamienionej w skład materiałów i sprzętu potrzebnego każdemu, kto wybiera się w daleką drogę. Były tu i artykuły spożywcze, i przemysłowe.

Karczmarz oddarł kawałek papieru z jakiejś paczki, sięgnął dłonią w głąb blaszanego pudła, wydobył garść cukierków i wręczył Jackowi.

— Dla nowego obywatela Custer City, aby ci się dobrze wiodło.

Pani Jessie otrzymała spory kawałek błękitnej szarfy. A kiedy wzbraniała się przyjąć i Abel Heart wyciągnął swą zniszczoną sakiewkę, gospodarz zaprotestował:

— Nie, nie! Dziś jesteście moimi gośćmi i chyba jedynymi w tej chwili, oprócz mnie, ludźmi w Custer City. Płacicie mi najlepszą monetą rozmawiając. Strasznie się nudzę.

Podziękowali, nieco dziwiąc się hojności właściciela, zapominając, że prawdziwa wartość tych darów, nie wyłączając whisky, nie przekraczała jednego dolara.

— A teraz — powiedział karczmarz prowadząc ich z powrotem do saloonu — udzielę wam rad. Siadajcie.

— Przyda nam się rada — zauważył Samuel — nie bardzo wiemy, dokąd się skierować.

— Powiem i o tym. Ale najpierw: w jakim celu przybyliście tutaj?

Spojrzeli nań zdziwieni. Zauważył to i roześmiał się:

— No, bo widzicie, chociaż większość przybyłych szuka złota, to przecież nie wszyscy. Ja, na przykład, nigdy nie miałem zamiaru stać z miską w wodzie i godzinami przepłukiwać piasek. Ani to zdrowe, bo ludzie chorują z przeziębienia, ani zyskowne, bo zaledwie jeden na stu coś tam zbierze, reszta albo głoduje, albo stąd czym prędzej ucieka. Żywność tu jest bardzo droga.

Widząc zmartwienie na twarzach gości dodał:

— Nie jest przyjemnie tego słuchać, lepiej jednak wysłuchać niż doświadczyć na własnej skórze. Wierzcie mi albo nie.

— Wierzymy — odparł Samuel — ale nie będziemy biadolić na próżno. My jesteśmy twardzi ludzie i nie ustąpimy przed byle czym!

— I słusznie. Coście porabiali do tej pory?

— Prowadziliśmy kuźnię w Louisville.

— Gdzie to?

— W pobliżu Omaha.

— Źle wam szło?

— Tego powiedzieć nie można — odparł Samuel.

— I zachciało się wam wędrówki?

— Mówiono...

— Wiem dobrze, co mówiono, ale nie trzeba tak od razu wszystkim wierzyć.

— Gadacie, jakby tu nie było złota — wtrącił się porywczo Abel.

— A jakże, było i na pewno jeszcze jest. Tylko że w Czarnych Górach więcej szukających niż nuggetów. W tym rzecz!

— Wędrowaliśmy z Cheyenne i spotkaliśmy po drodze jeden tylko wóz.

— Widać wybraliście najmniej uczęszczaną drogę, na innych nie jest tak pusto. Mieliście jaki wypadek?

— Próbowano ukraść nam konie.

— Ha, jeśli tylko tyle, znakomity to musi być szlak. Którędy wiedzie?

— Przez Laramie.

— A później w poprzek Złych Ziem?

Samuel skinął głową.

— Tamtędy jeździ dyliżans, ale inni wybierają krótszą drogę. Na przykład z Omaha w górę Missouri aż za Pierre, a później prościutko na wschód, doliną rzeki Cheyenne. Rojny to szlak, lecz największe tłumy ciągną z Omaha przez Sioux City, koleją, dalej wodą w górę Missouri albo konno do Pierre. Jeśli jednak drogę mieliście bezpieczną, to znaczy, że była najlepszą z najlepszych, a reszta się nie liczy.

— Indianie napadli — wtrącił się Karol.

— Więc jednak!

— Ale nie na nas — i tu opowiedział o przygodzie podróżnych, których spotkali nad rzeką Cheyenne.

Musgrave nie zdziwił się.

— Więc i ta droga jest kiepska. Po prostu mieliście wyjątkowe szczęście. Zawsze mówiłem i mówię nadal, że wszystkie ścieżki wiodące do Custer City są diablo złe.

— Już je mamy za sobą — powiedział Samuel — co teraz nam pan radzi?

— Przede wszystkim zbudować sobie dom. Jeśli chcecie przetrwać zimę, musicie mieszkać jak ludzie, a nie jak borsuki w podziemnych norach. Tym bardziej że macie dziecko. Nie najlepsze to dla niego miejsce. Większość wariatów, która tu ściąga, leci zaraz szukać złota. Głupcy! Śpią na mokrej ziemi, a kiedy mróz pokaże pazury, rąbią lasy i palą ogniska w dzień i w nocy. Niewiele to pomaga. Wiatr sypnie śniegiem, a wtedy najlepszy płomień nie uchroni przed chorobą. No bo i jak może być inaczej? Jakkolwiek usiądziesz przy ognisku, zawsze z którejś strony będzie szczypał mróz. Inni kopią jamy w ziemi. Niby cieplej, ale jak jesienią lunie deszcz, a wiosna roztopi śniegi, w każdej jamie błota i wody na dwie stopy. Musicie zbudować dom, powtarzam; nie szałas z gałęzi ani budę, przez której szpary dmucha wiatr. Pokażę wam, skąd brać drzewo, a jak trzeba będzie piły, siekiery i gwoździ, wszystko kupicie u mnie.

— A złoto? — zagadnął niecierpliwie Abel.

— Hm, nie chcę was odmawiać, bo i tak na nic by się to zdało. Powiadam: spróbujcie na początek tu, w Custer City, tam, gdzie płynie French Creek. Na jego brzegach znaleziono pierwszy kawałek złota i chociaż teraz wszyscy szukają dalej, moim zdaniem niejedno jeszcze da się wydobyć z potoku.

— A ci, którzy szukają dalej? — zapytał Abel.

— Opowiadają, że można dziennie wypłukać złotego piasku za pięćset dolarów. Może to i prawda, może nie. Wam jednak nie radzę. Jeśli macie odrobinę oleju w głowie, zostaniecie.

— Dlaczego? — znowu zapytał Abel.

— By dotrzeć do Spring Creek, gdzie teraz grzebią całe tłumy poszukiwaczy, należy przebyć łańcuch gór. Z wozem... ciężka sprawa.

— Ale przecież inni tam się dostali.

— Bez wozów. Na piechotę lub konno.

— Może ja bym poszedł? — zaproponował nieśmiało Abel.

— W pojedynkę?! — wykrzyknął karczmarz. — Zdmuchną cię czerwone skóry. Oni tylko czekają na pojedynczych wędrowców.

— Ruszymy we dwóch, z Karolem.

— Zbłądzić we dwu czy zbłądzić w pojedynkę... na jedno wychodzi — stwierdził Musgrave — Posłuchajcie mnie, ludzie. A dodam: nie będziecie mieli szczęścia, zaproponuję wam inny interes.

— Co takiego? — zainteresował się milczący dotąd Samuel Heart.

— Jesteście kowalami?

— Tak.

— Podkuwacie konie i naprawiacie pojazdy?

— To jasne. Cóż za pytanie?

— To jest interes jak złoto. Pomogę wam. No co?

Pomarkotnieli. Nie po to przecież przywędrowali do Czarnych Gór, żeby prowadzić kuźnię.

— Niech pan sobie znajdzie innych — pierwszy odezwał się Abel.

— Spokojnie, synu — zmitygował go Samuel. — Tylko głupiec odpowiada bez namysłu. Sprawę należy rozważyć.

— Ależ, ojcze!

— Nie sprzeciwiaj się. Jeśli złoto tu jest i tyle, ile nam potrzeba, nie będę cię zapędzał do kowalskiej roboty. A jeśli nie?

— Słusznie! — wykrzyknął karczmarz. — Nie trzeba z góry wszystkiego się zarzekać. Za miesiąc, dwa nabierzecie doświadczenia i wówczas okaże się, co lepsze: kuźnia czy płukanie piasku w strumieniu.

— Zostajemy tutaj — orzekł Samuel. — Wszystkim należy się trochę wytchnienia...

Nikt nie zaprotestował.

Ale z tym wytchnieniem — jak się okazało następnego dnia — sprawa wyglądała beznadziejnie. Należało wznieść dom. Rada karczmarza była słuszna i nikt jej nie zaprzeczał. Z wybraniem miejsca nie było kłopotu: na prawo i na lewo od opuszczonych chwilowo ruder ciągnęła się ziemia niczyja. Zastanawiali się, czy nie budować w sąsiedztwie saloonu. Musgrave ich wyśmiał:

— Niech mnie powieszą, jeżeli wytrzymacie tu przez jedną sobotę i niedzielę!

— Dlaczego?

— Dlatego, że w każdą sobotę ściągają tu poszukiwacze znad Spring Creek. Różni to są ludzie, ale przeważnie bardzo lubią popić! Odświeżyć gardło, nie tylko piwem. Folgują sobie, jak mogą, a jak sobie pofolgują, śpiewają i wrzeszczą. Niekiedy strzelają, niekiedy biją się, a taka zabawa kończy się dopiero nad ranem. Możecie sobie wyobrazić, jaki z tego jest hałas?

— Nieźle musi pan zarabiać na tym hałasie — stwierdził Samuel Heart.

Nie było w tych słowach uznania, a i Karolowi karczmarz nagle wydał się mniej sympatyczny.

— Zdaje się, że to wy jedni odkryliście tu prawdziwą kopalnię złota — zauważył.

— Gdybym zarabiał kiepsko — odparł Patryk Musgrave — nie tkwiłbym ani dnia dłużej wśród tej ludzkiej zbieraniny. Zbyt duże ryzyko.

— Co inni wypłuczą z ziemi, wy im wypłuczecie z... kieszeni.

Heartowie spojrzeli nań zdumieni i nieco przestraszeni. Słowa były obraźliwe, podkreślił ton głosu, a Heartom zależało na utrzymaniu dobrych stosunków z karczmarzem. Przynajmniej na początek.

Ale Musgrave albo nie zrozumiał przytyku, albo też był człowiekiem spokojnego usposobienia, nieskłonnym do kłótni. Uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

— To nie tak, jak sądzicie — odparł. — Nikogo nie zachęcam do picia, bo z tego awantury i groźba zdemolowania lokalu. Ale przecież nie przybyłem tu, aby ludzi częstować źródlaną wodą.

Abel Heart wtrącił:

— Na pewno!

— No właśnie! A z tym przepijaniem złotego piasku... różnie bywa. Jeden oblewa odkrycie żyły, inny pije, bo już stąd wyjeżdża. Powiem krótko: kto ma dobrą działkę, ten wyda w mojej budzie tak niewiele, że tego nie odczuje. A kto trafił źle i wynik całego tygodnia pracy może zmieścić w rożku swej chusty, ten tu nie zagląda. Nie myślcie jednak, że zarabiam tylko na wódce. Mam tu sprzęt górniczy, mam żywność. Bez niej pomarliby z głodu.

— Nie ma zwierzyny? — zaniepokoił się Karol.

— W Custer City poza kojotami... nic. Chociaż jeszcze minionej jesieni żyły w okolicy jelenie, już je stąd wypłoszono. A w wodach roiło się od pstrągów. Kto lubił ryby, mógł mieć niezłą, bo bezpłatną spiżarnię. Jak zaczęto przemywać piasek i kopać doły, pstrągi znikły. Tak to wygląda. Kto chce zapolować, musi iść dalej, w głąb gór.

— I chodzą?

— Gdzie tam! Każdy pilnuje swego terenu, grzebie w błocie i uważa, że polowanie to strata czasu. Ot, po prostu: gorączka złota, jak ją nazywają. Ale dosyć z tym. Chcecie postawić dom? Pokażę wam najlepsze miejsce: blisko wody i daleko od śmieci, których tu pełno. Idziemy!

Poszli. Wybrał równą jak stół polankę na skraju lasu jeszcze nie tkniętego siekierą. Strumień płynął sto kroków od tego miejsca i prawie w swej pierwotnej formie. Kopacze jeszcze nie dotarli tutaj, gdy wiadomość o bogatszych złożach nad Spring Creek wygnała wszystkich. Było więc cicho i spokojnie. A zaledwie paręset jardów w dół rzeki widniały na brzegach górki piasku nad dołami, leżały stosy blaszanych puszek po konserwach, odpadki kości i szkło potłuczonych butelek.

Wznoszenie domu nigdy nie jest sprawą łatwą, ale tu wystąpiły trudności nie znane budowniczym gdzie indziej. Mimo że budulec nie kosztował ani centa. Jednakże trzeba było drzewa zrąbać, pozbawić gałęzi i przywlec na plac budowy. Heartowie byli nieco obeznani z toporem, ale Karol pierwszy raz trzymał wielką siekierę w ręku i nie bardzo wiedział, jak się zabrać do rzeczy.

Kiedy przywlekli na obrane miejsce kilka potężnych głazów przeznaczonych na podmurówkę, Abel zagadnął:

— A ty, Karolu, jak masz zamiar się urządzić? Jeśli chcesz ruszyć do tego Spring Creek, nikt ci złego słowa nie powie.

—I nie będzie miał prawa — wtrącił się Samuel. — Karol jest wolnym człowiekiem i może czynić, co mu się podoba. Na pewno będzie chciał na początek poszukać w piasku.

Nie mylił się. Karola istotnie korciło spróbować od razu, nie czekając, eksplorerskiego zawodu. Jednak nie miał zamiaru wędrować do Spring Creek. Odparł, że o dalszej podróży teraz ani myśli, ale... chwilkę pogrzebie w rzecznym piasku. Nie sprzeciwili się, chociaż w ten sposób cała robota spadała na barki dwu tylko mężczyzn.

Karol wydobył ze swego worka najzwyklejszą patelnię, najtańsze i najbardziej prymitywne narzędzie do płukania piasku, i ruszył nad rzeczkę. Przemywać piasek na patelni — czynność zdawałoby się bardzo łatwa. Nabierasz nieco wilgotnego mułu, zanurzasz brzegiem naczynie w wodzie, tak aby wlała się do wnętrza, a później kolistym ruchem poruszasz patelnię. Potem ostrożnie wylewasz zmętniały płyn. Złote ziarnka, jako cięższe, opadną na dno.

Jeśli niecierpliwość cię ogarnie i poczniesz wzburzać wodę zbyt energicznie, wychlapiesz ją wraz z całą zawartością, to znaczy — również i ze złotym piaskiem! Tak właśnie się stało przy pierwszej próbie Karola. Chciał jak najprędzej ujrzeć złoty piasek, a zobaczył tylko puste dno patelni.

Przy drugiej próbie — wypadło podobnie.

Postanowił opanować się. Odłożył patelnię, siadł nad brzegiem i zapalił fajkę. Z tego miejsca mógł obserwować przeciwległy brzeg strumienia. Był stromy, a nad nim rozciągała się jałowa pochyłość rudych piasków, dalej biegł poziomy pas szarych piargów, za którymi ziemia dźwigała się wśród skał aż ku czarnej wstędze lasu, hen w górze. Czy to właśnie była ta złotodajna góra, z której wody deszczowe spłukiwały drogocenne cząstki, czy też nurt potoku przynosił je z bardziej odległych okolic?

To należało sprawdzić. Postępując systematycznie i bez pośpiechu. Tak rozumował Karol i tak postanowił, zanim dopaliła się zawartość fajki. Po czym podjął trzecią próbę. Tym razem na dnie patelni wśród cieniutkiej powłoki resztek mułu błysnęły złote punkciki. Naliczył ich siedemnaście. Nie wiedział, czy to dużo, czy mało. Nie wiedział również, jak te punkciki, nie większe od główki szpilki, zgarnąć z patelni. Pobiegł z naczyniem do obozowiska Heartów, ale tam zastał jedynie panią Jessie i Jacka. Gdzie znajdowali się mężczyźni, nie potrzebował pytać. Z dala niósł się łoskot toporów. Karol poczuł wstyd. Zostawił patelnię i pognał w kierunku, skąd dobiegał głos siekier. Za nieregularną linią kikutów pni sterczących z ziemi, na skraju nie tkniętego jeszcze boru pracowali Heartowie. I to z dobrym skutkiem: dwa olbrzymy leśne zostały zwalone, Abel rąbał trzeciego, a Samuel zajęty był obcinaniem konarów.

—Dajcie i mnie! — krzyknął w stronę drwali.

Dopiero teraz zauważyli go.

—Popracujemy na zmianę, będzie szybciej...

Spojrzeli na niego, uśmiechnęli się, Abel wręczył mu topór.

—No, a jak tam złoto? — zagadnął.

—Później wam opowiem.

Chwycił za drzewce siekiery i miarowym ruchem począł uderzać w pień. Rozgrzał się, zdjął kurtę i kamizelę, zakasał rękawy koszuli. Padały odpryski kory i drewna, zapachniało żywicą i igliwiem, ostrze siekiery zagłębiało się coraz bardziej, wreszcie usłyszał ostrzegawczy trzask. Odskoczył, a potężny pień zachwiał się i wolno osunął na ziemię w szeleście gałęzi.

— Świetnie — stwierdził Abel — daj teraz mnie.

Karol siadł na piasku. Poczuł nagle zmęczenie i krople potu ściekające po plecach. Obiecał sobie na przyszłość, cokolwiek się zdarzy, nigdy nie podejmować się pracy drwala.

Po godzinie Samuel zarządził przerwę, podczas której Karol opowiedział o swych poszukiwaniach.

— Nie jest to wiele — stwierdził Samuel. — Słyszałem, że tam, gdzie pokłady są bogate, z jednej patelni można zgarnąć uncję złota. Ale chyba kiepsko się wziąłeś do rzeczy i za krótko szukałeś.

— Nie mogłem słuchać waszych siekier i jednocześnie bawić się piaskiem — wyznał Karol.

Samuel klepnął go po ramieniu.

— Porządny z ciebie chłop, Karolu. Jak skończymy z domem, weźmiemy się do stawiania drugiego, dla ciebie. Sam nie dałbyś rady. Chyba że chcesz jechać dalej.

— Karol mógłby zamieszkać z nami — zauważył Abel. — Jak zaczniemy stawiać domy, nigdy nie dobierzemy się do złota.

— Wolałbyś spać w wozie? — rozgniewał się Samuel.

— Ależ nie, ojcze. Tylko uważam, że jedna chałupa wystarczy.

Karol nie odezwał się, bo chociaż Abel proponował wspólne mieszkanie, Samuel nie poparł tej propozycji.

Wrócili do roboty i prowadzili ją prawie do zmroku. Kiedy wreszcie zasiedli przy ognisku a Jessie zajęła się przyrządzaniem strawy, niespodziewanie zjawił się Patrick Musgrave. Rozejrzał się dokoła, siadł przy ogniu i zapalił fajeczkę.

— Jak idzie? — zapytał krótko.

— Ciężko — mruknął Samuel. — Jeszcze nie przywykliśmy do takiej roboty.

Karczmarz roześmiał się:

— Zanim przywykniecie, robota się skończy. Ja przeszedłem to samo, a później przez miesiąc czułem w kościach każde uderzenie topora i każdy gwóźdź, który wbiłem w belki.

— Jak pan dał radę? — zdumiał się Abel.

— Myślicie, że gdybym w pojedynkę wznosił swoją budę, byłaby do dziś gotowa? Nie, nie. Miałem dwu chłopów na schwał i zdatnych do ciesielki. Słono im musiałem zapłacić, bo rwali się do szukania złota, a nie do rąbania drzew. Jeden nie wytrzymał i gdy tylko stanęły ściany, pognał do Spring Creek, albo jeszcze dalej. Drugi został ze mną już na stałe. Myślę, że dokonał dobrego wyboru. Mam z niego pomocnika jak się patrzy!

— Jak to? Zrezygnował z poszukiwań! — zdumiał się Abel. — Trudno w to uwierzyć.

— Pogadaj z nim, jak wróci z Cheyenne z towarem, a zaraz uwierzysz. Zapytaj, czy zamieniłby się z którymś z tych, co całymi dniami stoją w wodzie i zbierają kilka marnych ziarenek złota.

Abel nic nie odpowiedział.

Ścinanie drzew trwało trzy dni, czwartego rozpoczęto ściąganie budulca, co okazało się pracą wcale nie łatwiejszą.

Patrick Musgrave, częsty gość Heartów, dzielił się swym doświadczeniem. Pokazał, jak przywiązywać konie do zwalonych bali, aby najmniejszym wysiłkiem ciągnęły, jak hamować pień, aby przy jakiejkolwiek stromiźnie nie wyprzedził zwierzęcia i nie podciął mu nóg.

Kiedy wreszcie wszystko znalazło się na właściwym miejscu, zabrano się do ciesielki. I tu karczmarz okazał się nieocenionym pomocnikiem. O ścianach z desek nawet nie marzono. Piłowanie pni zajęłoby co najmniej z miesiąc! Więc cały budynek zdecydowano wznieść tylko z okorowanych bali.

Któregoś dnia Musgrave, ranny ptaszek, pożegnał się wcześniej niż zwykle.

— Dzisiaj sobota — stwierdził.

— Sobota? — zdumieli się Heartowie.

Przybyli do Custer City w poniedziałek. Tydzień minął dla nich niepostrzeżenie, a przecież jeszcze nie zdążyli się zagospodarować.

— Zmarnowaliśmy tyle czasu — pożalił się Abel.

— Nie zmarnowaliście — zaprzeczył karczmarz. — Uwinęliście się gracko. Gdy chwyci mróz i spadnie śnieg, sami zobaczycie, że nie było nic mądrzejszego nad postawienie chałupy. No, muszę już iść. Custer City pocznie się zaludniać, a najludniej będzie u mnie. Wpadnijcie dziś albo jutro.

Odszedł kilka kroków i znowu zatrzymał się.

— Ale... ale... — powiedział — niech pani mnie nie odwiedza przez te dwa dni. Ani dziecko. Ci poszukiwacze złota to przeważnie bardzo porządni ludzie, tylko nieco szorstcy. Zwłaszcza jak sobie popiją. I wygadują różne rzeczy nie na kobiece uszy. Bywajcie!

Pośmieli się nieco z tego ostrzeżenia i wzięli za robotę. W ciągu kilku następnych godzin nic się nie zmieniło. Od strony jedynej ulicy osady nie dobiegał żaden dźwięk świadczący o powrocie ludzi do swych opuszczonych domostw i szałasów. Dopiero gdy szarówka poczęła zaciągać niebo, usłyszeli gwar, a później głos pojedynczy chyba, nieco chropawy, ale przyjemny dla ucha:

Moja lady, nie płacz więcej, Nie daj płynąć łzom!

Zaśpiewamy ci piosenkę, By w Kentucky wspomnieć dom!

A kiedy śpiew umilkł, ozwał się cały chór. Mniej melodyjnie, bardziej wrzaskliwie:

Anno—Elizo, nie wołaj dziś, Nie wołaj mnie, kochana!

Do Kalifornii muszę iść

Z miednicą przy kolanach!

— Patrzcie ich! — zakpił Samuel Heart. — Jeszcze nie zdążyli przerobić Kalifornii na Czarne Góry. A to już tyle lat. Zdaje się, że będzie tu wesoło.

Czy wesoło — nie mogli stwierdzić, natomiast na pewno — bardzo głośno. Raz po raz echa niosły strzępki okrzyków, nawoływań. Jednak do Heartów — jako że znajdowali się na uboczu — nie dotarł żaden z przybyszów. Jakże chętnie z takim porozmawialiby! Cóż dziwnego więc, że kiedy spożyli kolację, a ognisko poczęło przygasać, Abel powiedział nieśmiało:

— Musgrave nas zapraszał...

— Zapraszał? — mruknął Samuel. — Ano pewnie. Co mu to szkodzi. Nie wyobrażaj sobie, że ci będzie stawiał.

— Ale można by posłuchać, co ludzie gadają. Ostatecznie, mało wiemy, gdzie tu szukać złota — upierał się Abel. — A ty, Karolu, nie poszedłbyś?

Jednak Gordon wyczuł, że Samuel nie popiera tej propozycji, więc odpowiedział wykrętnie:

— Ręce mnie bolą od tego rąbania.

Samuel popatrzał na jednego, na drugiego.

— Idźcie — zadecydował niespodziewanie. — Dobrze napracowaliście się przez cały tydzień.

Poczłapał do wozu, coś tam poszperał przy tobołkach, a kiedy wrócił, kazał Ablowi nadstawić dłonie i wsypał w nie garść brzęczących monet.

— Wódka tu musi być piekielnie droga — wyjaśnił. — Więc nie przesadzajcie. A ty, Karolu, pamiętaj, żebyś nie płacił. Abel dostał na was dwu. I nie siedźcie w saloonie zbyt długo, bo chociaż jutro niedziela, porządnemu człowiekowi nie wypada spać w dzień.

Clive Tess

Księżyc wyjrzał srebrnym rąbkiem zza chmur i oświetlił jedyną ulicę Custer City. W jego blasku widać było doskonale wszystkie zagłębienia i wypukłości drogi. Co prawda księżycowi zawtórowały, tu i tam, w szałasach i budach, chwiejne światła pochodni, lampek i ognisk, ale więcej przysparzały dymu niż blasku. Jednakże Heart i Gordon nie mogliby zmylić drogi nawet podczas najgłębszych ciemności, bo w jednym i tym samym kierunku ciągnęły grupki ludzi gadających bardzo głośno. Szli nawołując się i śpiewając. Im bliżej saloonu Musgrave'a, tym bardziej wzmagał się gwar. Wreszcie na małym placyku, przy którym wznosił się rzęsiście oświetlony cel wędrówki, okrzyki osiągnęły szczyt natężenia, aby stopniowo cichnąć, w miarę jak ludzie znikali we wnętrzu budynku. Przez wąskie drzwi nie mogły przejść więcej niż dwie osoby naraz, więc Heart i Gordon skromnie stanęli na uboczu, aż któryś z brodatych przybyszów pchnął ich krzycząc:

— Naprzód, chłopaki! Nie będziemy sterczeć do rana.

Weszli, a raczej wcisnęli się tak głęboko, jak to było możliwe, bo dostęp do szynkwasu tamował żywy mur zwartych ramion, pleców i sterczących nad nimi głów przyozdobionych najdziwaczniejszymi nakryciami. Czegoś takiego Karol jeszcze do tej pory nie oglądał.

W obszernej sali karczmy szumiało jak w ulu, kiedy wyroją się pszczoły, a nad tym szumem górowały wybuchy śmiechu i grzmiące nawoływania. Karolowi, który rzadko — nawet jako kowboj — odwiedzał saloony, zakręciło się w głowie od takiego rozgardiaszu. Miał wrażenie, że znajduje się na jakiejś zwariowanej stacji kolejowej (na stacjach takich bywał, pomagając przy załadunku bydła), pełnej pasażerów witających się po długim rozstaniu. Tak to wyglądało.

— Halo! John! — ryczał ponad głowami czarnobrody właściciel kapelusza przypominającego doniczkę, bowiem bez ronda.

A z głębi tłumu podnosiła się dłoń i inny brodacz w eleganckim, chociaż poplamionym Stetsonie odkrzykiwał:

— Jak się masz, niedźwiedziu! Gdzieś się podziewał?

Karol szybko zauważył, że wszyscy zgromadzeni, z wyjątkiem jego samego i Abla, od miesięcy nie używali brzytwy. Dym tytoniowy szarymi chmurkami począł się kłębić pod sufitem i rozsnuwać na kształt pasemek mgły wokół błyszczących kloszów naftowych lamp. Stawało się coraz duszniej i coraz goręcej.

Gordon pociągnął za rękaw Hearta:

— Chodźmy stąd. Nie ma czym oddychać, a do bufetu na pewno nie dociśniemy się. Spójrz!

Istotnie, sytuacja przy bufecie przedstawiała się beznadziejnie. Ci, którzy dopchali się tam pierwsi, sterczeli nadal wzdłuż szynkwasu, za nimi tkwił nieruchomo drugi rząd ludzi wyciągających ręce ponad ramionami rzędu pierwszego, krzycząc do karczmarza, który podawał butelki z whisky lub pełne żółtawego napoju szklanki. Czynił to z wprawą cyrkowego żonglera. Obok niego podobną czynność spełniał nie znany Karolowi mężczyzna, zapewne pomocnik Musgrave'a.

Trzeci szereg napierających na bufet nie miał już doń żadnego dostępu. Klepano po ramionach poprzedników, prosząc o przekazanie zlecenia obsłudze bufetu. Zlecenia były proste, chodziło wyłącznie o trunki, nikt nie zamawiał jedzenia. Lała się whisky, lało się piwo, a niekiedy woda sodowa dolewana do szklanek, co zresztą wywoływało ironiczne uwagi widzów. Ponad ramionami wędrowały flaszki różnej barwy i kształtu, przenoszone następnie na stoły, przy których panował ścisk nie mniejszy niż przy bufecie.

W miarę jak ubywało w butelkach, wzmagał się gwar, improwizowane chóry śpiewały po kątach sali, ale co śpiewały, tego Karol ani rusz nie potrafił rozróżnić. Czuł się jak otumaniony w tym hałasie, w wyziewach alkoholu, w kłębach nie najlepiej pachnącego dymu fajek i cygar. Miał tego wszystkiego zupełnie dosyć.

— Abel — zwrócił się powtórnie do swego towarzysza natężając głos — idziemy!

— Jeszcze chwilkę — odwrzasnął — jakoś głupio tak odejść nawet nie powąchawszy butelki!

— Przecież się nie dociśniemy! Od godziny tkwię w tym samym miejscu.

— Co, chłopaki? Nie możecie się przepchać?

Nieznajomy, którego dotąd oglądali tylko plecy, odwrócił się. Ujrzeli oblicze tak samo zarośnięte jak u wszystkich innych gości saloonu i równie mocno spalone słońcem. Jedno, co go różniło, to brak nakrycia głowy i włosy barwy słomy, tak długie, aż spadały na ramiona.

—Nie możecie się przepchać? — powtórzył. — Ja wam załatwię...

Urwał w pół zdania i znowu pokazał im plecy. Abel sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść monet. Trzymał je w dłoni i czekał. Wreszcie na nowo zobaczyli twarz długowłosego.

— Trzymajcie — wcisnął im w ręce szklanki, a później napełnił je żółtawym płynem z wielkiej ciemnej flaszy. Abel niezdarnie podsunął swoje dolary.

— Schowaj! — żachnął się nieznajomy. — Dzisiaj ja stawiam. Coś wam pokażę, młokosy.

Zabrzmiało to drwiąco, tak drwiąco, że Karol zapragnął zwrócić nie proszony poczęstunek. Opowiadał mi o tym po latach od tamtego spotkania.

— I wynikłaby wówczas awantura — zauważyłem.

— Pewnie, ale jak się jest niedoświadczonym... Zresztą nie takiego nie nastąpiło.

— Powstrzymałeś się?

— Nie, osłupiałem!

Długowłosy sięgnął w zanadrze i otworzył dłoń. Leżały na niej żółto polśniewające grudki.

— Moja bonanza — powiedział. — No, obejrzyjcie.

Wzięli nieśmiało po jednym kawałku. Metal był miękki, że paznokciem można było zrobić na nim rysę.

— Znaleźliście coś podobnego?

Zaprzeczyli.

— Jesteśmy tu dopiero od tygodnia — wyjaśnił Abel.

— Od tygodnia? Pewnie dlatego nigdy was dotąd nie spotkałem. I czego dokonaliście przez ten tydzień? Działka dobra?

— Nie mamy żadnej działki — wyznał Karol.

— Nie macie? — zdumiał się długowłosy. — Zresztą, co mnie to obchodzi. W wasze ręce, za moją bonanzę.

Przytknął szyjkę flaszki do warg, odchylił głowę, aż płyn zabulgotał. Poszli za jego przykładem i opróżnili szklanki. Natychmiast napełnił je powtórnie.

— A daleko ta bonanza? — nieśmiało zagadnął Abel.

Długowłosy parsknął śmiechem.

— Chciałbyś wiedzieć, co? O, daleko stąd, daleko. W stronie Hill City. A wam jak idzie?

— Budujemy dom — poinformował Karol.

— Dom? Dla kogo?

— Dla siebie — pospieszył z odpowiedzią Abel.

— Przybyliście tu, aby budować dom? — zdziwił się nieznajomy. — Z was to prawdziwe greenhorny. Pijmy!

— A pan sądzi, że nie należy budować? — zapytał Abel.

— Każdy robi to, co uważa za słuszne. Ja na przykład postawiłem szałas. Trochę w nim kiepsko w zimie, ale zanim następna nadejdzie, już mnie tu nie będzie. Wracam na Wschód.

Znowu łyknął z flaszy i po raz trzeci napełnił szklanki.

— Dom — powtórzył i roześmiał się. — Weźcie sobie na pamiątkę po grudce. Na pewno nic takiego nie znajdziecie stawiając domy. No, za pomyślność!

Do tej chwili Karol dokładnie zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje, z kim i o czym rozmawia. Ale po trzeciej szklance jakby czarna zasłona otuliła go ze wszystkich stron. Nie widział, nie czuł, nie słyszał. Otaczała go fala pomieszanych dźwięków, migotliwe światła, szare zasłony dymu. Jak wyszedł z saloonu, kto go wyprowadził i kiedy?

Ocknął się dopiero na półmrocznej jeszcze ulicy Custer City.

Chłód górskiego przedświtu, czystość powietrza, chóralny śpiew współtowarzyszy — wszystko to oddziałało na Karola w sposób zbawienny, to znaczy przywróciło zdolność rozeznawania rzeczy i ludzi. Pierwsze, co zauważył, to to, że długowłosy fundator trzyma go pod ramię, a on sam z kolei trzyma za ramię Abla, który stąpał sztywno, jakby kij połknął, ale ta sztywność nie szła w parze z poczuciem równowagi. Co parę kroków chybotał się — to w prawo, ciągnąc ramię Karola, to w lewo — waląc się na swego towarzysza. Karol zastanawiał się, w jaki sposób potrafił dotąd uchronić Abla przed upadkiem, skoro sam runąłby niechybnie w pył i proch drogi, gdyby nie mocna dłoń długowłosego. Nie doszedł do żadnego wniosku, a ponieważ myślenie wciąż sprawiało mu niejaką trudność, dał temu spokój i przyłączył się do chóralnego śpiewu gromady.

Stary John, Ten piersi miał jak dzwon,
Gdy huknął raz, Uciekał grizzly w las!
Ho—ho—ho! Uciekał grizzly w las!
Przy skale stanął, krzyknął, klasnął,
Rozpękła skała się na pół
I złotej żyły ujrzał pasmo,
Jak biegło z góry po sam dół.

Z radości szalał stary Johnny
I głośno wołał: co za skarb!
Lecz nie dla niego złote plony.
Wieczorem kulą dostał w kark.
A z tego wniosek, o mój miły:
Gdy szukasz złota — mocno krzycz,
Ale gdy znajdziesz ślad tej żyły, To wtedy: cyt!
To wtedy milcz!

Piosenka wydała się Karolowi bardzo zabawna. Ale następnego dnia, gdy ją sobie przypomniał (jednak pamięć nie zawiodła!), uznał za godną co najwyżej pijackiej bandy. Teraz jednak maszerował pod rytm melodii, ciesząc się nie wiadomo właściwie z czego.

Gromada idących malała. Ludzie znikali w szarości kończącej się nocy, aż wreszcie zostali tylko we trzech: Abel, Karol i długowłosy. W jakim miejscu drogi znajdowali się wówczas obaj młodzi, żaden z nich nie wiedział.

— To chyba tu — odezwał się nagle długowłosy. — Poznajecie?

Abel wytrzeszczył oczy, a Karol zapytał:

— Co, tu?

— No, wasze obozowisko. Gadałeś, że nad rzeczką, na lewo od drogi.

— Ja mówiłem? — zdziwił się Karol. — Ale to prawda — przyznał. — Należy skręcić w lewo i iść brzegiem strumienia.

— Traficie?

— Oczywiście.

— No, to maszerujcie, bo moja ścieżka gdzie indziej wiedzie. Przypadliście mi do serca, bardzo z was zabawne gołowąsy. Gdybyście chcieli mnie znaleźć, nazywam się Clive Tess, ale przezywają mnie Longhaired. Będziesz pamiętał?

— Na pewno.

— Bywajcie zdrowi. A trzymaj mocno Abla. Biedaczek ledwie stoi. Wyobrażam sobie, jakie lanie spuści mu ojciec.

Zaśmiał się całym gardłem, klepnął Karola po plecach i odszedł.

Karol postał chwilę, wspierając silnym ramieniem swego towarzysza.

— Cośmy mu nagadali? — zapytał sam siebie. — Hej, Abel! Obudź się!

— Co? — mruknął Heart.

— Co ty mu naopowiadałeś?

— Nic. Z radości szalał stary Johnny... — Zamilkł, a po chwili dodał bełkotliwym głosem: — Co za skarb...

— Cicho — poskromił go Karol.

— Nic się nie bój, Karolu. Idziemy.

Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy Abel nagle przystanął.

— Nie będę budował żadnej chałupy — oświadczył podniesionym głosem. — Rozumiesz?

— Rozumiem, ale teraz chodź.

Powlekli się poprzez wertepy nadrzecznego ugoru, aż dotarli do obozowiska. Poznali: wóz, koń i szara plama wygasłego ogniska ze śpiącym nad nią Samuelem. Karol stracił humor na ten widok. Podprowadził Abla, bardzo ostrożnie, aby nikogo nie zbudzić. Ojciec Abla widać

zdrzemnął się czuwając przez całą noc. Karola ogarnęła złość na samego siebie. Oni się tam bawili zrzucając obowiązek czuwania nad kobietą i dzieckiem na barki starego zmęczonego człowieka.

„Do diabła z taką zabawą" — pomyślał i ostrożnie posadził Abla na ziemi. Obok ogniska leżały koce. Widać przygotowane specjalnie dla nocnych wędrowców. Karolowi zrobiło się jeszcze bardziej przykro.

— Chętnie wytrzaskałbym się po gębie — powiedział półgłosem.

— Co powiadasz? — wymamrotał Abel.

— Nic. Masz tu derkę i śpij... ty pijanico.

Pchnął go, aż Abel rozciągnął się bezwładnie, potem przykrył się kocem i dopiero wówczas siadł przed popieliskiem. Czuł się okropnie: w głowie szumiał mu cały wodospad Niagary, powieki opadały na oczy i zrobiło mu się zimno. Westchnął:

— Niech piorun strzeli wszystkie saloony świata. Dobrze ci tak, durniu! — zwymyślał siebie.

Czuł niesmak w ustach i ohydny zapach dymu i piwa, jakim przesiąkło jego ubranie. Siedział i trząsł się jak w febrze, bo na dobitkę wszystkiego zerwał się wiatr i dął mrozem w samą twarz. Nie wysiedział długo. Wstał i począł zbierać walające się dokoła gałęzie i kawałki kory. Zgromadził spory stos i przeniósł w sąsiedztwo ogniska. Po czym rozpalił ogień w miarę duży, w miarę mały. Zaraz poczuł miłe ciepło, ale równocześnie wzmogła się senność. Wetknął w płomień kilka większych szczap i ruszył w stronę strumienia. Ukląkł nad brzegiem, nabrał wody w dłonie i chlusnął na twarz. Raz, drugi, trzeci. Pomogło. Poczuł się rzeźwiej. Ale kiedy siadł przed ogniskiem i okrył się kocem, senność wróciła. Nie do przezwyciężenia.

Zbudził się, kiedy różowy świt wstawał nad okolicznymi górami. Ognisko wygasło. Nie starczyło mu siły ani chęci na ponowne rozpalenie. Otulił się szczelniej kocem, rozciągnął na ziemi i znowu zasnął.

Kiedy obudził się po raz drugi, słońce stało nad horyzontem, trzaskały świerkowe polana, a woda bulgotała w kociołku.

— No — zagadnął Samuel — jak tam poszło? Bawiliście się dobrze? Wyglądasz jak solony śledź, a Abel jeszcze gorzej.

Karol wysilił się na uśmiech i na energiczne zerwanie się z legowiska, ale to były pozory. Bolała go głowa, bolały wszystkie mięśnie. Czuł pragnienie i nieprzeparty wstręt do jakiegokolwiek jedzenia. Samuel przymrużył oczy i pokiwał głową.

— Napij się kawy, zabierz koc i idź między drzewa przespać się. Dzisiaj niedziela, żadnej roboty nie będzie, a do jutra przejdzie ci...

Nie zdobył się na protest. Gorącą kawę wypił duszkiem i powlókł się w cień lasu. Tam przedrzemał do południa. Pomogło. Ruszył nad strumień, ściągnął z siebie ubranie i cały zanurzył się w lodowatej wodzie. Kiedy się wreszcie wysuszył i odział, ujrzał świat w innych barwach, nawet ból głowy minął. Prawie szczęśliwy po tej nocy, którą teraz uznał za okropną, rozejrzał się za przyjaciółmi. Siedzieli całą gromadką wokół ogniska, nad którym — oczom nie wierzył! — na patentowanym rożnie Abla obracała się spora sztuka mięsa. Skąd Samuel zdobył świeże mięso?

Podszedł szybko, wiedziony ciekawością, i wówczas ujrzał jakąś obcą osobę, odwróconą plecami, zajętą obracaniem korbki rożna. Obca osoba nosiła długie włosy, a kiedy się wyprostowała, Karol natychmiast poznał Clive Tessa. Długowłosy uśmiechnął się:

— Jak się masz? — powiedział, a zwracając się do sterczącego obok Samuela: — Chłopaki przypadły mi do gustu. Każdy w swoim rodzaju i wcale do siebie niepodobni.

— Czemu mieliby być podobni? — zdziwił się Samuel. — Że Karol jest inny, dobrze o tym wiem. Sporo mamy mu do zawdzięczenia.

Tu opowiedział historię z grzechotnikiem i ze skradzionymi końmi.

— A ja myślałem, że to wasz drugi syn. Widzi mi się, chłopcze — zwrócił się do Karola — że masz wszelkie zadatki na dobrego trapera, a może i tropiciela śladów?

Gordon uśmiechnął się zadowolony z pochwały i aby pokryć zmieszanie, zagadnął:

— To chyba antylopa?

— Nie mylisz się. Po rozstaniu z wami powędrowałem na małą przechadzkę w góry i ustrzeliłem niezłą sztukę. Ale po co mi aż tyle mięsa? Zaraz sobie przypomniałem drogę do waszego obozowiska, nieźle ją opisałeś (Karol nie potrafił sobie uprzytomnić, kiedy to uczynił) i oto jestem.

— Więc pan zamiast się przespać...

— Nic tak nie orzeźwia, jak spacer po górach w pogodny ranek. No, będzie dosyć.

To ostatnie stwierdzenie dotyczyło antylopy. Samuel, Abel i gość zajęli się ćwiartowaniem olbrzymiej porcji pieczeni. Karol nawet nie drgnął, spoglądając osłupiałym okiem na żwawo krzątającego się Tessa. Obserwował jego twarz starając się doszukać śladów zmęczenia, ale nic takiego nie odkrył. Zdumiewające! Przecież Tess wypił co najmniej dwa razy więcej od nich, a później ruszył na polowanie!

„Nie — pomyślał — taka zabawa to nie dla mnie".

Dostał sporą porcję mięsa rozłożoną na przyrumienionym podpłomyku. Poczuł głód. Siadł obok Abla, który nadal wyglądał blado, a jadł, jak gdyby kęsy nie mogły mu przejść przez gardło.

— Jak się czujesz? — zapytał szeptem.

— We łbie mi huczy niczym w kuźni — odparł Abel.

Odszedł na bok i siedział milczący jak sowa za dnia. Pozostali gwarzyli wesoło aż do chwili, w której każdy z biesiadników miał już dość i mięsa, i podpłomyków, i kawy podanej na deser. Wówczas pani Jessie zabrała dziecko i zostawiła mężczyzn zajętych nabijaniem fajek. Potem poszły w ruch węgielki czerwone jak wiśnie i chmurki dymu uniosły się w powietrze.

— I cóż macie zamiar dalej robić? — przerwał milczenie Tess, uważnie przyglądając się szkieletowi domu: belkom położonym na czterech głazach, które tworzyły zrąb budowli, zapowiadający swą powierzchnią wnętrze dość obszerne. — Wznosicie blokhaus? A może chcecie konkurować z Musgrave'em? Wasza chałupa zapowiada się bardzo wielgachnie.

— Ani jedno, ani drugie — odparł Samuel udając, że nie dostrzega ironii w głosie gościa. — Mówiono nam, że zimy są tu bardzo ostre...

— Czy warto tyle czasu marnować na stawianie chałupy?

— Mamy przecież dziecko — odparł Heart. — Niedobrze czułoby się w szałasie.

— No tak... ale kto szuka wygód, nie powinien wybierać się w te dzikie strony. Zresztą, nie moja sprawa. To pewnie nawet nie dotknęliście motyką ziemi.

— Grzebałem nieco w strumieniu — zaprzeczył Karol. — Jest w nim trochę złota.

— Wiem. Woda niesie z gór wypłuczyny, ale kto chce znaleźć żyłę wartą zachodu albo ziarna wielkie jak groch, musi powędrować dalej. Wszyscy tak uczynili. Custer City jest puste jak worek po ziemniakach.

Dokonawszy tego obrazowego porównania, umilkł i począł pykać z fajeczki.

— A co pan nam radzi? — odezwał się Abel.

— Hm... Myślę, że z wozem tam nie dotrzecie, nawet koń byłby zawadą.

Spojrzał na Karola i na Abla.

— Tacy dwaj, jak wy, mogą wyruszyć. Piechotą. I jeśli znają się na rzeczy... ale przecież jesteście nowicjuszami! Wszystko to rozważywszy — tu znowu wypuścił kłąb dymu — na początek popróbujcie na miejscu. Gdzieś grzebał? — zapytał Karola.

Zagadnięty wyciągnął rękę w kierunku rzeczki i zakreślił nią półkole, co mogło oznaczać zarówno przestrzeń paru akrów, jak i paru mil kwadratowych.

— Tam już grzebano — stwierdził Długowłosy. — Myślicie, że odeszliby, gdyby warto było szukać?

Wytrząsnął popiół z fajeczki i podniósł się.

— Chodźcie. Pomaszerujemy w górę strumienia, może znajdę dla was coś lepszego.

Samuel Heart nie zdradził chęci do spaceru, lecz Abel natychmiast się rozpromienił.

— Pójdziemy z Karolem, ojcze. Nie trzeba marnować takiej okazji. Pan Tess lepiej od nas zna się na tych sprawach.

— Słusznie — pochwalił Długowłosy. — Coś niecoś wiem o szukaniu złota.

Ruszyli nie spiesząc się, wzdłuż strumienia, w kierunku przeciwnym prądowi, a więc w kierunku, który coraz bardziej oddalał ich od centrum Custer City. Przez cały czas wędrówki Clive Tess bacznie obserwował sąsiedni brzeg. W przeciwieństwie do płaskiej, kamienistej plaży, po której kroczyli, strona tamta dźwigała się łagodnie, przechodząc wyżej w szare stromizny poszarpanych skał i rozsypującego się drobnego szutru.

— Macie kilofy? — zapytał nagle Tess.

— A jakże. I to bardzo dobre, własnej roboty — pochwalił się Abel.

— Własnej roboty? Takie z was majsterklepki? Ale tu trzeba mocnych narzędzi.

— Nasze są bardzo mocne, zrobiliśmy je we własnej kuźni.

— Kowale?

— A jakże! Mój dziad, mój ojciec i ja.

— A ty? — zwrócił się do Karola.

— Kowboj — odparł krótko.

— Ciągle myślałem, żeście bracia. No, przejdźmy na drugą stronę. W rzecznym piasku jest złoto, a skąd się w nim wzięło?

Nie potrafili odpowiedzieć.

— To ja wam powiem. Jak tylko przybyłem do Custer i pobrodziłem w tej wodzie, zaraz nabrałem podejrzenia, że złotego piasku nie ma w samym łożysku strumienia, a to, co jest, pochodzi zupełnie z innych stron. Złoty pył jest tu przynoszony prądem wody. Ale skąd?

Zawiesił głos i spojrzał na towarzyszy. Milczeli.

— Widzicie, ja tędy wędrowałem daleko, daleko w górę French Creek. I wszędzie po drodze płukałem piasek. Złota było w nim coraz więcej, aż do pewnego miejsca. A później...

coraz mniej, wreszcie... nic! Zapamiętałem sobie to miejsce i właśnie tam was prowadzę. Pojęliście, dlaczego?

Abel spojrzał nieco baranim wzrokiem na Długowłosego, a potem przecząco pokręcił głową.

— Ech! — zniecierpliwił się Tess.

— Ja wiem — wyrwał się Karol.

— Mów.

— Według mego rozumienia złoto spływa z deszczem z tamtych zboczy i tam go najwięcej na zboczach, gdzie najwięcej w rzecznym piasku. Czy tak?

— Doskonale. Jeszcze będzie z ciebie dobry eksplorer. Spójrzcie, moje dziatki, ot tu. Widzicie? Taki malutki żleb, rynna, która zamienia się w potok po każdym większym deszczu. Tam właśnie zamierzałem kopać, ale na wieść o odkryciu bogatych złóż wywędrowałem z Custer. I wcale tego nie żałuję. Gdyby mi jednak przyszło pozostać tutaj, szukałbym w tym miejscu. Popatrzcie.

Podnieśli głowy. W górze pochyłą płaszczyznę przecinał prostopadle miniaturowy wąwozik z dnem wysłanym drobnymi kamieniami.

— Chodźcie — rozkazał Tess i pierwszy przebył strumień, a następnie począł się wspinać tuż przy krańcu skalnej rynny. Kiedy mocno zdyszani przeszli kilka jardów pochyłą drogą, zatrzymał ich.

— Aleście się zasapali! Widać od razu, żeście z nizin. Nie to, co ja!

— To pan góral? — zapytał Abel.

— Góral, nie góral. Wędrowałem po szczytach i turniach. Polowałem, zdejmowałem futra z czworonogów. Szukałem nawet grizzly, aby z jego pazurów robić naszyjniki i sprzedawać w miastach Wschodu głupcom lubiącym się stroić w cudze piórka. Wiecie chyba, co oznacza naszyjnik z kłów i pazurów szarego niedźwiedzia?

Przytaknęli.

— Miałbym prawo nosić dziesięć takich naszyjników, ale mi zbrzydły, gdy ujrzałem, jak łatwo je kupić u byle handlarza znad Atlantyku. Kto wie, może nawet wyrabiają sztuczne pazury? — roześmiał się. — Byłem po prostu traperem, ale niewiele mi to przyniosło: ani sławy, ani pieniędzy, więc przerzuciłem się na eksplorerstwo i trafiłem do Czarnych Gór. Jeszcze kilka miesięcy, a wracam na Wschód. Będę mógł wówczas polować tylko dla przyjemności, włóczyć się po Dzikim Zachodzie tylko dla własnej fantazji albo też kupić domek z ogródkiem i w zimie grzać nogi przed kominkiem. Nie macie pojęcia, jak kocham ogień i trzaskające bierwiona. No, czego się tak na mnie gapicie? Źle mówię?

Zaprzeczyli.

— No to powiem coś jeszcze. Zapamiętajcie sobie, chłopaki: spotkałem wielu ludzi i wielu oglądam teraz. Różnych, najrozmaitszych. Białych, czarnych, żółtych. Brudnych i czystych. Mądrych i głupich. Ale oni wszyscy, jacy są, przeważnie tracą rozsądek na widok złotych ziaren. Jedni czerwonoskórzy są wolni od takiej choroby. Strzeżcie się!

— Czego mamy się strzec? — zapytał Abel.

— Nadziei, że będziecie znajdować coraz więcej i więcej złota.

— Nie rozumiem — wtrącił Karol.

— Posłuchaj: kto znalazł złotą żyłę, najczęściej uważa, że to początek jego fortuny, i rządzi się jak milioner. Tu w Custer City albo w innej dziurze, gdzie wszystko jest najgorsze i

najdroższe, sypią garściami złota nie zważając na jutro. Aż kieszeń i woreczek okażą się puste. Widziałem takich. Odeszli stąd tak samo biedni, jak wówczas, kiedy przyszli. A przecież sporo znaleźli. Wszystko przepili, przejedli i przegrali w karty! Złota żyła się wyczerpała, a następnej już nie odkryli.

— Pan też pije — wtrącił Abel.

— Ha, za kołnierz nie wylewam, ale trzymam swą miarę, a do stolika z kartami nigdy nie zasiadam i wam radzę to samo. Szukajcie w ziemi i siedźcie cicho. Nie chwalcie się zbytnio. Sporo tu takich, którzy tylko czekają, aby się obłowić cudzym kosztem i cudzą krzywdą. Jak niczego nie znajdziecie, weźcie się za kowalstwo. Jeśli się obłowicie, kupcie farmę w lepszych stronach. I jeszcze jedna rada: nie kopcie w jednym miejscu. Próbujcie w kilku i uważajcie, czy w piachu złota przybywa, czy ubywa. Tylko w ten sposób można trafić do „złotej dziury", gdzie żółty metal wyłamuje się po prostu kilofem lub wydłubuje myśliwskim nożem. Poznaczcie sobie teren, który chcecie zbadać. Nie za mały i nie za duży. To ciężka robota, ale daje lepsze wyniki niż chaotyczne szukanie na los szczęścia.

Karol pomyślał, że Tess nie zawsze przestrzega własnych przykazań. Przecież w saloonie chwalił się swym skarbem! Jednak nie zdradził swych myśli, tylko zapytał:

— A ta ziemia to czyja?

Kowboj przyzwyczajony do poszanowania cudzych terenów hodowlanych nie mógł zapytać inaczej.

Clive Tess roześmiał się.

— Tego, kto się nią zajmie. Na dobrą sprawę całe Czarne Góry stanowią własność Dakotów. Rząd im to zagwarantował, ale po wyprawie Custera i odkryciu żył złota zwaliło się tu sporo ludu. Zresztą, sami widzieliście.

— A Indianie? — zagadnął Karol.

— Indianie? Nie. Rzadko ich tu widujemy. Napadają niekiedy, ale tylko na karawany i na samotnych wędrowców, tu nie docierają. Zbyt wielu nas jest!

— Kto nadaje własność ziemi? — zapytał Abel.

— W Custer... nikt. W Deadwood działa Komitet Bezpieczeństwa, czuwa, aby nie wydzierano sobie działek. Tu musicie sami pilnować — a widząc, jak się im wydłużyły twarze, dodał: — No, no, nie ma strachu, przecież prawie cała ludność Custer znika na pięć dni w tygodniu. Więc pamiętajcie: zacznijcie szukać od tego miejsca, na którym stoimy. To wszystko. Wracamy. Coś tak pomarkotniał? — zwrócił się do Karola.

— Nie podoba mi się to wszystko.

— Powiedziałeś zbyt dużo lub zbyt mało, co na jedno wychodzi. Co to znaczy: wszystko?

— Mnóstwo różnych rzeczy. Przede wszystkim, że ziemia, na której prowadzimy poszukiwania, wcale do nas nie należy, tylko do czerwonoskórych...

— Patrzcie, jaki skrupulant! — przerwał mu Długowłosy. — To wybierając się w Czarne Góry nie wiedziałeś o tym?

— Nie wiedziałem.

— Hm... i cóż cię jeszcze gnębi?

— Bandytyzm.

— O czym myślisz?

— O tym, że w Custer City nikt nie może być pewien swej działki. Sami mówiliście. Przyjdzie silniejszy i zabierze.

— Eee tam, w Custer już nikt niczego nie szuka, ale trochę dalej. Mogą się zdarzać takie wypadki. Ano cóż? To dzikie strony i zanim prawo tu wkroczy, wiele jeszcze krwi się poleje.

— I właśnie to mi się nie podoba.

— Jaki delikatny! — zadrwił Tess. — Myślałem, że są w tobie zadatki na westmana, a z ciebie po prostu mazgaj. Lepiej wracaj na Wschód.

— Tak pan sądzi? Jednak zostanę i myślę, że prawdziwy westman powinien być przede wszystkim człowiekiem uczciwym, a nie rabusiem. Nie uważa pan? — Odwrócił się gwałtownie, zrobił kilka kroków, znowu przystanął i krzyknął w kierunku Tessa: — A więcej niech mnie pan nie częstuje whisky! Nie dam się nabrać i nie zrobię panu zabawy!

— Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany... poczekaj!

Ale Karol udał, że nie słyszy.

Nocny bój

Nazajutrz zjawił się Musgrave, ale dopiero koło południa. Tłumaczył — jakby to było jego obowiązkiem — że musiał posprzątać saloon po wczorajszej libacji, a przede wszystkim obliczyć kasę.

— Ledwieśmy sobie dali radę. Co ja bym tu począł bez pomocnika?

— No i jakie wyniki? — zapytał nieco ironicznie Samuel Heart.

— Nieźle, nieźle.

— Spłukaliście ich do nitki? — podstępnie zagadnął Karol.

— No, oczywi... co takiego? — zorientował się w porę Musgrave. — Ejże, młodzieńcze! Tak mi się odwdzięczasz?

— Przepraszam. To po prostu żart.

— Z Gordona dobry chłop z kościami — wtrącił pojednawczo Samuel. — Tylko tak mu się powiedziało...

— Ale uważa mnie za wydrwigrosza! — zaperzył się karczmarz. — Dlaczego ludzie do mnie przychodzą? Czy tylko pić whisky? Nie! Przychodzą, bo wiedzą, że Patrick Musgrave — tu stuknął się palcem w piersi — jeden na całą okolicę ma mąkę, ma kaszę, ma kilofy i wszystko co potrzebne do kopania! Przychodzą, bo wiedzą, że Patrick Musgrave — znowu się stuknął w piersi — uczciwemu człowiekowi nawet skredytuje i nie da nikomu zginąć z głodu! A że jeden lub drugi z takiej okazji kapkę wypije... no cóż, zdarza się. Ale przecież nikogo nie zmuszam do picia! Prawda?

— Święta prawda — przytaknął Samuel. — Ale zawsze to pokusa...

— Ba! Niechbym spróbował zaprzestać sprzedaży wódki! Rozwaliliby moją budę przy najbliższej sobocie.

— Żeby ta wódka nie była taka droga — wyraził wątpliwość Karol.

Nieoczekiwanie zaprotestował Samuel.

— Nie masz racji — powiedział. — Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby była tańsza? Na szczęście nie może być tańsza. Pomyśl, z jak daleka trzeba ją sprowadzać. Mówisz, jakbyś nie przyjechał tu z Laramie. Musgrave ma prawo zrobić taki sam interes, jak ci, którzy ściągnęli tu szukać złota.

— Na whisky? — mruknął wcale nie przekonany Karol.

—Lepiej na whisky niż na mące, kaszy czy sucharach. No, dosyć gadania, które do niczego mądrego nas nie doprowadzi. Bierzmy się do roboty.

Karol kiwnął głową, niby uznając racje Samuela, ale nadal pełen był wątpliwości i raz jeszcze postanowił, że odtąd nie przestąpi progu saloonu Musgrave'a. Po czym złapał się za ciesielską siekierę.

Ponieważ wszystko wreszcie jakoś się kończy, więc i dom Heartów został po wielu dniach ukończony. Pokryto go spadzistym dachem, a wewnątrz zmontowano z głazów i gliny piec z kominem górującym nad dachem. Kosztowało to tyleż trudu, co cała reszta budowli, ale też dom Heartów stał się drugim w Custer City, obok saloonu, budynkiem z prawdziwego zdarzenia, a nie czymś, co przypominało psią budę czy piwnicę na ziemniaki.

Na uroczystość ostatniego uderzenia młotkiem — a był to dzień powszedni, cichy dzień Custer City — Patrick Musgrave przyniósł dwie butelki whisky i spory woreczek mąki. Jakże cenny dar w tych stronach. Prawdopodobnie chciał obalić opinię Karola, a może to uczynił rzeczywiście zupełnie bezinteresownie?

Samuel prezentów nie chciał przyjąć, ustąpił dopiero po licznych naleganiach ze strony ofiarodawcy i po żartobliwej groźbie zerwania znajomości. Po raz pierwszy rozpalono ogień w piecu, a domownicy wraz z gościem siedli na tobołach przyniesionych z wozu, rzuconych na podłogę, która wprawdzie była niezbyt równa, jednak... była. Gałęzie trzaskały w piecu, płomień huczał, butelka krążyła z rąk do rąk, nie omijając Karola, który słusznie uznał, że przecież nie przekracza progu saloonu — do czego się zobowiązał przed samym sobą — a nie chciał dotknąć Musgrave'a. Tym bardziej że wysoko ocenił drugi prezent karczmarza — mąkę. Funt mąki kosztował w tych stronach prawie dolara. Wszyscy zebrani wkrótce poczuli się tak wesoło i tak dobrze, jak tylko czuć się może człowiek zagubiony wśród bezdroży Czarnych Gór, w osadzie odciętej od świata.

Wnętrze domu składało się z dwu izb i korytarzyka przedzielającego. Otwory okienne były wąskie i pozbawione szyb — na ten luksus nie stać było Heartów. Więc wyposażono je w solidne okiennice z malutkimi otworkami przez które za dnia wpadało nieco światła. Te otworki wywiercono za radą karczmarza. Twierdził on, że w ten sposób cały dom zamienia się w blokhauz łatwy do obrony.

Samuel począł teraz przebąkiwać o potrzebie wzniesienia przybudówki dla koni, mułów i wozu. Abel gwałtownie zaprotestował. Powiedział, że nie po to się tu wybrali, aby budować domy i stajnie, i że on nie weźmie do ręki ani siekiery, ani młotka, zanim nie zbierze co najmniej kwarty złotego piasku. Samuel ustąpił. Nikt już nie wspomniał o budowie domu dla Karola. Gordon zamieszkał u Heartów.

Następnego dnia, skoro świt, udali się na wskazane przez Tessa zbocze. Przynieśli oskardy, łopaty i patelnie. Wbili kołki po obu stronach kamienistej rynny, dzieląc sprawiedliwie całą przestrzeń na trzy części: dla Samuela, Abla i Karola. Zaraz zabrali się do roboty. Kilofy bardzo się przydały, chociaż skaliste podłoże musiało znajdować się dość głęboko. Jednakże grunt był twardy, pełen kamieni i żwiru. Łopatą nie dałoby się tu kopać bez skruszenia powłoki.

Jak wszyscy nowicjusze — niecierpliwie czekali, że po którymś uderzeniu ukażą się im żółto połyskujące ziarna. Ba, może nawet bryłki! Nic takiego się nie przytrafiło. Praca była żmudna. Zgodnie ze wskazówką Tessa kopali płytko tu i tam, stopniowo przeszukując teren, a z każdą patelnią pełną piachu i szutru gnając w dół do strumienia. Ustawiczne schodzenie i

wchodzenie męczyło najbardziej. Doszli do wniosku, że lepiej będzie, gdy tylko jeden z nich, na zmianę, zajmie się płukaniem urobku, bez względu na to, z czyjej działki pochodzi, a plony tego płukania podzieli się na trzy jednakowe części. Ale te plony przedstawiały się zupełnie kiepsko. Złota prawie że nie było. Chociaż na dnie już pierwszej wypłukanej patelni zalśnił paseczek żółtych drobin, nie przybrał na grubości w żadnej z następnych. Złoty pył widać był rozsiany po całym zboczu góry, lecz gdzie znajdowało się jego źródło?

W południowej porze pani Jessie długo musiała nawoływać, zanim zeszli się na obiad. Jedli szybko, żeby nie stracić ani jednej minuty, po czym gnali na górę. Wrócili, kiedy już dobrze się ściemniło i gdy na dnie patelni nie sposób było odróżnić złota od szlamu. Wrócili straszliwie zmęczeni i nie mniej brudni. Ledwie opluskali się w strumieniu i przełknęli po kawałeczku mięsa, runęli jak półmartwi na swe prymitywne posłania — po raz pierwszy pod dachem i w obrębie ścian zabezpieczających przed chłodem nocy i nieproszonymi gośćmi — i zasnęli natychmiast.

Nazajutrz zerwali się o świcie. I tak działo się każdego następnego dnia. Gnała ich prawdziwa gorączka złota. W mroku ustępującej nocy pędzili orzeźwić się zimną wodą strumienia, a potem parzyli sobie gardła spiesznie połykaną gorącą kawą, przygotowaną przez panią Jessie, parzyli sobie palce świeżymi podpłomykami i natychmiast poganiając jeden drugiego — ruszali ryć ziemię.

Znajdowali złoto, a jakże! Jednakże w tak niewielkiej ilości, że gdy wynik całotygodniowych poszukiwań wsypali do wspólnego woreczka i pokazali Patrickowi Musgrave, wyśmiał ich! Powiedział, że cały ten złoty plon nie starczyłby na sześciodniowe wyżywienie ich gromadki. Biorąc pod uwagę ceny obowiązujące w Custer City. Wynikało z tego jasno, że karczmarz robił lepsze interesy siedząc w saloonie. Kto wie, może nawet kowalstwo bardziej by się opłaciło?

W sobotę, w porze obiadowej, odwiedził ich Clive Tess.

—Co z wami? — krzyknął. — Wyglądacie jak głodomory, a do tego bardzo ponure. Chałupa widzę, niczego sobie, więc co was gnębi?

Samuel pokazał woreczek, we wnętrzu którego długo należało grzebać, aby wydobyć szczyptę złota.

—To tak? Powiem: jeśli będziecie nadal w ten sposób postępować, wyciągniecie kopyta, nim zima nadejdzie. Jesteście ciężko chorzy.

Zaprzeczyli energicznie.

—Dobrze, dobrze. Ja nie zwykłą chorobę mam na myśli, ale gorączkę złota. Każdy przez nią przechodzi na początku, ale kto się nie wyrwie, ten zgubiony z kretesem. Jeszcze trochę, a stracicie wszystkie siły.

Zafrasowali się, czuli, że Tess mówi prawdę.

—Co począć? — zagadnął Samuel.

—Dobrze się wysypiać i dobrze jeść. Odpoczywać po każdym posiłku. Inaczej jedzenie włazi w nogi, a nie trafia do żołądka.

Wytłumaczywszy w ten dość oryginalny sposób trawienne funkcje ludzkiego organizmu, zajął się kopiastym talerzem pszennych klusek (efekt daru Musgrave'a), jaki mu podsunęła pani Jessie. Siedzieli jak na szpilkach, tak im pilno było wrócić do kopania, ale nie wypadało zostawiać gościa przy pełnym talerzu. Tess od razu to zauważył i począł jeść... jeszcze wolniej. Na koniec odstawił puste naczynie, obtarł usta wierzchem dłoni i zapytał:

— Kiedy ostatnio jedliście mięso?

— Przed... chyba przed czterema dniami...

— To znakomicie — zadrwił.

— Musgrave bardzo drogo liczy za mięso — wyjaśnił Samuel.

— A samemu nie łaska zapolować? Chyba umiecie strzelać, a może brak wam nabojów?

— Karol strzela bardzo celnie — poinformował Abel.

— Więc czemu nie zapolujecie?

— Szkoda nam czasu — wyznał Abel.

— Mięso daje siłę, bez mięsa staniecie się nędznymi zdechlakami! — zgromił ich. — Widzę, że ledwo tu siedzicie, ale najpierw zapalę fajkę, a później pójdę z wami sprawdzić, czegoście dokonali no i... może coś poradzę.

Ucieszyli się z tej obietnicy i to im pomogło pohamować niecierpliwość. Na koniec Tess wystukał resztę popiołu z fajki i flegmatycznym krokiem ruszył na przeciwległy brzeg strumienia. Musieli dostosować się do jego marszu i wydało się im, że godzina minęła, nim doszli do celu. Tess w skupieniu oglądał płytkie jamki. Kazał brać próbki gruntu z jednej, drugiej, trzeciej... Zwijali się jak na wyścigach, biegając do strumienia i z powrotem, a Długowłosy ciągle milczał, coś tam rozważał, potem ruszył powoli zygzakiem, od dziury do dziury, i znowu kazał przemywać po garści ziemi to stąd, to stamtąd. Tak dotarli najwyżej, do ostatnich śladów kopania. Tess zatrzymał się i spoglądał w dół, ku wodzie. Potem odwrócił się, by obserwować stok góry.

— No i co? — zniecierpliwił się Abel.

— Dobra jest. Zauważyliście, jak zmienia się ilość złota w każdej dziurze?

Nie zauważyli. Roześmiał się.

— Ech, ludzie, ludzie! Co byście beze mnie poczęli? Nie zauważyli! Przez tyle dni! A ja już wiem i jutro pokażę, gdzie macie szukać.

— Dlaczego jutro? — zniecierpliwił się Abel.

— Bo jak wam powiem dziś, gotowiście nawet w niedzielę kopać, a należy się wam odpoczynek. Zapamiętajcie sobie: kto szybko kopie, tego szybko zakopią! No, kto ze mną idzie do saloonu? Słyszycie, jak tam śpiewają? Custer City budzi się do życia. Na całe dwa dni.

Samuel Heart przecząco potrząsnął głową. Karol w ten sam sposób wyraził swą odmowę. Jeden Abel zawahał się na sekundę, ale natychmiast wzrok jego powędrował ku ziemi zrytej kilofami i... też odmówił.

— Jak chcecie. No, to bywajcie. Przyjdę jutro i myślę, że nie z pustymi rękami.

Odwrócił się i począł schodzić po zboczu, przebył strumień, a potem ruszył wzdłuż jego brzegów, aż zniknął za skalnym występem.

Zabrali się na nowo do roboty, ale jakoś nie bardzo im szło. Co chwila przerywali kopanie pod byle jakim pozorem. Niekiedy nawet, aby posłuchać dalekiej śpiewki o zamazanych przez odległość słowach, niekiedy, aby obetrzeć pot z czoła, bo słońce grzało jak w pełni lata. Przyczyna prosta: dopiero nazajutrz miał im Tess wskazać miejsce, gdzie powinni ryć, kopanie na dotychczasowym terenie w takim stanie rzeczy było tylko stratą czasu. Dlatego pracę przerwali tym razem na długo przed zmierzchem, ku wielkiemu zdziwieniu pani Jessie. Opowiedzieli jej o wszystkim, a przy okazji Karol stwierdził, że zbyt ostro przygadał Tessowi

poprzednim razem i że tego żałuje, bo przecież Tess to chłop dobry z kościami i zupełnie bezinteresownie chce im pomóc.

Wieczór spędzili bardzo przyjemnie, i to tym bardziej, że Samuel wydobył z ukrycia butelkę whisky, jeszcze z tych nabytych w Cheyenne. Siedzieli na progu domostwa i gwarzyli o dawnych czasach pykając z fajeczek i spoglądając w niebo, na którym zapalały się gwiazdy, coraz więcej i więcej.

— Masz swoją, Karolu? — zagadnął Samuel.

— Co?

— Gwiazdę. Każdy powinien mieć swą gwiazdę, to przynosi szczęście.

Gordon roześmiał się cicho:

— Nie mogłem się zdecydować, którą wybrać.

— No, to wybierz teraz. Tylko wyraźną, abyś mógł ją łatwo odszukać w potrzebie — wyjaśnił poważnym tonem Samuel. — No tak — dodał zauważywszy zdziwienie. — Gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, ona cię wyprowadzi z kłopotów.

Karol nie wiedział, co ma odrzec. Czy Samuel kpił sobie z niego, czy też sprawę gwiazdy—przewodniczki traktował serio?

— Ja panu wybiorę gwiazdę — odezwała się milcząca dotąd Jessie.

— Proszę — zgodził się ulegle, no bo cóż innego mógł odpowiedzieć?

—Niech pan spojrzy. Ot, tam... nad samą krawędzią czarnego wierchu.

— Widzę.

— Prawda, jak pięknie błyszczy? To będzie pańska gwiazda.

— Przyjmuję ten prezent i postaram się go nie zgubić.

Umilkli na chwilę, jakby dla uczczenia tego momentu, a naprawdę tylko dlatego, aby móc lepiej usłyszeć daleki i smutny głos preriowego kojota. Zza gór wypłynął księżyc i wypełnił całą przestrzeń blaskiem. Woda w strumieniu zamigotała i ujrzeli na niej załamania drobnych fal. A potem poczęły rozbłyskiwać góry i lasy na górach, i samotne skały. Cała niezmierzona kraina ukazała się ich oczom, jakby wyrzeźbiona w potężnej sztabie srebra.

— Cóż za piękny kraj! — mruknął Karol.

Zgodnie przytaknęli, a później — znowu w milczeniu — nasłuchiwali głosów nocy: łagodnego szumu drzew, plusku wody, łopotu skrzydeł tajemniczego ptaka, który skośnym lotem przeciął tarczę księżyca i zniknął.

Nazajutrz wstali wypoczęci i pełni dobrej myśli. Wyprowadzili konie i muły do strumienia, a później wykąpali się i wystroili odświętnie, czego jeden Karol nie mógł uczynić: nie miał ubrania na zmianę. Jednakże to, które nosił, musiało być bardzo dobrego gatunku, bo ani trudy wędrówki, ani ciesielki i kopania nie zniszczyły go.

Leniuchowali tego przedpołudnia aż do chwili, w której znowu zjawił się Clive Tess. Tym razem nie z antylopą, lecz z czterema dzikimi indykami, które wręczył pani Jessie.

Przywitano go tak radośnie, jakby sam był jedną wielką bryłą złota. Siadł na zrąbanym pieńku, zapalił fajkę, wspomniał o pięknej pogodzie.

— Złaziłem się za tymi indykami, że już nóg nie czuję — stwierdził. — No i co słychać nowego?

— Nic — odparł Abel. — Nic nowego. Pójdziemy tam? — wskazał skłon góry.

— Pójdziemy, pójdziemy. Cierpliwości! Niechże trochę odpocznę.

Samuel przysiadł na progu chaty, Karol położył się na trawie, a Abel, rozczarowany odpowiedzią, powlókł się na skraj lasu, rozłożył w zaroślach i tam zasnął.

— Jak było u Musgrave'a? — zapytał Karol.

— Jak zwykle. Nasz karczmarz nieźle chyba wychodzi na tych sobotnich nocach. Chłop ma głowę do interesu. Ktoś inny, gdy Custer City poczęło się wyludniać, ruszyłby za górnikami albo zlikwidował przedsiębiorstwo. Przecież wyglądało na to, iż handel w Custer raz na zawsze się skończył. A Musgrave postanowił poczekać. Mądrze przewidział, że ludziom nadal będzie potrzebne jedzenie, a tym, którzy polują, proch i kule. Przetrzymał zły czas i teraz kwitnie jak kaktus na pustyni.

— Pełno było w nocy? — zagadnął Karol.

— Jak zwykle. Widzę, że ci żal.

— Nie, nie, ot, po prostu ciekawość.

— Nic ciekawego się nie wydarzyło. A teraz... przepraszam, ale muszę się trochę zdrzemnąć. Całą noc oka nie zmrużyłem.

To powiedziawszy podniósł się z kłody i ruszył w stronę lasu, gdzie zniknął wśród drzew. Karol udał się nad strumień łowić ryby na improwizowaną wędkę ze sznurka i zgiętej szpilki, a Samuel Heart wszedł do wnętrza domu. Na placyku pozostał tylko mały Jack zajęty struganiem patyków na strzały do łuku, ale wkrótce zaniechał tej roboty i przybiegł do Karola zobaczyć, jak biorą ryby.

Gdy słońce minęło szczyt nieba, Samuel Heart wyjrzał zza drzwi domostwa i przywołał Jacka. Jack z kolei przywołał Karola, po czym ruszyli szukać Tessa i Abla. Obiad upłynął wśród rzadko przerywanego milczenia. Tess był śpiący, Abel markotny, Karol zamyślony, a Samuel pogrążony w zadumie nad wizją stajni, w której znalazłyby pomieszczenie wszystkie czworonogi.

Dopiero po spożyciu ostatniego kęsa towarzystwo nieco się rozruszało. Tess — ponieważ opuściła go senność, reszta — ponieważ oczekiwali, że wreszcie Długowłosy zdradzi im miejsce, w którym spoczywa złoto. I nie pomylili się.

Tess skończył palić fajkę.

— Idziemy — powiedział.

Przebrnęli strumień, weszli na zbocze. Tess kroczył na czele, inni za nim, w milczeniu, jak w jakiejś dziwnej procesji. Posuwali się mijając rozgrzebane doły i dziwiąc się, dokąd ich prowadzi. Na koniec Tess zatrzymał się i odwrócił.

— Nastawcie dobrze uszu — powiedział.

Schylił się i podniósł niewielki, połyskujący kamyk.

— Co to jest? — zapytał.

— Kamień — wyrwał się Abel.

— Kamień — przedrzeźnił jego odpowiedź. — Ale jaki kamień?

— Jak to: jaki? No... chyba twardy... — odezwał się powtórnie Abel.

Karol nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Och, ty głowo do pozłoty! — wrzasnął Tess. — Nie wiesz, że są różne kamienie? Z granitu, z bazaltu, z piaskowca. A to, co trzymam, to kwarcyt. Każda kwarcytowa skała wietrzeje, rozpada się. Woda ją wypłukuje i z tego powstaje piasek. Taki, jak ten na dnie strumienia. A skąd złoto w tym piasku? Stąd, że skały kwarcytowe Czarnych Gór zawierają złoto. Rozumiecie?

Przytaknęli.

— Założę się, że niewiele zrozumieliście — machnął ręką. — Ale niech tam! To całe zbocze zbudowane jest ze skał kwarcytowych, a pokryte piaskiem z tych skał pochodzącym. Zbadałem, że im bliżej grzbietu góry, tym zawartość złota w piasku wzrasta, ale tylko do pewnego miejsca. Właśnie do tego, na którym stoję. I dlatego twierdzę, iż tu powinniście kopać.

Odszedł na bok i obcasem buta zaznaczył długą linię na ziemi.

— Tu — powtórzył. — Kopcie na chłopa głęboko, ale omijajcie litą skałę. Jeśli w niej nawet jest złoto, trzeba by młyna do skruszenia. Taka robota nie dla was. To wszystko. Są jakie pytania? Nie ma? To bywajcie zdrowi.

— A jeśli nic nie znajdziemy? — zdążył wyrazić wątpliwość Karol.

— Wówczas wskażę inne miejsce. Przyjdę za tydzień.

Wykręcił się na pięcie i odszedł zostawiwszy ich w rozterce między nadzieją a zwątpieniem.

Ledwie doczekali zmroku i prawie nie spali w nocy, tak ich ponosiła niecierpliwość. Rankiem pobiegli na „linię Tessa", jak nazwali ślad obcasa, i poczęli ryć ziemię w trzech miejscach jednocześnie. Gdy wydobyli na powierzchnię spore kupki kamyków, gruzu i piachu, napełnili patelnie i pobiegli do strumienia. Tess się nie mylił. Na dnie każdego z naczyń osiadło złoto, i to w ilości przewyższającej poprzedni parodniowy wynik. Popatrzyli na siebie rozradowani i wrócili na górę. Kopali przez kilka godzin, ale karnie stawili się na nawoływania pani Jessie. Doszli do wniosku, że Tess w niczym się nie myli, że ma rację tak samo ze złotem, jak i z odżywianiem, postanowili więc stosować się do jego wszystkich rad. Dlatego obiad zjedli z takim spokojem, jakby na nich nie czekały żadne „złote dziury". A po obiedzie odpoczywali. To świadczyło najlepiej, że rozsądek wziął górę.

W drugiej połowie dnia nie przytrafiła się żadna niespodzianka. Był ten sam piach, żwir, w tym wszystkim — złoty pył, niekiedy nawet ziarnka. Gdy nad wieczorem odwiedził ich Patrick Musgrave, pokazali wyniki swej pracy. Obejrzał krytycznym wzrokiem i stwierdził, że „teraz to zupełnie co innego", że „to się opłaca".

— Widać trafiliście na żyłę, ale nie chwalcie się przed nikim, bo rychło napytacie sobie biedy.

Wzięli sobie do serca tę radę, Abel przypomniał, jak to „stary Johnny wieczorem kulą dostał w kark".

Minęły kolejne trzy dni. Czwartego, gdy doły były tak głębokie, iż w każdym skryć się mógł dorosły mężczyzna, Karol przerwał rycie, bo dostrzegł, po kolejnym uderzeniu kilofa, wśród skalnych odłamków nieforemne bryłki, niektóre wielkości małego orzecha, żółto pobłyskujące. Było ich dobre pół garści. Wygramolił się z dziury i krzykiem zaalarmował towarzyszy. Kiedy wytknęli głowy ze swych studni, pokazał urobek.

— Ho, ho! — zawołał z podziwem Abel. — Złote orzechy, popatrz, ojcze!

— Karol ma szczęście — stwierdził Samuel — a Tess zna się na rzeczy. Nie marnujemy czasu.

Powiedziawszy to zniknął w głębi dziury. Abel i Karol jeszcze chwilę obracali w dłoniach żółte grudki, po czym również wskoczyli do swych jam. Następne minuty wykazały, że Gordon rzeczywiście trafił na jakiś fragment złotej żyły. Okazała się prawdziwą bonanzą. Zaniechał przepłukiwania piasku, zgięty wpół, w ciasnym pomieszczeniu, wygrzebywał

błyszczące odłamki tak żarliwie, aż pościerał sobie skórę na końcach palców. Wówczas wygramolił się na wierzch i runął na ziemię spocony ze zmęczenia i z wrażenia. Tak zastali go Samuel i Abel, gdy z ciężkimi patelniami szli do strumienia.

— Co się stało? — zatroszczył się starszy Heart.

Karol zamiast odpowiedzi sięgnął do kieszeni i wydobył garść nuggetów. Samuel, zwykle opanowany, teraz gwizdnął, a Abel wykonał wokół Karola jakiś taniec własnego układu.

— Nie wariuj! — zgromił go ojciec. — Jeszcze kto zauważy. Zapomniałeś, jak nas karczmarz ostrzegał?

— Prawda — stropił się Abel — ale jemu chyba można powiedzieć?

— Zbytnia ostrożność jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Z naszego karczmarza to wielki gaduła.

— A Tess?

— To inna sprawa. Przyjdzie, żeby sprawdzić, jak wykorzystaliśmy jego radę. Nie możemy go okłamywać.

I na tym stanęło.

Następnego dnia — kolejna niespodzianka. W „dziurach" Samuela i Abla również pokazały się żółte grudki. Odtąd każdego wieczoru pęczniały woreczki z koźlej skórki. Samuel począł napomykać, że jeśli tak dalej pójdzie, będzie można, nie czekając zimy, zmykać w cieplejsze strony.

Abel natychmiast zaprotestował.

— Chyba nie chcesz, ojcze, wracać do kowalskiego zajęcia?

— Nie chcę? — zdumiał się Samuel. — A cóż bym innego miał robić?

— To po co przyjechaliśmy tutaj?

— Po to, żeby później założyć duży warsztat, gdzieś tam na Wschodzie, a może nawet małą fabryczkę. Chyba nie pragniesz stale podkuwać koni?

— Wolałbym na nich jeździć — odburknął Abel. — Powrót do kowalstwa wcale mi się nie uśmiecha.

— To dobry zawód, synu. Kto pogardza własną pracą, mało jest wart. Zapamiętaj sobie.

— Nie pogardzam — usprawiedliwił się Abel — ale teraz stać chyba nas będzie na coś lepszego, jak posiedzimy tu dłużej.

— Pewnie, pewnie, lecz zimy tu srogie, a ty masz dziecko i żonę.

— Dobrze o tym pamiętam. Ja tylko tak sobie myślałem, żeby to złoto wybrać co do odrobiny. Przecież zbudowaliśmy dom i nie będzie nam tak źle.

— Wybierzemy co do odrobiny — zgodził się Samuel — ale nowej żyły nie mam zamiaru szukać. Powiem szczerze, trochę mi już zbrzydło życie w tej dziczy. Zresztą... zobaczymy.

Na tym rozmowa została przerwana i wzięli się na nowo do kopania. Później przyszedł Musgrave, ale jemu pokazali tylko co drobniejsze ziarnka i z niecierpliwością czekali, aż odejdzie.

Tak upłynęły jeszcze dwa dni, nadeszła kolejna sobota. Nad wieczorem ozwały się śpiewy i okrzyki — znak, że nadciągnęła pierwsza grupa spragnionych rozrywki górników, a później, aż do czarnej nocy niosły się pogłosy coraz dalsze i coraz słabsze, aż wreszcie ucichły.

Przy wieczornym posiłku doszli do zgodnego wniosku, że rada Musgrave'a — wybudowanie domu — była dobrą radą, bo przyjemnie siedzieć w czterech ścianach, z dala

od oczu ciekawskich, i patrzeć, jak płoną polana w piecu. Stwierdziwszy to — wypalili fajeczki i udali się na spoczynek. Pracowity dzień dobrze czuli w kościach.

Karol zasnął natychmiast i spał jak przysłowiowy borsuk w norze. Obudził się niespodziewanie dla samego siebie, bo dopiero zaczynała się przedranna szarówka, jeszcze ciemność wypełniała izbę i ciemność wisiała nad ziemią. Leżał przez chwilę z otwartymi oczyma, słysząc oddechy swych towarzyszy. Ale nagle w przed ranna ciszę wpadł kwik koni. Stary Heart usłyszał również ten głos. Obudził się i zapytał półgłosem:

— Co to?

— Zaraz sprawdzę — odpowiedział Karol.

Siadł, narzucił kurtę, złapał za strzelbę, namacał kilka zapasowych ładunków w kieszeni i otworzył drzwi. Spoglądał chwilę w ciemność, aż wzrok przywykł nieco, i wówczas ujrzał zwierzęta, konie i muły. Cała czwórka stała tuż przy budynku, z głowami skierowanymi w tę samą stronę. W swej nieruchomości wyglądały jak obraz nieco przysypany siwą mgiełką kurzu. To blask księżyca tak je wysrebrzył. Na widok człowieka opuściły podniesione łby. Oba muły, niezgrabnie podskakując, bo miały pęta założone na przednie nogi, odsunęły się w bok. Jeden począł szczypać rzadką trawę, drugi położył się na niej. Konie sterczały w miejscu jeszcze chwilę, a później poszły za przykładem, mułów. Karol wrócił do izby.

— Co tam? — odezwał się zaspany głos Samuela.

— Ktoś spłoszył konie — odparł. — Ubiorę się i zbadam okolicę.

Zdjął kurtę, założył wełnianą kamizelę, znowu wciągnął kurtę, de kieszeni wsypał dodatkową garść nabojów, poprawił buty i skierował się ku wejściu.

— A uważaj — rzucił za nim Samuel. — Może to niedźwiedź?

Karol zagłębił się w półmrok. Trawa wydawała się czarna, przeciwległego zbocza góry nie było widać. Dostrzegł jeszcze cztery czarne plamy na ziemi — to zwierzęta pokładły się spać. Wywnioskował z tego, iż ktoś czy coś, co je zaniepokoiło, znalazło się obecnie poza zasięgiem ich węchu. Czy odeszło, czy krążyło nadal w bezpiecznej odległości? A może wróci niespodziewanie? Puma, czarny niedźwiedź czy tylko tchórzliwy kojot? A jeśli człowiek? Właśnie po to wyszedł.

Powędrował aż nad strumień, a stamtąd na pobrzeże lasu. Stąpał cicho, co kilka kroków przystawał, nasłuchiwał, natężał wzrok, ale nic podejrzanego nie dostrzegł. Może dlatego, że nie posiadał przecież sowich oczu, a może dlatego, że w okolicy domu nie było ani obcego zwierzęcia, ani obcego człowieka. Ale ten spokój wcale Karola nie zadowolił. Sen uleciał z powiek, czuł się rześko, jakby przespał całą noc i jeszcze kawałek dnia. Wrócił, okrążył dom. Konie i muły nadal drzemały, a ciszy nocy nie zakłócał żaden dźwięk.

Karol — nigdy później nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to uczynił — ruszył powoli w kierunku drogi—ulicy Custer City. Księżyc ukazał całą swą tarczę i zrobiło się nagle widno jak w dzień. Krętą drożyną, smugami cieni padających od baraków, bud i szałasów, nadal pustych i cichych, dotarł na szeroki pas drogi. Wówczas usłyszał głos strzelby. Raz i drugi. Potem — niezrozumiały okrzyk, trzeci strzał, donośniejszy, grzmiący przeraźliwie w ciszy pustkowia. Zatrzymał się, sprawdził, czy naboje tkwią w magazynku winchestera. Cisza. Nasłuchiwał. Znowu strzał, tym razem rozpoznał głos rewolweru. Wydało mu się, że dobiega od strony saloonu Musgrave'a.

„Popili się i strzelają — pomyślał. — Nie ma sensu mieszać się w awanturę."

Tak postanowił, ale wbrew postanowieniu nadal posuwał się w tym samym kierunku, jednak już nie środkiem ulicy. Uznał, że bezpieczniej będzie wędrować w cieniu tych wszystkich dziwacznych budowli dziwnego miasteczka. W ten sposób przebył chyba z połowę drogi dzielącej dom Heartów od saloonu. Przez ten czas nic już nie zakłóciło ciszy i Karol zaczął przypuszczać, że bójka skończyła się pokojową interwencją świadków. Wspomniał o Tessie, może właśnie on, jako człowiek rozsądny (za takiego go uważał) zdołał uspokoić podniecone wódką temperamenty. Pomyślał również, że przy okazji mógłby powiedzieć Długowłosemu, co osiągnęli stosując się do jego rad. Klepnął się po kieszeni i wyczuł pod dłonią kilka twardych grudek, które pozostały z wczorajszego urobku. Postanowił — zgodnie z danym sobie przyrzeczeniem — nie przestępować progów saloonu i poczekać na dworze, aż Tess wyjdzie. Tak zadecydowawszy — przyspieszył kroku. Nie na długo jednak. Bo oto znowu rozległ się huk wystrzału, gdzieś bardzo blisko. Karolowi wydało się nawet, że na mgnienie oka dostrzegł błysk palnej broni. Z kolei suchy trzask zasygnalizował, że tym razem przemówiła strzelba. Jak dotąd — gadały tylko rewolwery wywołujące znacznie więcej hałasu. Kto strzelał i do kogo? Czy był to pijacki porachunek, czy bandycki napad?

Karol zatrzymał się. Dalsza wędrówka w kierunku saloonu nie miała sensu. Wystawić się na przypadkowe kule nieznanych napastników? A jeśli to uczciwy człowiek? I oczekuje pomocy?

Ciekawość wzięła górę nad ostrożnością i znowu ruszył przed siebie.

Teraz, jakby w odpowiedzi na głos strzelby, pokazały się od razu trzy błyski i zahuczały trzy grzmoty. Po przeciwległej stronie drogi. To znaczy, że ten pojedynek odbywał się poprzez szerokość drogi—ulicy. Po tamtej stronie — sądząc z liczby oddanych jednorazowo strzałów — musiało kryć się trzech ludzi. A po tej, którą szedł?

Wolno i cicho, korzystając z każdej smugi cienia, ściskając mocno w garści winchester, skradał się nasłuchując i rozglądając się na boki. Ciągle nie wiedział, czy znajduje się już o krok, czy o sto kroków od celu. Ciemność kryła wszystkich. Dlatego uradował go nagły błysk, a po nim dwa następne, jakie zamigotały po przeciwnej stronie. Natychmiast odpowiedział im czerwono—złoty wężyk strzelby z tej strony, po której Karol się znajdował. A więc tu krył się chyba tylko jeden człowiek? Trzech atakowało jednego — tak wywnioskował. Zaiste, Custer City musiało być zupełnie puste, a zabawa w saloonie niezwykle hałaśliwa, jeśli do tej pory strzały nie ściągnęły ciekawskich.

Zatrzymał się raptownie, ktoś pchnął go prosto w pierś.

— Kto tu?

Poznał głos Clive Tessa i ucieszył się.

— To ja — odparł spocony z wrażenia.

— Karol? — zapytał szepczący głos.

— Tak.

— Jeszcze sekunda, a byłbym cię zastrzelił. Ale z nieba mi spadłeś. Ich jest pięciu, we dwóch damy im radę. Nie uważasz?

— Czego chcą?

— Zbyt się chwaliłem.

— Czym?

— Ech... uważaj!

Dwa rdzawe ogniki zapaliły się i zgasły i tylko odgłos strzałów trwał sekundę dłużej, zanim ucichł.

— Jak tam? — zaniepokoił się Długowłosy.

— Nic, chybili. Przecież oni nie mogą trafić, nie widać niczego na krok.

— Mogą, mogą. Nie bądź taki pewien.

— To co mamy robić?

— Trzeba wycofać się powolutku. Myślę, że nie zauważyli ciebie, nie zauważą więc, gdy się stąd oddalimy, ale najpierw trzeba ich nieco nastraszyć. Uważaj i wytrzeszczaj oczy.

— Nic nie widzę.

— Ja również, ale czekajmy okazji.

— Kto to?

— Zwykłe bandziory. Od razu nie podobały mi się ich gęby. W saloonie diabeł mnie skusił. Pokazywałem co największe nuggety, a mam ich przy sobie cały worek.

— To nieostrożność — zdobył się na uwagę Karol.

— Pewnie. Zbyt późno się spostrzegłem. Wyszedłem wcześniej niż zwykle, żeby się od nich odczepić, i to było drugie głupstwo! Należało poczekać, aż zacznie świtać, i wyjść razem z innymi. No, trudno. Posuwaj się w bok, Karolu, tylko cicho.

Cały czas rozmawiali szeptem, prawie przytuleni do siebie. Ale czy to ten szept doszedł do uszu przeciwników, czy też sądzili, że napadnięty został trafiony ostatnimi strzałami, bo nagle na drogę wypadł w podskokach cień postaci. Nie przebiegła nawet połowy tej drogi, gdy odezwała się strzelba Tessa i czarna sylwetka runęła w piach.

— Dostał — stwierdził drżącym głosem Karol.

— Tylko w nogę — uspokoił go Długowłosy. — Patrz, już się dźwiga.

Ale nim cień powstał, z przeciwnej strony zagrzmiała salwa.

— Znowu spudłowali — stwierdził Tess. — Chyba nie będziemy czekać, aż się nauczą celować? Dalej do tyłu.

Karol wolniutko, prawie ocierając się o występy zabudowań, krok za krokiem cofał się. Po chwili dostrzegł, że linia zbawczego cienia, który ich dotąd skrywał, poczyna w niepokojący sposób kurczyć się. Już gdzieniegdzie belki, deski szałasów i bud rozbłyskiwały jak srebro, a równocześnie gęstniał mrok po stronie przeciwległej. Nie było w tym nic dziwnego — po prostu noc dobiegała kresu, księżyc zmieniał swe położenie, powoli zachodził. Jego promienie zaglądały teraz coraz głębiej pod okapy i daszki tej strony ulicy, po której znajdowali się Tess i Karol. Obaj przystanęli niezdecydowani przed plamą jasności, jaka przecięła im drogę powrotu.

— Idź — rozkazał Tess. — Szybko!

Skoczył. Ale w momencie, w którym znowu znalazł się w ciemnościach, zagrzmiała salwą rewolwerowa. Odwrócił się. Ujrzał, jak Tess zachwiał się i wolno osunął się na ziemię. Nieruchomy, czarny kształt w smudze księżycowego blasku. Przyskoczył, pochylił się, ukląkł,

— Co panu?

— Dostali mnie.

— Może pan wstać?

Nie czekając na odpowiedź ujął leżącego pod ramiona i wówczas poczuł na jednej z dłoni ciepłą, lepką wilgoć. Tess jęknął cicho. Spróbował się dźwignąć, lecz natychmiast opadł z powrotem.

— Nie mogę — stęknął.

Szeleszczący tupot nóg. Karol podniósł głowę. Ujrzał. Było ich czterech. Biegli w milczeniu w ich stronę. Z cienia wyskoczyli na oświetlone księżycem pasmo drogi. Automatycznym ruchem zniżył lufę winchestera i cztery razy nacisnął cyngiel. Stanęli, zawrócili. Strzelił jeszcze dwa razy.

— Dranie! — zawołał.

Trzech skryły ciemności, czwarty runął na samej linii światła i mroku.

— Jak się pan czuje? — pochylił się nad Długowłosym.

— Niewiele... — głos zamilkł w połowie zdania.

— Co pan mówił?

— Niewiele... już... potrzeba...

— Przeciągnę pana w cień. Oni nas widzą jak na patelni.

— Spróbuj.

Podniósł się na łokciu. Na więcej nie starczyło mu sił. To była ciężka przeprawa. Karol nie należał do ułomków, ale Tess przewyższał go wzrostem i tuszą. Dodatkową trudność przysporzyły obie strzelby: Tessa i Karola. Nie mógł ich przecież nie tylko na chwilę odłożyć, ale nawet na sekundę wypuścić z dłoni. Jednak ze sporym wysiłkiem zdołał przeciągnąć Długowłosego w zasięg najbliższego cienia. Ale co robić dalej?

Spojrzał na drogę. Napastnicy znikli z wyjątkiem jednego, którego dosięgła kula winchestera. Ten leżał nieruchomo. Karol ukląkł obok Tessa. Począł mu rozpinać kurtkę.

— Słuchaj — szepnął ranny. — W kieszeni mam woreczek. Wyjmij. Byłoby głupio zostawiać im taki skarb...

Spełnił polecenie.

— Co z tym począć?

— Zabierz dla siebie, przyda się. Zabierz... mnie już...

— Co?

Nie otrzymał odpowiedzi. Poczuł pod palcami ciało rannego dziwnie zwiotczałe i ogarnął go strach.

— Tess! — zawołał półgłosem.

W półmroku dostrzegł, jak głowa opadła w bok, a długie włosy rozsypały się po policzku. Dotknął dłonią piersi: nie poruszały się. Przytknął ucho do ust: nie wyczuł oddechu.

„Zabili" — pomyślał z rozpaczą w sercu i nagle ogarnęła go wściekłość. Zapragnął, aby tamci ruszyli do ataku. Lecz droga nadal była pusta i cicha.

— Tess — szepnął. — To przeklęte Custer City! Nie opuszczę cię...

Wepchnął woreczek do kieszeni, oparł się plecami o ścianę jakiegoś budynku i czekał. Niedługo, bo nagle dobiegł go głos z przeciwnej strony ulicy.

— Ej, ty! Słyszysz?

Nie odezwał się.

— Na pewno słyszysz — stwierdził ten sam głos — nie udawaj niemowy! Nie mamy do ciebie pretensji. Zostaw go i odejdź, a nie ruszaj niczego. Dajemy ci wolną drogę.

Nawet nie drgnął, tylko mocniej ścisnął winchester w garści.

— Masz minutę czasu. Uciekaj!

„Niech się tylko pokażą" — pomyślał z zawziętością.

Ale nie ukazali się. Minęła chyba minuta, może więcej, może mniej, gdy znowu odezwała się palna broń, a Karol usłyszał wyraźnie świst kuli. Teraz spostrzegł, że blask księżyca sięga już jego stóp, że musieli go widzieć. Przytulił się do chropowatej ściany, ale niewiele to poprawiło sytuację.

Znowu złowroga cisza. Pomyślał, że jeśli tamci rozdzielą swe siły i zaatakują jednocześnie z kilku stron, będzie zgubiony. Dziwne, że do tej pory nie wpadli na taki pomysł.

Nagle usłyszał chrobot za swymi plecami. Instynktownie przesunął się w bok. Chrobot powtórzył się. Później coś lekko trzasnęło. Zerknął za siebie i zobaczył w ścianie, o którą się dotąd opierał, podłużny, prostokątny otwór. W głębi otworu było ciemno jak we wnętrzu sowiej dziupli.

— Nie strzelaj — usłyszał szept. — Chodź do mnie, szybko. Te draby zabiją cię.

— Kto ty?

Z otworu wyjrzała twarz. Wydała mu się znajoma, ale w mroku trudno było dostrzec rysy.

— Chodź, bo zginiesz — zaszeptał nieznajomy.

— A Tess?

— Zabieraj go. Ranny?

— On nie żyje...

— Do diabła! Zabili Długowłosego? To był porządny facet.

— Ktoś ty? — zapytał powtórnie Karol.

— Zgłupiałeś! Chodźże wreszcie.

Z ciemności wysunęła się dłoń i chwyciła go za rękaw kurty. Szarpnął się, ale bezskutecznie.

— Masz na imię Karol — szepnął ten sam głos, a równocześnie ręka z niezwykłą siłą pociągnęła go w głąb otworu. — No, szybciej!

Karol mimo oporu wkroczył w ciemność. Zbawcza dłoń powiodła go poprzez nieznane wnętrza wypełnione mrokiem. Czuł pod stopami gładkie deski podłogi, potem twarde klepisko ubitej gliny, miękki piasek... w końcu zabłysło światło księżyca. Karol ujrzał jakieś deski, bale, doły wykopane w ziemi i stosy śmieci: kości, papiery, resztki jedzenia straszliwie cuchnące. Ale przede wszystkim ujrzał twarz swego wybawcy.

— Derek Carty? — powiedział zdumiony.

— Ten sam. Szybciej, za kilka minut poczną nas ścigać.

Karol zatrzymał się. Był to zrozumiały odruch. Derek Carty, złodziej koni i sprzedawca cudzego bydła, to nie jest na pewno osoba godna zaufania. Widocznie Carty wyczuł wahanie swego towarzysza, bo powiedział bardzo szybko:

— Możesz mnie uważać za złodzieja, ale mordercą ani rabusiem nigdy nie byłem i nie będę. Ruszaj się, bo ci zdejmą skórę z pleców, a przy okazji mnie.

— Nie rozumiem.

— Później wytłumaczę. Słyszysz?

Gdzieś z tyłu, za nimi trzasnęły krótko dwa strzały. Karol przestał się opierać. Ruszyli przez rozwaliska bud i szałasów, aż wreszcie poprzez walący się płot dotarli na względnie równy placyk. Do pnia starego klonu, który jakimś cudem uniknął zagłady, stały przywiązane dwa konie.

— Na siodło! — zakomenderował Carty.

— Dokąd?

— Jak najdalej stąd. Myślisz, że ci zbóje zostawią cię w spokoju?

— Wrócę do Heartów.

— Do Heartów? Ach... to ta rodzina... — zaśmiał się cicho. — Ściągniesz na ich głowy poważne niebezpieczeństwo. Niech tylko tamci dowiedzą się, u kogo mieszkasz. Człowieku, przecież zabiłeś jednego z tych bandziorów!

— Prawda — przyznał smętnie Karol. — Wcale się nie ruszał. Tfu! Zostałem mordercą?

— Nie kłopocz się. Tamten nie był wart nawet kuli winchestera, raczej zasługiwał na stryczek. Wsiadaj!

Ruszyli z miejsca stępa, ale kiedy rozstąpiły się resztki zabudowań, przynaglili konie do galopu. Księżyc już się skrył, a jego blask został zastąpiony bladym świtem nadciągającego dnia. W tej szarości dwu jeźdźców minęło ostatnią, granicę Custer City. Wielka przestrzeń rozwarła przed nimi swe ramiona.

Samotny

Ani się spostrzegł, jak pojaśniało, jak zapaliły się i zgasły zorze. Ocknął się z zadumy ujrzawszy rąbek słonecznej tarczy nad horyzontem. Jego towarzysz, a zarazem przewodnik, zatrzymał konia.

— Jesteśmy prawie u celu.

— Gdzie? — zagadnął Karol nieco podejrzliwie, jako że okolica wyglądała na bezludną, a o Cartym miał już dawniej wyrobioną opinię.

— Zaraz zobaczysz. Jeszcze kapinkę pojedziemy, ale bez pośpiechu, bo tamci, gdyby nawet dosiedli wściekłej krowy, już nas nie złapią.

Karol uśmiechnął się, po raz pierwszy od wielu godzin, ale nie zapytał, czemu to wściekła krowa ma być szybsza od konia.

— Widzisz — mówił dalej Carty — ja od początku dobrze wiedziałem, że dojdzie do awantury.

— Jakiej awantury?

— Mówię o Długowłosym. Byłem akurat w saloonie, gdy wyciągnął piekielnie wypchany woreczek pełen nuggetów. Niech to diabli! — krzyknął. — Jak mogłem zapomnieć? Teraz już na pewno mają w swoich łapach to, na co polowali. Okropność!

Karol nieznacznym ruchem dłoni sprawdził zawartość kieszeni swej kurty, ale nic nie odpowiedział.

— Okropność — powtórzył Carty. — Nigdy sobie tego nie daruję. Musiałem wówczas zgłupieć. Żebyś wiedział, jakie kawały złota były w tym woreczku! Co mu się stało, Długowłosemu, że tak się chwalił? Chyba stracił rozum. On, taki rozsądny chłop. Wyszli za nim z saloonu. Widziałem dokładnie. Jeden był rudy. I kumple go tak przezywali, o innych trudno coś powiedzieć, tyle że gęby mieli zakazane i spojrzenia zbójów. Nie lubię z takimi się zadawać. Wolę uczciwych ludzi.

Karol uśmiechnął się po raz drugi na takie stwierdzenie, ale uśmiech zgasł szybko. Przypomniał sobie Tessa spoczywającego nieruchomo w blasku księżyca. Wzdrygnął się, Cóż za koszmarną noc przeżył!

— Wracajmy — powiedział. — Ta sprawa nie może się tak zakończyć.

— Oszalałeś?

— Mam się kryć jak tchórz? I zbrodniarzy pozostawić bez kary?

— Greenhorn! — wykrzyknął Carty. — Prawdziwy greenhorn! Jeśli wrócisz, zdmuchną cię przy pierwszym spotkaniu. Nawet okiem nie zdążysz mrugnąć. Bo ich nie poznasz, a oni przyjrzeli się tobie dokładnie.

— Było ciemno.

— Ale nie po tej stronie ulicy, po której stałeś. Przecież ja ciebie dostrzegłem i od razu pomyślałem, że muszę spłacić dług.

— Jaki znowu dług?

— Nie pamiętasz, jakeś gardłował w mojej sprawie? Flanaganowie chcieli mnie powiesić i gdyby nie ty i ci poczciwi Heartowie...

— Odstawiłem cię do Laramie — przyznał Karol — ale nie mogę zrozumieć, skąd się tu znalazłeś?

— Jakoś się wydostałem — przyznał z ociąganiem Carty.

— Jak?

— Och, czy to teraz takie ważne? Lepiej posłuchaj o Długowłosym.

— Mów.

— Więc oni obstawili Tessa. To znaczy trzymali się go tak blisko, jak tylko było możliwe. Oczywiście, że zamierzali ukraść nuggety. Poczęli przepijać do Tessa, ale kto by go tam przepił! Widziałem, jak draby miały już dość, a Długowłosy wyglądał nadal jak po szklance wody. Wreszcie zorientował się chyba, o co im chodzi, i wyszedł z saloonu. A tamci po paru minutach za nim. Odczekałem chwilę i wyskoczyłem na dwór. Noc jeszcze była, ale księżyc świecił. Nie wiedziałem, w którą stronę mogli się skierować. I stałbym tam pewnie do rana, gdyby nie wołanie. Po głosie poznałem, że to odezwał się „Grudzielec". Krzyczał: „Hej, Długowłosy! Poczekaj!". Ruszyłem więc z miejsca, ale ostrożnie, żeby mnie tamci nie spostrzegli.

— Bałeś się?

— Ich było pięciu. Razem z Długowłosym dalibyśmy radę, ale sam?

— Należało dogonić Tessa.

— Ha, mądrze powiedziane. Jak miałem dogonić, jeśli mnie od niego właśnie przegradzała ta piątka? Nie mogłem ich minąć.

— Czemu nie obszedłeś?

— Właśnie tak zrobiłem. Chyba pamiętasz, jak wygląda droga? Musiałem zajść z boku i wlazłem między diabelskie opłotki, budy, doły pełne śmieci i zupełnie straciłem orientację. Na dodatek widziałem bardzo źle. Musiałem pobłądzić i dopiero huk strzału wskazał mi właściwy kierunek. Zacząłem się przedzierać poprzez jakieś płoty, szałasy, aż na koniec znalazłem się we wnętrzu pustego baraku, bez okien i drzwi. Cały ten czas słyszałem, jak strzelano. Dostrzegłem szparę w ścianie i wówczas ujrzałem ciebie i Tessa. On leżał na piachu. Wówczas wyłamałem deskę. Resztę już znasz.

— A konie? Kiedy przyprowadziłeś konie?

— Wcale ich nie przyprowadzałem. Zapomniałem powiedzieć, że zanim wlazłem do wnętrza baraku, zauważyłem dwa wierzchowce. Stały w blasku księżyca na małym podwóreczku. Zresztą sam widziałeś. Zacząłem rozglądać się za właścicielem, nawet

zapytałem: „Jest tam kto?” Nikt nie odpowiedział. Od razu pomyślałem, że te konie pasują jak ulał dla mnie i dla Długowłosego, gdy trzeba będzie uciekać.

— A więc to nie są twoje zwierzęta?

— O rety! Czyś ty ogłuchł?

— Ukradłeś zwierzęta, a ja stałem się twoim wspólnikiem. Pięknie!

— Kto mówi o kradzieży? Konie można zwrócić.

— Pewnie, ale teraz...

— Teraz jesteśmy bezpieczni, a to najważniejsze. Wolałbyś nie mieć konia, tylko trochę ołowiu w piersiach? Ja... nie!

— Trzeba je zwrócić.

— Dobrze, dobrze. Jak przyjdzie odpowiednia pora, zrobię to.

— Dziękuję ci. Myślałem o tobie bardzo źle, tam na Złych Ziemiach.

— Dlaczego?

— Co za pytanie? Byłeś złodziejem, a w tych stronach kradzież konia zalicza się do najgorszych przestępstw.

— Hm, może i to prawda, ale przecież nie jestem mordercą i nie mam nikogo na sumieniu.

Powiedział to jakimś innym, nie pasującym do zazwyczaj żartobliwego tonu, głosem. I Karol uwierzył.

— Kiedy wracamy? Oni na pewno już zdążyli uciec z Custer.

— Skąd taka pewność?

— Przecież zabili człowieka i wiedzą, czym to grozi.

— O naiwniaku! Wiesz, że nie ma szeryfa w Custer City, nie istnieje nawet żaden komitet bezpieczeństwa. Kto poprowadzi śledztwo? Gdzie są świadkowie? Skąd możesz wiedzieć, czy na przykład nie ty zostaniesz oskarżony o morderstwo, i to aż dwu ludzi? Albo... ja?

Karol raptownie zatrzymał konia.

— To prawda, jestem jedynym świadkiem. Tym bardziej powinienem szybko wrócić i powiedzieć ludziom...

— Jakim ludziom? Przez cały tydzień w Custer nie ma nikogo poza twoimi Heartami i karczmarzem.

— Jednak nie mogę zrezygnować chociażby z próby ukarania zbrodniarzy.

Ruszyli dalej. Nastała chwila ciszy przerywanej tępymi uderzeniami kopyt o kamienisty grunt.

— Wrócisz tam, skoro ci na tym tak zależy — odezwał się wreszcie Carty. — Tym bardziej że na tym pustkowiu nie mógłbyś wyżyć. Mamy w jukach trochę zapasów, nie na długo jednak to wystarczy. Zawiodę cię w miejsce, które odkryłem kiedyś. Posiedzisz tam dwa, trzy dni. Ja tymczasem pojadę do Custer, rozejrzę się, jak sprawy stoją, i przyjadę tu. Zgadzasz się?

— Zgadzam się. Masz ze mną mnóstwo kłopotów.

— Ocaliłeś mnie od postronka, to warte największych kłopotów.

— Powiadom Heartów, na pewno się niepokoją. Mieszkają w górze potoku, w prawdziwym domu.

— Słyszałem. Wpadnę tam. No, jesteśmy prawie u celu, spójrz!

Posuwali się szeroką doliną, teraz linia wysoczyzn zbiegła się, zamykając pole widzenia.

— Mamy się drapać pod górę? — zaniepokoił się Karol.

—Nie martw się. Tam jest przejście.

Ale to przejście stało się widoczne dopiero na kilka jardów od skalnej zapory. Dwa łańcuchy wzniesień zachodziły tu na siebie, pozostawiając jednak dość szeroką ścieżkę. Tą ścieżką dotarli do następnej doliny, znacznie mniejszej od poprzedniej, jakże innej! Dotąd jechali po ziemi jałowej, na której nic nie rosło, spalonej słońcem, wymytej wiosennymi ulewami, ponurej w swym jednostajnym, posępnym kolorycie, Tu Karol ujrzał zieleń. Szeleściły trawy pod nogami wierzchowców, a wzrok z przyjemnością spoczywał na porosłych świerkowym lasem łagodnych wzniesieniach zamykających tę oazę. Ale najbardziej radowała oczy migotliwa tafla okrągłego jeziorka, którego brzegi porastało sitowie. Wydeptane ścieżki zbiegały z gór ku wodzie — świadectwo obecności licznych czworonogów.

—No, i co ty na to?

Carty zeskoczył z konia, trawa sięgnęła mu do pasa.

—Gdyby nie to, że coś mnie ciąga po świecie — powiedział — zbudowałbym tu sobie chatę.

—Pięknie — stwierdził Karol. — Ale co teraz poczniemy?

—Nie czujesz głodu? Zobaczymy, co w jukach. Przyniosę chrustu.

Odszedł w kierunku leśnych wzniesień, a Karol zajął się rewidowaniem skórzanych kieszeni siodeł. Stwierdził, nie bez zdziwienia, że juki zostały wypełnione bardzo obficie: jedzeniem i amunicją. Prawdopodobnie — na daleką drogę.

„Carty wszystko przewidział — pomyślał z podziwem i w tej samej chwili uświadomił sobie: przecież to nie jego konie! To znaczy, stałem się wspólnikiem złodzieja! Jacyś dwaj nieznajomi wybierali się w podróż, a my sprzątnęliśmy im wierzchowce sprzed nosa!”

Odwrócił się, żeby przywołać Carty'ego, wściekły, nie wiadomo na kogo bardziej, na siebie czy na swego wybawcę. Ale Carty właśnie wkraczał w cień pierwszych drzew i po sekundzie zniknął mu z oczu.

Zrezygnowany ujął za cugle oba zwierzęta i poprowadził je do jeziorka. Piły długo, potrząsając łbami i pochrapując, wreszcie odeszły paść się wśród traw. Teraz Karol pozdejmował z nich uprząż — niezapomniany nawyk kowbojskiej pracy na farmie Bootha: koń w uprzęży źle odpoczywa! A podczas tej czynności nieco ochłonął z gniewu. Robienie awantury Carty'emu niczego przecież nie mogło naprawić. Więc kiedy tamten zjawił się z naręczem suchych gałęzi, powtórzył tylko:

—Musimy jak najprędzej zwrócić zwierzęta...

—Oczywiście, ale chyba nie w tej chwili?

Cisnął drewno na ziemię, ukląkł i długim myśliwskim nożem począł ścinać trawę, a później oczyścił z resztek zieleni spore kolisko gruntu.

—Niby wilgotne — zauważył — ale ostrożność jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Gdyby tak płomień poszedł po trawach, byłaby dobra pieczeń z nas obu i z koni. No, starczy.

Nałożył nieco drzewa na oczyszczoną ziemię i podpalił.

—Pilnuj ognia — polecił. — Sprawdzę, jak nas zaopatrzono. — roześmiał się, ale Karol wcale mu nie zawtórował. — Hej! — krzyknął po chwili, grzebiąc w jukach. — Czego tu nie ma? Mąka, cukier, kasza, boczek wędzony. Żyjemy! Patrzcie państwo! Nawet kawa!

Poprzynosił puszki i woreczki w pobliże ogniska.

—Boczek na podpłomykach i kawa — oznajmił. — Odpowiada ci takie śniadanie?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, zajął się rozrabianiem mąki wodą w błyszczącym płaskim garnku. Karol, pogrążony w ponurych rozważaniach, ocknął się dopiero wówczas, kiedy towarzysz wetknął mu w dłoń gorący podpłomyk, a obok postawił kubek parującego płynu.

— Dalej, do roboty, bo stygnie!

Uwinęli się szybko z boczkiem, podpłomykami i kawą. Carty gadał, Karol cały czas milczał. Odezwał się dopiero wówczas, gdy naczynia zostały wymyte, a ogień zgaszony.

— Kiedy ruszamy?

— Dokąd? — zdziwił się Carty.

— Do Custer City.

— Już ci mówiłem, że pojadę tylko ja. Przecież zgodziłeś się?

— Prawda, ale ta bezczynność bardzo mnie męczy.

— Prześpij się albo pospaceruj po lasku. Może spotkasz antylopę. Tymczasem kapinkę odpocznę.

To powiedziawszy owinął się pledem i legł wśród traw. Karol najpierw powałęsał się tu i tam, wreszcie poszedł za przykładem Carty'ego. Bezsenną noc odczuwał coraz dotkliwiej. Zasnął natychmiast i spał mocno. Nie zbudziła go nawet słońce, które pełnym blaskiem oświetliło dolinkę. Dopiero Carty począł go tarmosić za ramię:

— Wstawaj!

Usiadł na pół przytomny:

— Co się stało?

— Minęło południe i czas mi w drogę.

— Kiedy wrócisz?

— Cierpliwości! W Custer muszę wszystko dobrze wywęszyć. To potrwa chyba ze trzy dni. Zostawię ci całą żywność. Siedź tutaj, to najlepsze schronienie. I pilnuj się. Nie wiem, czy po okolicy nie włóczą się pumy i niedźwiedzie. Masz broń, masz naboje, masz wody pod dostatkiem.

— Wiem. Sprawdź, do kogo należą te konie.

— Kto wie, może do tych bandziorów?

— Chyba kpisz? — oburzył się Karol. — Dwa wierzchowce na pięciu ludzi? A poza tym, gdyby do nich należały, nie stałyby po przeciwległej stronie drogi.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — mruknął Carty zarzucając zwierzęciu derkę, a później siodło na grzbiet.

— Wszystko musimy zwrócić. Konie i zawartość juków. Właściciele wybierali się widać w daleką drogę, a my...

— Wezmę to pod uwagę. Czekaj i bądź cierpliwy.

Uderzył zwierzę piętami i pocwałował ku wyjściu z doliny. Pomachał jeszcze ręką i zniknął za wąskim przejściem. Karol został sam. Nie zmartwił się tym. Carty ze swym brakiem poczucia uczciwości chwilami bardzo go denerwował, mimo że zdawał sobie sprawę, ile mu zawdzięcza. Cóż za dziwny człowiek! Koniokrad ryzykujący życie dla uratowania osoby, która przeszkodziła mu w kradzieży!

Uporządkował porozrzucane zapasy żywności, pochował paczki z ładunkami, obszedł dokoła jeziorko, a nawet zwiedził pogranicze lasku. Przyjrzał się wydeptanym do wodopoju ścieżkom szukając na nich odcisków łap drapieżników. Na tropach znał się niewiele, jednak potrafił odróżnić ślad pumy od antylopy. Ale żadna chyba puma nie wędrowała ku wodzie. Z

przezorności zgromadził jak najwięcej drzewa, przeniósł je w miejsce bardziej oddalone od jeziorka uważając, że bliskie sąsiedztwo wody może nań ściągnąć niepożądanych nocnych gości. Dokonawszy tego wszystkiego i oczyściwszy z traw (za przykładem Carty'ego) plac pod ognisko — nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. Przyzwyczajony do codziennej pracy kowbojskiej, a później do mozolnego przepłukiwania złotodajnego piasku — teraz nudził się. Z nudów wydobył woreczek otrzymany od Clive Tessa. Rozwiązał rzemyk i wysypał na koc całą zawartość. Wysypał i cicho gwizdnął. To nie był piasek, lecz kawałki żółtego metalu. Tess musiał natrafić na prawdziwą żyłę, na to, co powszechnie nazywano bonanzą. Pewnie tak się tym przejął, że zupełnie stracił głowę i chwalił się swym skarbem w grupie napotkanych rzezimieszków. Na własną zgubę. Biedny Tess! A wyglądał na tak roztropnego człowieka. I tyle okazał bezinteresownej życzliwości.

Zgarnął rozsypane złoto, włożył do woreczka, który umieścił na samym spodzie skórzanej kieszeni, w jaką wyposażone było siodło. Teraz począł się zastanawiać, co powinien uczynić z takim skarbem. Oddać? Ale komu? Nie, to nonsens. Tess przecież ofiarował jemu ten woreczek. A więc... zużyje go, jak można najmądrzej. Może kupi ziemię gdzieś w spokojniejszych stronach i zacznie hodować bydło? Nie, dla celów hodowlanych należało nabyć obszar większy niż starczyłoby nań złota. To może — farmę rolną? Ale nic nie znał się na rolnictwie. Machnął ręką i przestał się kłopotać nieodgadniona przyszłością.

Urządził sobie kąpiel w jeziorku, co bardzo poprawiło mu samopoczucie. Prawie wesoły, zajął się rozpaleniem ogniska, a następnie smażeniem boczku i gotowaniem kawy. Później raz jeszcze obszedł dolinkę, wymościł sobie wygodne posłanie. Przespał całą noc i kawałek ranka, a gdy zbudził się raźny i wypoczęty, nie czynił sobie wyrzutów z takiej nieostrożności. Powędrował do skalnych wrót doliny, gdzie tkwił przez kilka godzin. Bezskutecznie. Carty nie przybył. No, ale przecież nie obiecywał szybkiego powrotu.

Takie stwierdzenie oczywistej prawdy nie na długo uspokoiło Karola: Trudno się temu dziwić. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w takiej sytuacji: na zupełnym pustkowiu, w samotności i w przymusowej bezczynności, która już po jednym dniu poczęła mu ciążyć. Nie był traperem, nie miał nic z cech trapera przyzwyczajonego miesiącami do obywania się beż towarzystwa ludzi, był niecierpliwy i niedoświadczony. Jego niecierpliwość wzmagał jeszcze niepokój o Heartów, do których szczerze się przywiązał. Czy nie spotkała ich jaka krzywda ze strony tych samych osobników, którzy napadli na Tessa? Mogli dowiedzieć się, gdzie Karol mieszka, i tam go szukać. A Carty? Czy można mu ufać? Czy czegoś nie pokręcił? Czy dotarł bezpiecznie do Custer City?

Tyle pytań bez odpowiedzi! Karola wiele kosztowało wysiłku dotrwanie do końca dnia trzeciego. Kiedy i wówczas Carty się nie zjawił — odczekał noc, a nazajutrz wczesnym świtem opuścił dolinkę i skierował konia na znajomy (jak sądził) szlak.

Uznał, że doskonale pamięta drogę, więc niezbyt uważał na jej zakręty i rozwidlenia. Minął i drugą jałową dolinę, aż odkryła się przed nim płaszczyzna porosła nędzną trawą i ciemnym sedżem. Teraz ruszył galopem pewien, że każdy skok konia przybliża go do Custer City. Poniewczasie, bo dopiero po dwu godzinach jazdy, przyszło mu do głowy zbadać tropy, jakie odcisnęły ich konie, gdy uciekali z Custer. Co prawda działo się to przed trzema dniami, ale przez ten czas nie padał deszcz i nie przytrafiła się piaskowa burza. Siady musiały być jeszcze widoczne. Zeskoczył z siodła, rozejrzał się dokoła, ruszył prosto, później skręcił w bok, obszedł szerokim kołem miejsce, w którym stał wierzchowiec. Nic, ani jednego śladu

poza odciskami kopyt jego własnego konia. Czyżby kierował się w złą stronę? Postanowił zawrócić.

Teraz posuwał się stępa, z oczami utkwionymi w ziemię, aż do miejsca, w którym obok świeżych tropów własnego wierzchowca odnalazł inne, nieco zatarte, właśnie te sprzed trzech dni. Odetchnął z ulgą. Stary, podwójny trop skręcał i tego skrętu poprzednio nie zauważył. Natychmiast naprawił błąd. Ale po dalszej godzinie jazdy musiał znowu się zatrzymać. Na kamienistym ugorze zatarły się wszelkie ślady. Próżno ich szukał. Doświadczony traper wróciłby do miejsca, w którym trop się urywał, i od tego miejsca posuwał się zakreślając coraz większe koła, aż wreszcie natrafiłby na dalszy odcinek przerwanego tropu. Ale Karol nie posiadał doświadczenia w takich sprawach. Postąpił bardzo nierozsądnie, bo ruszył prosto przed siebie uznawszy, że właściwy kierunek wyznacza mu linia kopulastych wzgórz. Przypomniał sobie, że wzdłuż takiej właśnie linii jechał z Cartym, zanim trafili do zielonej dolinki.

Wyglądało na to, że się nie pomylił, bo po półgodzinnej jeździe odkrył trop koński. Któż mógł tędy wędrować, jeśli nie Carty?

Puścił się cwałem tą wyraźną ścieżką, nie zwróciwszy uwagi na fakt, że odciski kopyt wyglądały zbyt świeżo. Ta szybka jazda została wkrótce przerwana. Wśród kamienistych gruzów trop powtórnie się urwał. Znowu zeskoczył z konia i szukał pilnie dokoła, nie chcąc popełnić raz jeszcze tego samego błędu. Pogratulował sobie cierpliwości, gdy po kilkunastu minutach odnalazł zagubione ślady. Ruszył nimi żwawo, przekonany, ze po tak długiej jeździe lada chwila ujrzy zabudowania Custer City. Nadaremnie. Jak daleko sięgnął jego wzrok, nie dostrzegł najmniejszego nawet drzewka. Zdecydował się dać wytchnąć koniowi. Zeskoczył z siodła, oglądając się za skrawkiem cienia. Nadaremnie. Dokoła przestrzeń skąpana w słońcu, choć ponura. Linia pagórków błyszczała czarno, a gleba miała odcień rudobrązowy. Wyjął fajkę, zapalił i począł przechadzać się to zerkając na niebo bez jednej chmurki, to na ziemię — bez jednej trawki. Nagle zatrzymał się, pochylił i ukląkł. Fajka wypadła mu z ust. Karol zauważył nie jeden, lecz dwa ślady, dwie ścieżki wydeptane końskimi kopytami. Czyżby do Carty'ego przyłączył się jakiś drugi jeździec? Ale odciski obu koni wyglądały identycznie! Jednakowo świeże. Jakby sprzed kilku godzin. To nie mógł być Carty. Poprowadził kilka kroków własnego wierzchowca, bo zrodziło się w nim podejrzenie, że oba tropy odcisnęły te same kopyta.

—To znaczy — powiedział do siebie — że kręcę się w kółko po własnych śladach! Tego jeszcze brakowało!

I znowu popełnił błąd. Zamiast spróbować powrócić do doliny, wskoczył na siodło i pognał na los szczęścia. Gdy słońce zaszło za góry, nadal znajdował się wśród ponurego pustkowia. Zabłądził.

Spędził noc szczękając zębami, mimo że otulił się derką. Ta czarna ziemia, rozgrzewająca się za dnia niby rozpalony piec, nocą — pozbawiona wszelkiej roślinności i wilgoci — stygła bardzo szybko. Toteż prawie wcale nie spał. Rankiem nie miał przy czym się rozgrzać: ani kawałka drzewa na ognisko. Nakarmił zwierzę kukurydzą wyjętą z juków, a sam ledwo zdołał przełknąć kawałek suszonego mięsa. Po czym ruszył dalej, kierując się położeniem słońca. Wiedział, że Custer City leży na wschodzie, więc jechał prosto na złocisty krąg dziennej gwiazdy, powoli wynurzający się zza poszarpanych krawędzi dalekich gór. Rozglądał się bacznie za jakimkolwiek śladem, który by przypominał kształtem podkowy, odcisk buta lub

koleinę wozu. Nic nie znalazł aż do samego południa, gdy przerwał prawie na godzinę swą podróż, aby położyć się w cieniu padającym od wyniosłej skały. Cień nie przyniósł mu ochłody. Od skał, od kamieni, od twardej jak klepisko stodoły ziemi buchał żar. Żaden podmuch wiatru nie łagodził duchoty. Gdy słońce minęło szczyt nieba, ruszył dalej. Żar złagodniał, ale pragnienie wzrosło. Czuł suchość gardła, ból spękanych warg, nieprzyjemne bicie serca. Zamarzył o zielonej dolince, ale gdzież jej teraz szukać?

To–imniża

Koń zatrzymał się raptownie. Klepanie po szyi i uderzanie piętami po bokach nie dało żadnego wyniku. Karol miał wrażenie, że słyszy chrapliwy oddech zwierzęcia. Już od godziny wlekli się tylko truchtem, wreszcie siły wierzchowca wyczerpały się. Z jeźdźcem nie działo się lepiej. W głowie mu szumiało jak w ulu, w skroniach czuł łomot, oddychał z trudem. Aby ulżyć zwierzęciu, zgramolił się z siodła i poszedł na uginających się nogach. Koń ruszył w ślad za swym panem.

Jak długo to trwało? Godzinę, dwie, trzy? Karol nigdy później nie potrafił tego obliczyć. Zataczał się idąc i prawie oślepł. Co pewien czas doznawał wzrokowych halucynacji. Widział lśniące strumienie, połyskujące rzeki, wodospady skąpane w chmurze białych pian. Przecierał powieki i widzenie nikło ustępując miejsca czarnym skałom i ciemnej ziemi. A nad tym — cisza i morderczy skwar.

Custer City, Heartowie, Derek Carty — wszystko to wydawało się teraz nieprawdziwe jak przyjemny sen, po którym nastąpiło okropne przebudzenie. Drgnął. Koń, który wlókł się za nim, teraz parsknął ostrzegawczo. Karol przystanął i gdy zwierzę zrównało się z nim, wydobył — jakże wielkim wysiłkiem! — winchester schowany w pochwie wiszącej przy siodle. Wówczas zachwiał się i o mało nie runął. Wsparł się na lufie i to pozwoliło zachować równowagę. Czuł, że jeśli padnie, nie starczy mu już sił, by się podźwignąć. Wierzchowiec wyprzedził go. Co za nieoczekiwany widok! Zwierzę, jeszcze przed chwilą ledwo wlokące nogi, obecnie pobiegło niemal kłusem. Karol spojrzał za siebie przypuszczając, że z tamtej strony zbliża się niebezpieczeństwo. Ale droga nadal była pusta. Wierzchowiec znikał w obłokach kurzu, dążąc...

„Woda — pomyślał nagle. — Koń poczuł wilgoć!”

Przyśpieszył kroku, przynajmniej tak mu się zdawało. W rzeczywistości szedł jak pijany, zataczając się i przystając. Jeszcze skała zagradzająca przejście, jeszcze lejkowate zagłębienie gruntu, które musiał ominąć, i na koniec ujrzał: zielony pas krzewów i drzew. Tam musiała być woda! Dostrzegł własnego konia roztrącającego krzewy i znikającego za ich zasłoną. Wówczas, gdzieś z boku, wyskoczył drugi koń. Karol nie był pewien, czy jest to zwierzę z krwi i kości, czy też przywidzenie. Bo skąd tu drugi koń? Ale nie zastanawiał się dłużej, zmierzając najkrótszą drogą w kierunku zarośli. Wówczas usłyszał huk. Malutka chmurka kurzu uniosła się znad ziemi o krok od miejsca, w którym się znajdował. Druga kula dała o sobie znać nie tylko kurzem, ale i gwizdem. Musiała przelecieć piekielnie blisko. Rzucił się w piach, tak bardzo przerażony, że na chwilę zapomniał o dręczącym go pragnieniu. Z ręką na lufie winchestera rozglądał się dokoła — nikogo nie dostrzegł. Odczekał jeszcze chwilę i począł się czołgać, wolno, wolniutko. Z ostrożności i z braku sił. Każdy ruch wymagał trudu, na jaki ledwie mógł się zdobyć, jednak granica zieleni stawała się coraz bliższa, a za tą

granicą — zbawcza woda, której zapach już czuł i tęsknił za smakiem. Znowu usłyszał gwizd kuli. Rozpłaszczył się w załamaniu gruntu, prawie nieprzytomny ze zmęczenia i z pragnienia. Wtedy ujrzał tamtego. Napastnik wyszedł z ukrycia, zza potężnego głazu — czarna sylwetka w oślepiających promieniach słońca. Karol zauważył, że zmierzał w kierunku wody dziwnie chwiejnym krokiem.

„Jeśli dojdzie pierwszy — pomyślał — zabierze mi konia. A wówczas zginę albo z pragnienia, albo z głodu."

Przyłożył do ramienia winchester i dwukrotnie pociągnął za cyngiel. Tamten padł natychmiast, ale nie wyglądał na trafionego. Kto to jest, u licha? Chaotyczne myśli przelatywały mu przez głowę. Co teraz robić? Jak się zachować?

Znowu rozpoczął czołganie. Wolno i niezdarnie. Cal po calu w kierunku zbawczych krzewów. Co kilkanaście kroków odpoczywał, ciężko dysząc. Język miał twardy jak kołek, a w gardle ogień. Nie wytrzymał i podniósł się. Schylony, starał się biec, nie bardzo to mu wyszło, ale czuł już wilgoć bijącą od zakrytej zaroślami rzeczki. To mu dodało sił. Na koniec nurknął w zarośla i równocześnie stracił równowagę. Leżąc wśród trawy uniósł z wysiłkiem głowę i ujrzał migoczącą powierzchnię. Dotarł do niej na czworakach, padł na brzegu i zanurzył głowę w wodzie. Cóż za ulga! Nie zważając na nic pił długimi łykami, wreszcie cofnął się i przewrócił na wznak. Odpoczywał, ciężko dysząc, obojętny na wszystko, spodziewając się lada chwila napastnika. Napastnik nie ukazał się. Z każdą sekundą wracały mu siły, młoty przestały walić w skroniach, oddech stawał się normalny. Zerwał się i skoczył w zielony pas. Rozchylił splątane gałęzie, bardzo ostrożnie i przez powstałą szparę zerknął na brązową płaszczyznę. Była pusta. Czyżby tamten odszedł? A może skorzystał z okazji i przedostał się do rzeki w innym miejscu? Spojrzał raz jeszcze: w prawo, przed siebie, w lewo. Ciemny kształt ostro rysował się na ziemi. Poczuł wyrzuty sumienia. Czyżby go trafił? Jaki jest, taki jest, ale trzeba ratować człowieka. Zostawić bez pomocy — to byłoby gorsze od morderstwa.

Wyprostował się i już chciał ruszyć w kierunku nieruchomego celu, gdy myśl nagła powstrzymała go od tego kroku:

„A jeśli on tylko udaje? Pokażę się i wtedy mnie sprzątnie".

Zapadł z powrotem w zarośla, popatrzał w jedną, później w drugą stronę, zauważył oba konie, jak pasły się wśród traw. Zauważył również, że obcy koń nie nosił siodła, tylko derkę.

„Czerwonoskóry? — przemknęło mu przez głowę. — Musiałem być ślepy ze zmęczenia, jeśli tego od razu nie dostrzegłem! Indiański wojownik, na pewno chytry jak oni wszyscy i bardziej niebezpieczny od białego."

Raz jeszcze wyjrzał ostrożnie spoza zarośli. Nic się nie zmieniło. Czerwonoskóry nadal spoczywał na tym samym miejscu, nieruchomy jak kamień. Bardzo wolno i ostrożnie, z winchesterem gotowym do strzału i z oczami utkwionymi w leżącego, wysunął się na otwartą przestrzeń. Wreszcie podpełzł tak blisko, że końcem wyciągniętej broni mógł dotknąć nieruchome ciało. Widział krucze włosy związane w wielki węzeł na czubku głowy i szare pióro weń wpięte. Udaje czy rzeczywiście zemdlał?

Instynktownie cofnął się, przyciskając kolbę strzelby do biodra.

— Ej! — zawołał. — Wstań!

Ani odpowiedzi, ani ruchu. Znowu się zbliżył i ukląkł. Delikatnie wyciągnął zza przepaski leżącego nóż i toporek o długiej, rzeźbionej rączce. Cisnął to wszystko, jak mógł najdalej.

Następnie sięgnął po flintę o długiej lufie i uczynił z nią podobnie. Przyjrzał się dokładnie plecom i nogom Indianina, twarzy nie widział, ponieważ napastnik spoczywał piersiami na ziemi. Odzież miał pokrytą kurzem, ale nigdzie nie widać było najmniejszego śladu rany, najmniejszej plamki krwi.

„Więc nie trafiłem go — pomyślał. — To dobrze. Ale co mu jest? Zemdlał?"

Karol nigdy nie czytał (bo cała jego traperska mądrość wywodziła się z książek), żeby Indianie mdleli. Była to raczej cecha charakterystyczna dla „bladych twarzy". Ostrożnie przewrócił bezwładne ciało na wznak. Pochylił się nad ustami leżącego i poczuł słaby, słabiutki oddech. Nie ulegało wątpliwości, że czerwonoskóry stracił przytomność. Karol zerwał się z klęczek i pobiegł do rzeczki. Zdjął kapelusz, zanurzył go w wodzie i pognał z powrotem bardzo szybko, ponieważ cenny płyn ciurkiem wypływał na wszystkie strony, i zostało zaledwie tyle, by skropić twarz zemdlonego. Znowu udał się po wodę i tym razem przyniósł jej znacznie więcej. Indianin otworzył oczy, ale nadal spoczywał nieruchomo.

— Chodź! — rozkazał Karol. — Chodź powtórzył. — Tam — wskazał ręką. — Tam jest woda.

Ani słowa odpowiedzi. Schylił się i chwycił leżącego pod ramiona.

— Wstawaj, pomogę ci!

Poskutkowało, bo czerwonoskóry dźwignął się ciężko, ale iść normalnie nie potrafił. Karol z niemałym trudem dociągnął go do rzeczki, tam ułożył na skraju brzegu i siadł oblany dziesiątym potem, przecież słońce grzało niemiłosiernie.

Indianin przypadł do wody i pił tak długo, aż Karol zaniepokoił się, że znowu zemdlał. Na koniec głowa uniosła się znad wodnej tafli. Człowiek wyprostował się i siadł. Spojrzał badawczo na swego wybawiciela, lecz milczał.

— Dlaczego do mnie strzelałeś?

Milczenie.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Skinienie głową.

— Odpowiedz!

— Czy jestem twoim jeńcem?

Karol wzruszył ramionami.

— Nie po to ocaliłem cię od śmierci...

— Posłuchaj! Niewiele minęło słońc, gdy burza piaskowa zatarła wszystkie ślady. Zbłądziłem. Gdy przeszły ciemności nocy, na nowo szukałem tropów, gardło moje było suche, a wnętrzności puste. Szukałem tropów wiodących do wodopojów i nie znalazłem. Howgh!

Przerwał i patrzał bystro na Karola.

— Mów dalej.

— Kto zliczy ziarnka piasku i odróżni jedno od drugiego? Krążyłem tu i tam, a tropy, które spotykałem, były tropami mego własnego mustanga. Miałem wodę w worku, ale musiałem napoić zwierzę, aż wreszcie dla mnie została tylko jedna kropla. Wtedy ujrzałem, jak chudy kojot wlecze się przez piaski. Ruszyłem za nim, a on nie uciekał, lecz posuwał się tak wolno, jak żaden inny kojot. To był mój dobry duch! (Karol pomyślał, że kojot, spragniony, po prostu opadł z sił.) Słońce paliło, a kark konia nie świecił już wilgocią. Moja skóra była sucha jak ziemia tej krainy. Tak wędrowaliśmy: ja za kojotem, a mój mustang za mną. Wreszcie

kojot zerwał się do biegu, koń minął mnie, a moje nogi poderwały się, bo chociaż byłem słaby, poczułem, że tam właśnie jest woda. I tak doszliśmy: kojot, mustang i ja. Zwierzęta skryły się za pasmem zieleni, ja nie zdążyłem. Z zarośli wyszedł biały człowiek i strzelił do mnie. Rzuciłem się na spaloną ziemię i kula mnie minęła. A tamten myślał, że mnie trafił, bo śmiał się i krzyczał, czego nie potrafiłem zrozumieć. Ile razy próbowałem podnieść się, tyle razy świstały kule. Dlaczego?

Przerwał i spojrzał na swego słuchacza, a nie otrzymawszy odpowiedzi mówił dalej:

— Jak długo leżałem w skwarze, nie pamiętam. Aż wreszcie mustang wyszedł z zarośli. Blada twarz podbiegła i chwyciła go za uzdę. Miałem gardło wyschnięte i wargi spalone, przecież zawołałem. Mustang wspiął się, przednimi kopytami obalił bladą twarz i przybiegł do mnie. Nie miałem siły wskoczyć na jego grzbiet, tylko padłem nań brzuchem i tak przewieszonego poniósł mnie. Blada twarz zdążyła jeszcze raz strzelić. Nie trafiła. Powędrowałem szukać innego źródła. Nie udało się. Musiałem wracać. A kiedy wróciłem, ujrzałem ciebie. Pomyślałem, że to jest ta sama blada twarz nie dopuszczająca mnie do rzeczki. Dlatego zacząłem strzelać, a później słońce odebrało mi rozum. Teraz wiesz wszystko. Howgh!

— Chciałeś mnie zabić? — zapytał Karol.

— Przebacz.

— Ta rozmowa nie wypadła tak gładko i zrozumiale, jak teraz, gdy ci ją powtarzam, bo powtarzam tylko jej sens najbliższy prawdy — opowiadał po latach Karol Gordon. — Indianin władał angielskim, ale niezbyt biegle. Używał popularnego na Dalekim Zachodzie dialektu pograniczników: mieszaniny angielsko—indiańskich słów, ale język pograniczników był wówczas dla mnie obcy. Gdy spostrzegał, że czegoś nie rozumiem, pomagał sobie gestami. Dowiedziałem się wówczas, że „mini" znaczy w języku Dakotów: woda. To słowo stało się początkiem poznawania przeze mnie mowy tego plemienia. Mój nowy znajomy, który nazywał się To–imniża, pochodził z plemienia Dakotów. Trochę mnie to stropiło. Byłem wówczas rzetelnym greenhornem. Nie wiedziałem, że Dakota to właśnie Sioux. Tylko że słowo Sioux, jak wiesz, jest nazwą obraźliwą.

Przytaknąłem.

— Później wypaliliśmy fajkę pokoju. Nigdy przedtem nie uczestniczyłem w takim obrzędzie, ale słyszałem o nim i sporo czytałem. Wiedziałem, jak mam się zachować, bardzo uważnie obserwowałem jednak czerwonoskórego.

— Rozpaliliście ognisko?

— Nie, obrzęd kalumetu został dokonany przy pomocy mojej zapałki. Mój nowy znajomy nie był zaskoczony. Bardzo zręcznie zapalił fajkę. Później nastąpiło wydmuchiwanie dymu w cztery strony świata i przemówienie, którego nie potrafię powtórzyć, tyle w nim zebrało się niezrozumiałych dla mnie słów. Wiesz przecie, jak bardzo obrazowe są indiańskie dialekty, niekiedy nie do przetłumaczenia, nawet jeśli się je właściwie pojęło. Zrobiłem więc wówczas dobrą minę do złej gry, twarz przyoblekłem w uśmiech i kiedy podał mi fajkę, uczyniłem dokładnie to samo, co on przedtem. Wreszcie przemówiłem, naśladując bohaterów różnych książek o Dzikim Zachodzie. Czegóż to ja nie życzyłem Indianinowi? Gdyby chociaż setna część tych życzeń miała się spełnić, To–imniża natychmiast zostałby władcą Ameryki, a może nawet całego świata. Zdaje się, że trochę przesoliłem, bo kiedy siadłem i zwróciłem

fajkę, przyjął ją z powagą, ale w jego oczach (bodajbym nie upolował ani jednej więcej antylopy jeśli się mylę!) dojrzałem iskierki wesołości. Dopiero później rozpaliliśmy ognisko, by uwarzyć nieco strawy.

To–imniża na pytanie, czy był kiedy w Custer City, odparł przecząco, jednak znajomość szlaku wskazywała na to, iż nieraz musiał przetrząsać okolicę. I chyba nie jako myśliwy. Wskazał Karolowi najkrótszą drogę wiodącą do osady, nawet kawałek go odprowadził. Dalej już Karol jechał samotnie. Do Custer City przybył wieczorem. Stracił rachubę czasu, ale cisza jaka go powitała wśród pierwszych zabudowań, świadczyła o tym, że musiał to być dzień powszedni. Nie sobota i nie niedziela. Przed domem Heartów zeskoczył z konia. Abel, mimo zmroku, dojrzał jeźdźca.

— Kto tam? — zapytał wysuwając głowę za framugę drzwi. I nie czekając odpowiedzi wykrzyknął: — Karol!

Zniknął we wnętrzu sionki, skąd dobiegł jego przytłumiony głos:

— Karol przyjechał!

Wybiegli wszyscy, nie wyłączając Jacka, ale natychmiast wrócili, bo Samuel ujął za rękę nieoczekiwanego gościa i prawie siłą zaciągnął go do izby.

— Jeszcze nie jest tak bardzo ciemno — wyjaśnił zdumionemu Karolowi. — Abel, zamknij drzwi na zasuwę. Jessie, daj nam coś przekąsić. A ty siadaj.

— O co chodzi?

— Poczekaj. Powiedz najpierw, gdzieś się podziewał? Podejrzewaliśmy najgorsze.

— Nie wiecie o niczym?

— Wiemy, ale nie wszystko. Był tu ten koniokrad, jakże mu tam?

— Derek Carty! — ucieszył się Karol. — Nie zawiódł mnie.

— Właśnie. Nie bardzo uwierzyliśmy w to, co opowiadał. Abel nawet podejrzewał, że to on ciebie sprzątnął, a teraz przyszedł z jakimś nieczystym interesem. Jakże tu wierzyć koniokradowi?

— On mi ocalił życie — stwierdził poważnie Karol — z wdzięczności. Sądzę, że to prawda.

— Z jakiej wdzięczności?

— Że go wybroniłem przed Flanaganami. Później widać uciekł z Laramie i powiadał, że zawdzięcza mi wolność. Wam również.

— Ufasz jego szczerości? — zdziwił się Samuel.

— Oczywiście. Ryzykował własną skórą, chociaż nic go do tego nie zmuszało.

— Hm, myśmy nie mieli takiej pewności. Nawet nie bardzo chcieliśmy słuchać, raczej zerkając na konie, czy aby ich nie wyprowadza. On sam przybył na wierzchowcu jak się patrzy, a i uprząż miał nielichą! Skąd ją zdobył? Na pewno nie uczciwym sposobem.

— Ten koń jest skradziony — przyznał Karol.

— Nie mówiłem? — wykrzyknął Abel.

— Ale i mój koń jest skradziony.

Osłupieli na chwilę.

— Jak to? — wyjąkał Samuel. — Wdałeś się z tym złodziejem?

— Posłuchajcie spokojnie. Nie jestem złodziejem, ale nie miałem wyboru. Carty wam o tym nie wspominał?

— Ani słówkiem nie pisnął o pochodzeniu swego wierzchowca. Zastanawiałem się nawet, na czyich to koniach zdołaliście umknąć, ale Carty tak kręcił, że nie otrzymałem żadnej sensownej odpowiedzi.

— Na czyich koniach uciekliśmy? — powtórzył Karol. — Doprawdy nie wiem. On chyba również.

— Ten człowiek doczeka się kiedyś postronka — zauważył surowo Samuel.

— Ależ ojcze! — zaprotestował Abel. — Żeby nie skradzione konie, nie oglądalibyśmy więcej Karola.

— Więc jednak uwierzyliście Carty'emu?

— Tak, chociaż nie w pełni. Dlatego Abel towarzyszył Carty'emu w drodze do ciebie — wyjaśnił Samuel. — Chcielibyśmy mieć pewność.

— Abel mnie szukał! — wykrzyknął Karol. — Narobiłem wam tyle kłopotu... ale czy mogłem zostawić Długowłosego?

— Ani słowa, Karolu. Postąpiłeś tak, jak powinien postąpić każdy prawdziwy mężczyzna, i nikt z nas nie ma ci nie do zarzucenia. Abla sam namówiłem i możesz sobie wyobrazić, jak przestraszyliśmy się, gdy wrócił bez ciebie. Już przypuszczałem, że padłeś ofiarą bandytów lub że cię napadli czerwonoskórzy.

— Niewiele do tego brakowało — wyznał Karol i opowiedział o swej przygodzie. Słuchali nie przerywając i dopiero gdy Karol doszedł do momentu spotkania z Indianinem, Abel przerwał mu okrzykiem:

— A to gałgan! I jak tu wierzyć czerwonym skórom?

— Mylisz się. On po prostu działał w obronie swego życia.

— Chyba kpisz?

— Nie przerywaj i posłuchaj do końca.

— Przepraszam, ale ta historia...

— Ta historia — wtrącił się Karol — miała swoją przyczynę, a tą przyczyną był jakiś łajdak, który dzień przed moim pojawieniem się nie chciał dopuścić Indianina do rzeczki, strzelając za każdym razem, gdy tamten usiłował podejść. Ot, taka zabawa bladej twarzy.

— Czy to pewne? — wyraził wątpliwość Abel.

Karol wzruszył ramionami.

— Jak mam cię przekonać? Posłuchaj...

Raz jeszcze powtórzył wszystko, czego był świadkiem i czego się dowiedział od spotkanego wojownika.

— Uratowałem mu życie i wcale tego nie żałuję. Za to on doprowadził mnie bezpiecznie aż prawie pod samo Custer City.

— No, to jesteście skwitowani — zaśmiał się Abel — jednak odradzam ci odbywanie przejażdżek w takim towarzystwie, jeśli nie pragniesz zajechać aż do wiecznych ostępów.

— Dosyć już — wtrącił się pojednawczo Samuel. — Przestańcie się spierać. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

Zamilkli, bo Samuel odezwał się bardzo ostro. Jeszcze nigdy Karol nie słyszał, by przemawiał takim tonem.

— Myślę, Karolu — powiedział już łagodniej — że zrobiłeś głupstwo nie czekając na powrót Carty'ego.

— Czekałem trzy dni, jak było umówione...

— Carty spóźnił się, ale nie bez przyczyny. Następnego dnia po tej nocy, podczas której zabito Długowłosego, poczęli się kręcić wokół naszego domu jacyś obcy. Początkowo nawet nie zwróciłem na to uwagi. Abel, który rankiem poleciał cię szukać w osadzie, wrócił z wiadomością, że w Custer szumi jak w ulu, że prawie wszyscy niedzielni goście jeszcze pozostali, bo znaleziono dwa trupy. Przeraziłem się: twoje zniknięcie i ten wypadek! Za bardzo jedno do drugiego pasowało. Kazałem Ablowi zostać w domu i sam udałem się do Musgrave'a. Dopiero od niego dowiedziałem się, że zabito Długowłosego, a ten drugi to jakiś obcy. Niełatwo tak mówić, ale przyznam: kamień spadł mi z serca.

Przerwał, żeby westchnąć.

— Biedny Tess. Zrobili mu pogrzeb, jak się patrzy. Musgrave opowiadał, że tamtej nocy Tess miał przy sobie sporo nuggetów, a przy zwłokach nie znaleziono ani jednego. Musieli go obrabować.

— A ten drugi zabity?

— Już mówiłem. Nikt go nie zna. Początkowo sądzono, że ci dwaj się postrzelali, ale gdy obejrzano dokładnie drogę, odkryto ślady krwi daleko od obu zabitych, a poza tym mnóstwo łusek po nabojach. Musiała odbyć się cała bitwa. I nie dwu, ale kilku ludzi brało w niej udział. Pytałem Musgrave'a o ciebie. Powiadał, że w takim tłoku trudno kogoś zauważyć.

— A o koniach? Nic nie mówiono o zaginionych koniach?

— Nie słyszałem. Nie obchodziły mnie wówczas żadne konie, tylko twoja osoba, Karolu. Na szczęście następnego dnia przyjechał ten koniokrad z wieścią o tobie. Ale to nie koniec. Abel mi doniósł o tych podejrzanych typach kręcących się niedaleko naszych działek. Powiedziałem o tym Carty'emu. Zaniepokoił się. Ukrył się w domu i przez okno począł ich obserwować, a potem przywołał mnie i powiedział:

„To muszą być ludzie z bandy, która zabiła Tessa."

„Skąd wiesz?"

„Poznaję rudzielca. Ten facet z czerwoną głową był w saloonie i wyszedł z czwórką kamratów, jak tylko Tess się oddalił."

„Jesteś pewien?" — zapytałem.

„Dobrze mu się wówczas przyjrzałem. O, tamten..." — wskazał mi palcem.

„Ej! — zawołałem w stronę nieznajomych. — Kogo szukacie?"

Jeden z nich zbliżył się. Rzeczywiście miał rudą głowę. Pomyślałem wówczas, że pójdziemy do Musgrave'a, zbierzemy kilku ludzi i zatrzymamy podejrzanych. Ten rudy zbliżył się prawie do drzwi i powiedział:

„Szukamy pewnego młodego człowieka. Mówiono, że u was mieszka."

„O co chodzi?" — zagadnąłem.

„Mamy do niego interes."

„Widzicie przecież, że tu nikogo więcej nie ma. A może chodzi wam o mego syna?"

Właśnie Abel się zbliżał. Ale tamten spojrzał na niego i pokręcił przecząco głową. Wówczas nasz koniokrad zadziwił mnie. Wyszedł z chaty i zapytał:

„Szukacie Kestera?"

Tamten wzruszył ramionami:

„Nie wiem, jak się nazywa. Może i tak."

„To musicie za nim gonić do Hill City albo do Deadwood. Pojechał szukać szczęścia w innych stronach."

„Taak?" — odparł rudy.

Widać było, że nie bardzo wierzy. Zerknął jeszcze do wnętrza izby i odszedł.

„Ani chybi szukają Karola" — powiedział Carty.

„Lećmy do Musgrave'a — zaproponowałem — zbierzemy ludzi i zatrzymamy morderców."

Ale Carty się sprzeciwił. Począł mi klarować, że nie mamy żadnego dowodu, że tamci na pewno się wykręcą od wszystkiego i że chociaż widział rudego w saloonie, to jeszcze nie starcza, żeby go postawić przed sądem. Zgniewało mnie takie rozumowanie.

„Co to za bajka z tym Kesterem i po co?"

„Musiałem to powiedzieć, bałem się, że im odpowiecie, że tu nikt więcej nie mieszkał, a jestem przekonany, że oni nie przyszli na ślepo. Zaprzeczenie tylko utwierdziłoby ich w podejrzeniu."

Przyznałem rację Carty'emu.

— On ma głowę na karku — stwierdził Karol — i chyba słusznie postąpił. Czy mu uwierzyli, to inna sprawa.

— Może — mruknął niechętnie Samuel. — Ale będzie z tego kłopot.

— Postaram się, żeby nie było. Po prostu odjadę — zadeklarował Karol.

— Co ty? — wyrwał się Abel. — Jest nas tu trzech tęgich chłopów i damy sobie radę. Może jeszcze wróci Carty? Będzie czterech.

— A gdzież on?

— Jeszcze raz pojechał ciebie szukać — odparł Samuel.

— Szkoda, że nie uczynił tego wcześniej.

— Gdyby tak uczynił, ruszyliby za nim trop w trop. Musieliśmy odczekać, aż się oddalą. Tak oto przedstawia się cała sprawa. Nie możesz więc mieć żalu do Carty'ego — stwierdził Samuel.

— Już nie mam — westchnął Karol. — Jednak będziemy musieli rozstać się. Nie tylko dla mojego, ale i dla waszego bezpieczeństwa.

— Abel, ojcze! — wtrąciła się niespodziewanie Jessie. — Jeśli go puścicie samego, oni go zabiją.

— Proszę się o mnie nie kłopotać. Nie pojadę ani do Hill, ani do Deadwood City. Wracam do Laramie i dalej na południe. Nawet im do głowy nie przyjdzie szukać mnie w tamtych stronach. Tylko nie sądźcie, że się ich boję — dodał niespodziewanie, zaniepokojony w swej dumie, że mogliby przypuścić coś takiego. Samuel położył mu rękę na ramieniu:

— Bodaj by moja dłoń uschła, jeśli choć przez sekundę tak myślałem...

Tu Abel skwapliwie przytaknął i dodał:

— Po tym, coś zrobił dla Długowłosego i dla tamtej czerwonej skóry, nikt nie ma prawa nawet podejrzewać. Zresztą, po co o tym rozprawiać. Jeśli zechcesz, zostaniesz z nami, jeśli nie...

Karol przecząco pokręcił głową.

— Nie mogę. Gdyby tu byli sami tylko mężczyźni... ale w takiej sytuacji?

— Odjeżdżasz w chwili, w której nasze działki dają coraz więcej złota?

Karol parsknął śmiechem. Spojrzeli nań ze zdziwieniem.

— Nie, nie! Jeszcze nie zwariowałem — uspokoił ich. — Po prostu zapomniałem. Gdzie moje siodło?

Abel wskazał uprząż złożoną w rogu izby.

— Przymknijcie drzwi.

Kiedy Abel wykonał polecenie, Karol wydobył z juków woreczek uszyty z koźlej skórki. Położył go na stole i rozwiązał. Z wnętrza wysypało się kilka kawałków żółtego metalu.

— Co to? — zapytał Samuel Heart.

— Tess ofiarował mi to przed śmiercią.

— Na przechowanie?

— Powiedział, żebym zabrał.

— Złoto — szepnął w osłupieniu Abel. — Same duże sztuki...

— Teraz widzicie, że nie odjadę z pustymi rękami. Jestem zabezpieczony, i to wcale nieźle, na długi czas. Dalsze przebywanie w Custer byłoby tylko kuszeniem losu.

Milczeli, gdy Karol z powrotem zawiązywał woreczek.

— Jeśli do tego dołożymy jeszcze to, coś tu zebrał — odezwał się Samuel — starczy ci na spory kawałek ziemi. Będziesz mógł zostać rolnikiem. Lepszy to zawód niż być poszukiwaczem złota. Teraz widzę, iż nie ma sensu, abyś tu pozostawał dłużej. Życzę ci powodzenia, Karolu.

— Dziękuję. Zatrzymajcie mój udział dla siebie, mnie wystarczy to, co dostałem od Tessa. Jednak wolałbym nie mieć tego skarbu, a nadal oglądać Długowłosego...

— Wszyscy wolelibyśmy, ale stało się i już się nie odstanie. Schowaj dobrze swoje złoto i pilnuj je w drodze. Ta droga właśnie nieco mnie martwi.

— Pewnie, że nie jest łatwa, ale skoro Carty ją przebył, przebędę i ja.

— Carty to wielki spryciarz, a ty... wybacz ale sądzę, że nie masz wielkiego doświadczenia.

— Prawda. Jednak muszę jechać do Laramie.

— Podprowadzę cię kawałek — zaproponował Abel.

— Nie! Możesz być potrzebny tutaj. Lepiej poradźcie mi, co mam począć z koniem? No, z tym koniem, na którym przyjechałem — wyjaśnił widząc zdziwione miny. — Przecież to kradziony wierzchowiec. Jeśli go u was zostawię, a właściciel odnajdzie się, jak mu wytłumaczycie, skąd się tu przyplątał?

— Och, to głupstwo — odpowiedział Abel. — Każdy koń może się urwać z linki i powędrować, dokąd chce.

— Ależ tam były aż dwa konie.

— I drugi mógł się zerwać — odparł spokojnie Abel.

— I zjeść zapasy żywności znajdujące się w jukach? — krzyknął Karol. — Przecież ja nawet połowy ich nie zostawiłem.

— Racja! Do licha — zaniepokoił się Samuel. — To będzie trudniej wyjaśnić.

— Bardzo trudno — zgodził się Karol. — Gdybyśmy chociaż wiedzieli, do kogo te konie należą? Bo jeśli do napastników?

— Wierzysz w to? To czemu wierzchowce stały po przeciwległej stronie drogi? A poza tym: dwa konie na pięciu ludzi? Sam przecie opowiadałeś...

— Opowiadałem i teraz mam wyrzuty sumienia, że skradłem konia być może najuczciwszemu w świecie człowiekowi. Jeśli on się tu zjawi, będzie kłopot. Jaka szkoda, że nie ma Carty'ego.

— Szkoda — mruknął Samuel — to spryciarz i na pewno pomógłby nam wybrnąć z trudności. Liczę na to, że właściciele zwierząt są rozsądnymi ludźmi...

— ...i uwierzą w kłamstwo — dokończył Karol.

— Albo posądzą nas o współuczestnictwo w zbrodni — wtrącił Abel.

— Prawda — stwierdził melancholijnie Samuel. —— Co czynić?

— Niech Karol rusza do Laramie. Jak najszybciej.

Odwrócili się i utkwili zdumiony wzrok w pani Jessie.

— Co się tak na mnie patrzycie, jakbyście ujrzeli ducha? Słucham was i słucham, i niczego mądrego nie potrafię się dosłuchać. Trzech chłopów, a na nic nie mogą się zdecydować.

Widać było, że jest rozgniewana.

— Początkowo sprzeciwiałam się jego wyjazdowi, ale teraz zmieniłam zdanie. To najrozsądniejszy postępek. Jeśli tu zostanie, jego życie nie będzie warte ani centa. Tamte draby na pewno nie dały się zwieść gadaninie Carty'ego o Hill i Deadwood. Zresztą, sprawdzą i wrócą tu. A wówczas...

Odwróciła się i wyszła z izby. Spojrzeli po sobie. Abel zauważył półgłosem:

— Jessie pokazała temperament!

— Dostało nam się — stwierdził Samuel. — Dawno nie widziałem Jessie w takim usposobieniu. Ale ma ona swój rozum, o ma! Szkoda, że nie poradziła, co mamy począć z tym przeklętym koniem. Zapytam ją.

— Jeśli ojciec ma odwagę... — wtrącił żartobliwie Abel.

— Mam.

Poklepał ich po plecach i wyszedł. Wrócił bardzo szybko razem z panią Jessie.

— No, Jessie. Wal!

— Kradziony koń nie może tu pozostać. Jeśli Karol nie chce go zabrać...

— Nie chcę być wspólnikiem koniokrada.

— ...to dziś w nocy Abel wyprowadzi zwierzę i puści je luzem.

— Ja?

— Właśnie ty. Najmniej ryzykujesz. Karol nie może oddalać się od domu aż do swego odjazdu, czyli do świtu. Wiem, że to niewesoła historia, ale inaczej być nie może.

— To znaczy, że Karol ma wędrować przez Złe Ziemie piechotą?! — krzyknął Abel.

— Nie wrzeszcz. Karol pojedzie na naszym koniu. Dobry to wierzchowiec i teraz nie jest nam potrzebny.

— Ale później może być potrzebny — wyraził Karol wątpliwość. — Nie mogę przyjąć takiego daru.

— Więc pojedziesz na kradzionym. Jeszcze jedno słowo, a umywam ręce od wszystkiego. Radźcie sobie sami.

To powiedziawszy wyszła.

— Co jej się stało? — mruknął Abel.

— Ja ci to wytłumaczę, synu: lęka się o Jacka i o nas wszystkich po trochu. A ty — zwrócił się do Karola — nie bądź uparty. Piechotą do Laramie nie dojdziesz, a wierzchowca nigdzie tu nie kupisz.

Karol zastanowił się chwilę:

— Zgoda — odparł — kupię od was.

Heartowie wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Patrzcie, jaki z niego zrobił się milioner! — zawołał Abel.

Zaś Samuel dodał szybko:

— Żadnych pieniędzy od ciebie nie przyjmiemy i nie nalegaj, jeśli pragniesz, abyśmy rozstali się w zgodzie. Jessie mądrze postanowiła i trzymajmy się tego. Abel, jak tylko zrobi się ciemno, wyprowadzi konia na drogę do Custer i tam go zostawi. Ty, Karolu, ruszysz o świcie w stronę Laramie. Abel, idź do Jessie i powiedz jej, jak zdecydowaliśmy. — Kiedy syn odszedł, dodał: — Kto wie, może i my uciekniemy stąd przed zimą? Dopiero teraz widzę, że Czarne Góry to nie miejsce dla dzieci i kobiet.

— Odjechałem następnego dnia, jeszcze szarówką — wspominał Karol Gordon. — W niezbyt wesołym nastroju. Abel towarzyszył mi przez kilka pierwszych mil, ale gdy błysnęły ranne zorze, zatrzymałem konia.

„Wracaj, Ab" — powiedziałem. — Będą się o ciebie niepokoić."

Padliśmy sobie w ramiona, a Heart zrobił taką minę, jakby za sekundę miał się rozpłakać. Potem rozjechaliśmy się w przeciwne strony. Jeszcze spojrzałem za siebie i wykonałem dłonią gest pożegnalny, i jeszcze Abel przystanął i pomachał kapeluszem.

Puściłem konia kłusem, jadąc wzdłuż głębokich kolein wyrytych kołami dyliżansu. Miałem trzymać się stale tego szlaku, bo tylko on mógł mnie doprowadzić bezbłędnie i najkrótszą trasą do Laramie, a stamtąd do Cheyenne. Byłem smutny, chociaż nie przygnębiony. W jukach siodła wiozłem dar Clive Tessa. Mój „skarb" gwarantował mi całkowitą niezależność na długi okres czasu, tam na Południu i Wschodzie. Dodam: miałem wówczas już dość przygód, pragnąłem odpocząć. Tak więc, choć samotny i z dala od przyjaciół, pełen byłem energii i chęci pokonania zwycięsko trudów powrotnej drogi.

Chyba koło południa, gdy odpoczywałem w cieniu samotnej kępy kilku dębów, minął mnie z łoskotem kół, dudnieniem kopyt i pokrzykiwaniem woźnicy dyliżans gnający w stronę Custer. Z okien pomachały ku mnie czyjeś dłonie, a siedzący na dachu wehikułu człowiek krzyknął coś, co zapewne było okrzykiem powitania i pożegnania zarazem. Turkot przytłumił i zniekształcił słowa.

W normalnych warunkach poczekałbym w Custer kilka dni na powrót dyliżansu do Cheyenne i odbył drogę w sposób znacznie wygodniejszy. No cóż, warunki nie były normalne... czekać nie mogłem.

Spotkanie z dyliżansem uznałem za dobry omen i chociaż krajobraz nie nastrajał radośnie — poza kilku drzewami, w których cieniu spoczywałem, rozciągała się nieco falista, pozbawiona wszelkiej, roślinności płaszczyzna — roześmiałem się. Po raz pierwszy od kilku dni. Zerwałem kapelusz z głowy i pomachałem nim za oddalającym się pojazdem. Gdy zniknął w tumanie kurzu, odpoczywałem jeszcze z godzinę. Byłem obficie zaopatrzony w żywność, miałem skórzany wór pełen wody, pełną wody manierkę, dobrą broń i mnóstwo naboi. Heartowie postarali się o wszystko i wątpię, czy w jakikolwiek sposób potrafiłbym się tym zacnym ludziom odwdzięczyć.

Gdy cień drzew nieco się wydłużył, sprawdziłem popręgi siodła, wskoczyłem na koński grzbiet i ruszyłem szlakiem kolein w kierunku Laramie. Tak jechałem jeszcze dwie mile, w ciszy i pustce. Pamiętam dobrze zakręt, który zataczała droga wokół pionowej skały, lśniącej w promieniach słońca czarną, atramentową barwą. Kiedy ją objechałem, zdarłem cugle koniowi tak gwałtownie, aż przysiadł na zadzie. Naprzeciw mnie, prawie twarzą w twarz,

siedział na nieruchomym mustangu, sam nieruchomy jak skała, którą minąłem przed chwilą — Indianin.

Odruchowo wyciągnąłem broń z futerału, ale teraz myślę, że przez ten krótki czas tamten zdążyłby naszpikować mnie kulami. Nie uczynił tego. Podniósł swą strzelbę na wysokość ramienia i odezwał się spokojnym, równym głosem:

— Czekałem na mego białego brata.

— To–imniża! — krzyknąłem.

Czterej jeźdźcy

— Czekałeś na mnie? — zdziwił się Gordon.

— Widziałem mego brata, jak wyruszył w drogę przed świtem razem z drugim białym i czuwałem, aby nie stała się mu krzywda.

— Dziękuję ci...

— Kiedy rozstaliście się, zmyliłem blade twarze swoim tropem. Widziałem, jak twój towarzysz dotarł do miasta, i wtedy zawróciłem, żeby cię spotkać.

— Jeszcze raz dziękuję. Drogę, jak wiesz, przebyłem bezpiecznie. Na tych pustkowiach nie ma drapieżnych zwierząt, a ludzi widziałem tylko w dyliżansie pędzącym do Custer.

— Mój brat nie wie, że wyruszyli za nim czterej jeźdźcy. Mord widziałem w ich oczach, a zemstę w sercu.

Karol uśmiechnął się słysząc obrazowe określenie, ale nie przejął się informacją. Indianin widać napotkał przypadkową grupę jakichś podróżników. Zapytał więc niefrasobliwym tonem:

— Nie mylisz się?

W odpowiedzi usłyszał rzecz dla siebie zadziwiającą. Dla siebie, bo doświadczony westman nie zostałby zaskoczony słowami czerwonoskórego.

Okazało się, iż To–imniża po rozstaniu się Karolem wcale nie pojechał w przeciwnym kierunku, lecz udał się trop w trop za swym niedawnym zbawcą. Czy była to chęć spłacenia długu wdzięczności, czy też — co podejrzewał Karol — wykonanie jakiejś tajemnej misji? Mogło być i jedno, i drugie równocześnie.

W sąsiedztwie Custer City Indianin przebywał cały dzień i całą noc. Obserwował odjazd Karola i Abla, ale również dostrzegł czterech zbrojnych mężczyzn, którzy nieco później wyjechali z osady i puścili się tropem dwu pierwszych. To–imniża wyminął czwórkę w bezpiecznej odległości, potem zostawiwszy mustanga, wdrapał się na szczyt płaskiego wzniesienia i obserwował jadących. Nie był wówczas jeszcze pewien, czy śledzona czwórka kogokolwiek ściga. Po jakimś czasie spostrzegł, że w miejscach, w których grunt staje się kamienisty, jeden lub dwu jeźdźców zeskakiwało z koni i bacznie szukało śladów. Gdy je odnajdywano, ruszali dalej. To–imniża pognał za Karolem i Ablem. Wcale nie po to, żeby ich dogonić, lecz aby jak najszybciej oddalić się od pościgu. Kiedy ocenił, że oddalił się dostatecznie, zatrzymał wierzchowca i troskliwie pozacierał świeże odciski kopyt. Następnie zawrócił i pognał w bok, starając się, by zwierzę stąpało po miękkim gruncie. Na koniec wjechał w łożysko wyschłego strumienia, wysłane drobnymi kamykami. Korytem wyschłej rzeczki wrócił aż do miejsca, w którym pozacierał ślady. Wtedy raz jeszcze odbył poprzednią drogę. W ten sposób na miękkim gruncie powstały odciski jak gdyby dwu koni.

Karol, słuchając tej opowieści, nie mógł zrozumieć, po co tyle kłopotu przysporzył sobie czerwonoskóry wojownik. Jeśli tamta czwórka istotnie ścigała Karola i Abla, wystarczyło przecież zatrzeć ślady. Korzystając z przerwy w opowiadaniu wtrącił swoją na ten temat uwagę.

— Mój biały brat jeździł po preriach?

— Nie.

— Czy mustang może unieść się w powietrze jak ptak?

— Nie — powtórzył Karol trochę zdziwiony, a trochę rozbawiony pytaniem.

— Jeśli więc nagle znikną ślady kopyt, co pomyśli ten, który szedł ich tropem?

— Co pomyśli? — zawahał się. — Ja pomyślałbym, że pozacierano ślady.

— I co wówczas uczyniłby mój brat?

— Zacząłbym szukać dokoła, aż wreszcie znalazłbym przerwany trop. Kto jest ścigany, nie ma tyle czasu, żeby go starczyło na zatarcie śladów na dużej przestrzeni.

— Z mego brata wyrośnie jeszcze dzielny i mądry wojownik. Ja nie chciałem, aby tamci szukali śladów wokół miejsca, w którym je zatarłem. Szybko by je odkryli na nowo. Dlatego zrobiłem fałszywy trop, który się urywa na kamieniach. Na pewno tam właśnie szukali i nic nie odnaleźli. Mój brat mógł bezpiecznie dojechać do miejsca, gdzie go oczekiwałem.

— Rozumiem — westchnął Karol. — Czy jednak jesteś pewien, że oni jechali właśnie za mną?

— A po cóż by śledzili wasz trop? Ja tych ludzi już przedtem widziałem. Krążą po tej ziemi którą wy nazywacie Bad Lands, a my: Płonącą Ziemią.

— I cóż tu robią?

— Napadają na wracających z Czarnych Gór, aby im odebrać złoto. Gdzie sypie się złoty pył, tam kroczy duch śmierci, dlatego my, chociaż wiemy, gdzie leży żółty metal, nie wydobywamy go i nie gromadzimy.

— Za złoto moglibyście kupić wiele cennych przedmiotów: broń, amunicję, noże, derki.

— Wolimy wymieniać skóry. Wojownik, gdy płaci złotem, wzbudza wśród białych podejrzenie. Udają się jego tropem, a jeśli znajdą chociaż okruch, ściągają na miejsce gromadami, rabują wody i lasy, góry i doliny. Tak stało się z Czarnymi Górami, chociaż to ziemia naszych pradziadów, a Biały Ojciec z Waszyngtonu zawarł z nami pokój na wieczne czasy, dopóki płynąć będą rzeki i rosnąć drzewa.

Powiedział to wszystko nie podnosząc głosu, ale jakimś twardym tonem. Czy mówił prawdę? Co do tego Karol nie miał żadnych wątpliwości, westchnął więc tylko i wyznał szczerze:

— I ja tam byłem, i ja szukałem złota, czemuś więc strzegł mego życia?

— Bo zamiast mnie zabić, uratowałeś. Wypaliliśmy fajkę pokoju. — I dodał bez związku z poprzednim zdaniem: — Czy mój brat bardzo się spieszy?

— Nie wrócę już do Czarnych Gór.

— Czy udajesz się do swego tipi?

— Tipi? — powtórzył nie zrozumiawszy w pierwszym momencie, o co chodzi. — Ach tipi! Nie mam tipi i nikt mnie nie oczekuje.

— Więc możesz zostać?

— A cóż bym tu robił i z czego żył na tym pustkowiu?

— To–imniża pokaże ci zielony kraj i zielone wzgórza, gdzie nie stanęła jeszcze noga bladej twarzy. Pełne zwierzyny lasy, pełne ryb strumienie, bobry budują tam swe miasta. Jeśli ci się to nie spodoba, odejdziesz, a ja towarzyszyć ci będę aż do krańców ziem Dakotów.

Karola zadziwiła, a równocześnie wzruszyła taka propozycja.

— Nie wiem, muszę się zastanowić...

To–imniża skinął głową:

— A teraz ruszajmy!

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Ktoś inny pewnie by się zawahał, ale nie Karol. Miał przed sobą „prawdziwego" Indianina, jednego z tych, o których czytał w książkach i tak bardzo podziwiał. Przez chwilę poczuł się Sokolim Okiem, białym przyjacielem czerwonych, bohaterem powieści Coopera.

— Prowadź — odparł krótko.

Indianin w miejscu zawrócił mustanga i ruszył galopem, a Karol podążył za nim, bez trudu dotrzymując mu tempa.

Opuścili szlak dyliżansu, przejechali płytkie zagłębienie, prawdopodobnie pozostałość po jednym z wiosennych sezonowych strumieni, później skręcili pod prostym kątem, aż dotarli do skalnego rumowiska, które łagodnie pięło się ku niezbyt wysokiemu wzgórzu, przypominającemu kształtem olbrzymiego ptaka godzącego przestrzeń skalistym dziobem. U podnóża wysoczyzny To–imniża zatrzymał się.

— Niech mój brat idzie za mną i weźmie konia za uzdę.

Zeskoczył na ziemię i ruszył pierwszy w takt kopyt uderzających z trzaskiem o skaliste podłoże. Karol — jeździec równin — nigdy jeszcze tak bardzo nie namordował się z własnym wierzchowcem. Koń otrzymany od Heartów również najpewniej całe swe życie spędził wśród płaszczyzn Wschodu, dlatego teraz szarpał uzdę i cofał się nie chcąc wstąpić na pochyłość. Schwytany za wędzidło tuż przy pysku, tuląc uszy i chrapiąc zdecydował się wreszcie wejść na piargi, ale nie zrezygnował całkowicie z oporu, próbując stanąć dęba, podrzucając głową i szczerząc zęby. Na szczęście pochyłość przeszła wkrótce w równy, skalny ganek. Po nim powędrowali dalej, aż do miejsca, gdzie pęknięcie pionowej ściany utworzyło coś w rodzaju obszernej groty. To–imniża wprowadził tam swego mustanga i przywiązał go linką do wbitego w ziemię kołka. Widać częstym musiał być tu gościem. Karol wydobył podobny patyk z juków siodła i kamieniem wbił go tak głęboko, jak na to zezwoliła twarda nawierzchnia. Kiedy koń został już przywiązany, Indianin powiedział:

— Chodź.

Po skalnym ganku szli aż do miejsca, w którym pionową skałę przedzielała pochyła rynna, prawdopodobnie wypłukana erozją. To–imniża kroczył na nią pierwszy, odwrócił się i skinął ręką. Karol ruszył za nim, spoglądając p0d nogi, bo głazy chwiały się niebezpiecznie. Indianin co pewien czas przystawał i oglądał się W końcu dotarli do celu. Rynna kończyła się gładką płaszczyzną — tak wyglądał szczyt tego dziwnego wzniesienia. Miał kształt idealnego koła o powierzchni tak sporej, że zmieścić się na nim mogło kilka nawet osób. To–imniża przykląkł.

— Niech mój brat się położy, żeby go z dołu nie ujrzało czyjeś oko.

Spełnił polecenie dziwiąc się takiej ostrożności. Któż mógł ich tu dostrzec? Indianin również się położył. A w sekundę później podczołgał ku samemu krańcowi platformy.

Gestem przywołał Karola. Ten przysunął się do miejsca, skąd platforma urywała się pionową ścianą. Ściana nie była zbyt wysoka, jednak upadek stąd równałby się śmierci. Karol mimo woli wzdrygnął się. Spojrzał przed siebie: ujrzał doliny i góry, labirynt przejść, skalistych wałów i kanionów szarobrązowej barwy. Ani skrawka zieleni. Krajobraz rysował się bardzo wyraziście, bardzo kontrastowo w świetle kończącego się dnia.

— Straszna kraina — szepnął półgłosem — ani zwierzyny, ani ludzi.

— Zwierzyny tu nie ma — odpowiedział Indianin — ale ludzi... niech mój brat spojrzy, tam...

Karol wytężył wzrok i ujrzał! Z tej wysokości i takiej odległości wyglądali jak karzełki siedzące na malutkich konikach. Posuwali się wolno, skręcając raz w prawo, raz w lewo, co pozornie wyglądało na bezcelowe wałęsanie się.

— Kto to?

— Te same blade twarze, które opuściły Custer zaraz po odjeździe mego brata.

— Czego tu szukają?

— Ciebie. Popatrz, rozglądają się za twoimi śladami, myślą, że zbłądziłeś. Mój brat nie mógłby teraz ruszyć w drogę. Zanim by dotarł do Laramie, znalazłby się w niewoli. Howgh!

— Zatrzymali się — zauważył Karol — zsiadają z koni...

— Tak. Czy mój brat jest bogaty?

— Bogaty? Nigdy nie byłem bogaty, ale teraz... Muszę ci o wszystkim opowiedzieć. Czy schodzimy?

— Nie teraz. Musimy zobaczyć, co tamci zdecydują. Niech mój brat otworzy przede mną swe serce.

Karol zamierzał w kilku zdaniach zamknąć dzieje ostatnich dni, ale gdy opowiadał, wizja przeszłości poniosła go i począł zagłębiać się w szczegóły.

Spoczywali obok siebie, słuchacz i opowiadający, obserwowali odległą grupkę ludzi i koni. Nic się tam nie działo, więc Karol mógł, nie spiesząc się, wtajemniczać towarzysza w dziwną i okrutną historię, w którą został wplątany. Od czasu do czasu przerywał opowiadanie, odwracał głowę i spoglądał w twarz Indianina, niepewien, czy tamten wszystko dobrze zrozumiał. Ale ta twarz, widziana z profilu, pozostawała niezmiennie nieruchoma.

To–imniża ani razu nie spojrzał na Karola, wciąż obserwując daleką przestrzeń, jakby nie słyszał tego, co do niego mówiono. Dopiero kiedy opowiadający doszedł do opisu śmierci Clive Tessa, z ust wojownika wyrwało się krótkie: „Uff!”

Czy był to okrzyk podziwu, nagany czy pochwały?

Karol nigdy się o tym nie dowiedział. Kiedy skończył swą relację, usłyszał:

— Mój brat postąpił jak dzielny wojownik ale brakło mu doświadczenia. Co chce począć ze złotem, które otrzymał?

— Sądzę — odparł Karol z wahaniem, bo nie bardzo był pewien swej decyzji — że kupię kawałek ziemi i zostanę rolnikiem. Daleko stąd. Myślę, że starczy tego złota.

— Czyż nie jest go dużo?

— No, sporo...

— Masz zamiar szukać dalej?

— Nie. Nie będę szukał — odparł krótko.

— Mądrość przemawia ustami mego brata. Złoto jest kradzione, bo wydobyte z kradzionej ziemi. Ta ziemia i wszystko, co w niej spoczywa, należy do narodu Dakotów. Howgh!

Cóż mógł na to odpowiedzieć? Niejeden w jego sytuacji spróbowałby chytrości, usiłując wmówić Indianinowi, że nic nie wiedział o tym, kto jest posiadaczem Czarnych Gór.

I oczywiście niczego by nie osiągnął, co najwyżej spotkał się ze wzgardą. Karol postąpił inaczej. Nie dlatego, że nie znał wartości złota, które z takim trudem wydobywał z ziemi i które otrzymał od Tessa. Przede wszystkim dlatego, iż znowu przeżywał (pod wpływem własnego opowiadania) wypadki tragicznej nocy. Był tak rozgoryczony i dotknięty słowami swego towarzysza, iż stało mu się nagle obojętne, czy dojedzie do Laramie z workiem pełnym złotych grudek, czy równie biedny, jak wówczas gdy wyruszył w drogę do Czarnych Gór. Odpowiedział więc szybko i bardziej gwałtownie, niż chciał:

— Moje złoto spoczywa w jukach siodła. Gdy zejdziemy, oddam je.

Z trudem powstrzymał się, żeby jeszcze nie dodać: „i niech to wszyscy diabli porwą!"

— Mój brat powinien zatrzymać to złoto.

— Dlaczego!? — wykrzyknął zapominając o sytuacji, w jakiej się znajdowali. Z tej wysokości każdy dźwięk rozlegał się bardzo daleko.

— Dziwny z mego brata człowiek. Ofiarowuję mu bogactwo, po które przybył w te strony, a on zamiast się cieszyć, pyta, czemu to robię? Inne blade twarze tak nie postępują.

— Przecież nazwałeś mnie złodziejem!

— Uff! Słowa mego brata kolą jak kaktus, ale uratowałeś mi życie i zapomnę o nich. Powiedziałem, że ta ziemia i wszystko, co w niej spoczywa, należy do Dakotów, ale ja jestem wojownikiem Dakotów i mam prawo dać ci cząstkę tej ziemi. Nie odmawiaj.

— A co na to powiedzą inni wojownicy twego narodu?

— Dostaniesz wampum, który będzie cię chronił, jak długo zechcesz przebywać w tych stronach.

Karol niejeden raz czytał o wampumach, wiedział, jak wielkie znaczenie ma taki przedmiot, więc ucieszył się bardzo. Wampum — pas skóry, niekiedy kolorowo malowany, niekiedy bogato zdobiony, zawsze pełen tajemniczych dla białych twarzy znaków wykonanych nożem — mógł odczytać jedynie człowiek znający obrazkowe pismo czerwonoskórych. Wampum gwarantował całkowite bezpieczeństwo jego posiadaczowi.

— Dziękuję ci, To–imniża. — powiedział wzruszony. — Ale.... co dalej mam robić?

Zapytał tak, bowiem słońce poczynało zachodzić i już tylko połową swej tarczy ukazywało się zza dalekich szczytów. Doliny i zbocza ogarniał coraz gęściejszy cień.

Indianin nie odpowiedział natychmiast. Spoglądał w dół bardzo uważnie i jak na cierpliwość Karola bardzo długo. Wreszcie zauważył:

— Odchodzą.

— Przerwali poszukiwania? — ucieszył się Karol.

— Mój brat się myli. Idą do wody i przy niej pozostaną przez noc. To nie jest daleko.

— Woda? — zdumiał się biały.

— Tak, jest tu w okolicy, ale niewielu zna jej miejsce. Popatrz.

Ujrzał, jak czwórka ludzi, prowadząc konie za uzdy, posuwa się wzdłuż skalnej ściany, a później skręca i ginie za kolejną wysoczyzną.

— Tam znajduje się woda. U stóp wzgórza, na którym rosną dęby. Trzeba kopać, ale nie głęboko, trafi się na podziemne źródło.

— Skąd oni o tym wiedzą?

— Mówiłem już memu bratu, że tych ludzi niejeden raz tutaj widziałem.

Karol chciał jeszcze zapytać, w jakim celu To–imniża odbywa wędrówki po niegościnnych Złych Ziemiach, ale ugryzł się w porę w język. Taka ciekawość mogła zostać opacznie zrozumiana.

Zeszli z płaskiego szczytu tą samą skalistą stroną. Karol miał okazję stwierdzić, że schodzenie z góry — wbrew pozorom — jest czymś znacznie trudniejszym od wchodzenia. Nogi się pod nim uginały, gdy wreszcie dotarł do równi skalistego ganku. Nadrabiał miną, ale czuł się; nieludzko zmęczony.

Wzięli konie za uzdy i sprowadzili je po wysypisku piargów. Ileż wysiłku kosztowało Karola zachowanie równowagi — własnej i konia, którego prowadził! Odetchnął, gdy dotarli do podnóża góry. Tu, w dole mrok zgęstniał. Nierówna płaszczyzna pełna była niepokojących cieni, czarnych plam, za których zasłoną kryć się mógł napastnik.

— Jedziemy do wody — powiedział To–imniża.

Wodę znaleźli w obszernym wgłębieniu skalnym. Tak obszernym, że bez trudu zmieściły się w nim oba wierzchowce, a i dla jeźdźców pozostało jeszcze sporo miejsca. Wgłębienie, powstałe w wyniku dziwacznego pęknięcia skały, przypominało sporą komnatę, tyle że pozbawioną sklepienia i o tak wąskim wejściu, że bronić wstępu mógł zaledwie jeden człowiek. We wnętrzu rozpadliny znajdowało się źródełko sennie ciurkające wprost z kamiennej ściany. Niewiele dawało wody i byłby trud z na pojeniem koni, gdyby nie ujęcie w kształcie dużej miski, wydrążone w ziemi. Tam gromadził się zapas, widocznie jednak wsiąkający powoli w glebę, ponieważ z miski nie wyciekała na zewnątrz ani jedna kropla.

— To wgłębienie ja zrobiłem — stwierdził To–imniża.

— Dawno?

— Wiele słońc minęło od tamtej pory.

— Jeżeli znałeś to miejsce, czemu po raz drugi starałeś się dotrzeć do strumienia zamiast udać się tutaj?

— Uczyniłem tak, ale przed ukrytym źródłem obozowali biali ludzie. Nie byłem pewien czy mnie dopuszczą do wody.

— Dlaczego? — zdumiał się Karol. — Uważasz, że wszystkie blade twarze to bandyci?

— Nie uważam, ale tamci byli tymi samymi ludźmi, których mój brat widział ze szczytu skały.

To–imniża odszedł w kąt jaskini, schylił się i ze skalnego zakamarka wyciągnął wiązkę drewna.

— Bywam tu często — wyjaśnił — a noce są chłodne.

Ułożył kilka patyków w mały stosik. Karol wydobył zapałki.

— To dobra rzecz — stwierdził Indianin — dopóki deszcz nie zmoczy i dopóki można je nabyć u bladych twarzy. Niech mój brat schowa swe patyczki. Pokażę mu punk.

— Punk — powtórzył wolno Karol. — Ach tak, zapałka preriowa. Nigdy nie miałem jej w ręku.

— Przypatrz się.

Z zawiniątka zwisającego mu u szyi wydobył płaską deseczkę oraz kołek wrzecionowatego kształtu, z jednego końca mocno spłaszczony, z drugiego zakończony ostrym szpicem. W najgrubszym miejscu, w wywierconym otworze, zamocowany był poprzeczny patyk.

Indianin położył deseczkę na ziemi, postawił kołek ostrym końcem na desce, umieścił kamień na spłaszczonym końcu kołka, przycisnął go lewą ręką, prawą chwycił za poprzeczny patyk i począł obracać kołkiem bardzo szybko, raz w prawo, raz w lewo.

Karol przyglądał się bacznie tej czynności. Bacznie i nieco sceptycznie. Ale sceptycyzm znikł, gdy ujrzał, jak w miejscu, w którym kołek opierał się o deskę, powstawać zaczęła czarna plamka zwęglonego drewna. W sekundę później ukazała się czerwona iskierka. To–imniża przerwał na chwilę wiercenie, sypnął garścią wysuszonego mchu, znowu pokręcił. Buchnął płomyk. Reszta była już tylko drobiazgiem. Od płomyka zajęły się cieńsze gałązki, od cieńszych — grubsze, na koniec cały stos drzewa zapłonął, a wąska chmurka dymu uniosła się ku niebu skalnym kominem.

Wielokrotnie później Karol bywał świadkiem takiego właśnie sposobu rozpalania ognia. Niekiedy posługiwano się takim samym punkiem jak To–imniża, niekiedy wrzecionowaty kołek opasywano rzemieniem, ciągnąc zań raz w jedną, raz w drugą stronę, a piersiami opierając się na kamieniu przyciskającym kołek do deski. Sam parokrotnie używał punku. Jeśli jednak miał zapałki, rezygnował z tego żmudnego sposobu.

Gdy ogień buchnął, Karol wydobył garnczki i zajął się przyrządzeniem posiłku, co zostało przyjęte milczącą aprobatą jego towarzysza.

To–imniża siadł przy ogniu skrzyżowawszy nogi, ze strzelbą spoczywającą tuż obok. Tkwił nieruchomy, nie wiadomo: wpatrzony w ognisko czy nasłuchujący głosów dalekiej przestrzeni? W tej postawie przypominał bardziej posąg niż żywego człowieka. Karol miał okazje przyjrzeć mu się uważnie. Przecież po raz pierwszy w swym życiu obcował z Indianinem!

Czerwonoskóry wcale nie był czerwonoskórym. Skóra jego miała barwę tylko nieco ciemniejszą niż „bladych twarzy", tych z dalekich miast Wschodu. A od spalonej wichrami i słońcem twarzy trapera nie różniła się nawet ciemniejszym odcieniem. Karol wiedział o tym (z książek!), ale teraz mógł sprawdzić swe wiadomości. Przypomniał sobie opinię wielu osób twierdzących, że nazwa „czerwonoskóry" nie wywodzi się od barwy ciała Indian, lecz od czerwonej farby używanej — obok innych kolorów — przez wojowników indiańskich do malowania twarzy przed każdą wojenną wyprawą. Ten Indianin, gdyby go przebrać w traperski strój i obciąć długie włosy, nie różniłby się od pierwszego lepszego łowcy futerek. Kości policzkowe, tak charakterystyczne dla jego rasy, miał lekko wystające, nos prosty i kształtny. A wiek? Tego Karol nie potrafił odgadnąć. Przypuszczał jednak, iż sądząc po powadze i doświadczeniu swego towarzysza — wyrósł już dawno z młodzieńczych lat. Odsłoniętą pierś zdobił naszyjnik z kłów i pazurów szarego niedźwiedzia — dowód męstwa, ponieważ zabicie grizzly wymagało nie lada zręczności i odwagi. Pod naszyjnikiem wisiał na rzemieniu mały woreczek, z którego wystawał cybuch fajki. Och, nie zwykłej fajki, jakich nie brak w sklepach bladych twarzy. Przyjrzał się jej dokładnie, gdy wydmuchiwał dym na cztery strony świata, na znak przyjaźni i pokoju. Główka tej fajki wyrzeźbiona była w jakimś dziwnym kamieniu barwy różowej, lśniącym i gładkim jak lodowa tafla. Natomiast cybuch, bardzo długi, powiązany kolorowym włóknem, wykonano z drzewa. Odzież nosił To–imniża nie pierwszej już świeżości, ale całą i dość czystą, jak na człowieka spędzającego dnie wśród otwartej przestrzeni a noce — na ziemi. Składała się ona ze skórzanej spłowiałej kurtki i spodni z brązowej tkaniny, przepasanych rzemieniem, za którym tkwiły nóż i tomahawk. Na

stopach mocno sfatygowane mokasyny, prawdopodobnie — jak przypuszczał Karol — wykonane z dwu kawałków skóry bizoniej, równie trudnej do zdarcia, jak żelazo.

Od tej odzieży, od całej osoby Indianina rozchodził się ostry zapach dymu, którym przy wielu ogniskach nasiąknęła.

Gdy spożyli posiłek — nadal w milczeniu — To–imniża powiedział:

— Niech mój brat się położy, na pewno jest bardzo zmęczony.

Karol chciał zaprzeczyć, ale ponieważ istotnie ledwo trzymał się na nogach i nie potrafił tego ukryć, nie zaprotestował. Rozłożył derkę, głowę oparł na siodle, strzelbę umieścił pod ręką.

— Obudź mnie, gdy nadejdzie pora — mruknął sennym głosem.

— Niech mój brat śpi spokojnie. Miejsce jest bezpieczne.

Dyliżans

Obudził się tak wcześnie, że w głębi skalnej rozpadliny panował jeszcze półmrok.

Leżał z otwartymi oczami, starając się dostrzec swego towarzysza. Nie zauważył jednak nikogo. Wówczas siadł tknięty niepokojem. Kiedy koc zsunął mu się z ramion, poczuł, że jest bardzo zimno. Zerwał się, wybiegł przed grotę. Ale i tam nie było nikogo. Wrócił i dopiero wówczas spostrzegł, że w szarym popiele ogniska jeszcze żarzą się wiśniowe węgielki. To–imniża musiał odejść bardzo niedawno. Zdecydował się przede wszystkim na ponowne rozpalenie ognia. Rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu chociażby paru patyków. Zamarzył o kubku wrzącej kawy. Począł szukać kamiennego schowka i bardzo się ucieszył, gdy go odnalazł. We wgłębieniu spoczywało kilkanaście krótkich i grubych bierwion. Namozolił się, zanim zapłonęły. Od razu poczuł miłe ciepło. Siadł przy garnczku pełnym wody, zapalił fajkę i czekał, aż płyn zacznie parować.

Gdzież się wybrał To–imniża? Oba konie stały w głębi rozpadliny, ciche i nieruchome jak cienie. Wydobył z juków puszkę ze zmieloną kawą, nabrał pełną garść i sypnął do naczynia. Kiedy kawa się już zagotowała, odstawił garnczek i podniósłszy głowę, niespodziewanie ujrzał po przeciwnej stronie ogniska To–imniża, siedzącego z podwiniętymi nogami i nieruchomego jak posąg. Wrażenie było tak zaskakujące, że Karol przez kilka sekund wpatrywał się w postać towarzysza jak w zjawę. Na koniec wyjąkał:

— Nie zauważyłem...

— Nic nie powinno zdradzać wojownika, dopóki on tego nie zechce — zabrzmiała filozoficzna odpowiedź.

Karol sięgnął po drugie naczynie, ulał kawy i podał. Pili w milczeniu, dmuchając na parującą ciecz.

— Widziałem ich — odezwał się wreszcie Indianin. — Śpią.

— Ich? Ach, chodzi o tę czwórkę. Myślę, że jak się wyśpią, to sobie pójdą. Chyba się dosyć naszukali i wreszcie dadzą mi spokój.

Indianin nie odpowiedział. Nie po raz pierwszy. To było nieco denerwujące. Karol dobrze wiedział, że czerwonoskórzy nie są skorzy do nadmiaru słów na co dzień, ale — prawem kontrastu — stają się niezwykle gadatliwi podczas uroczystych narad starszyzny. Lecz co innego wiedzieć, a co innego być świadkiem tego zwyczaju.

Na szczęście posiłek dobiegł końca i To–imniża przerwał milczenie:

— Niech mój brat pójdzie za mną.

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Karol powstrzymał się przed wzruszeniem ramionami. Umył naczynia i chwycił za siodło.

— Konie zostaną. Weź strzelbę — usłyszał głos Indianina.

Spełnił polecenie i ruszył za swym przewodnikiem, pełen ciekawości, co nowego tym razem mu pokaże. Jego cierpliwość na długą została wystawiona próbę. Ruszyli tą samą, znaną już mu drogą. Kamiennym gankiem dotarli do poprzecznego pasma piargów, a stamtąd w górę, skalną rynną aż na płaski szczyt. Naśladując swego towarzysza, położył się i podpełzł na samą krawędź.

— Widzisz?

Pytanie było zbyteczne. Karol od razu dostrzegł tam w dole, w tym samym miejscu, co wczoraj, grupkę krzątających się ludzi.

„Odjeżdżają — pomyślał — ciekawe, dokąd?" Teraz ujrzał konie wielkości szarańczy. Jeźdźcy wskoczyli na siodła i malutka kawalkada ruszyła powoli. Widać ją było coraz lepiej, ponieważ tarcza słoneczna wychynęła zza górskich łańcuchów i promienie jej nagle rozjaśniły ciemności dolin.

— Gdzie leży Custer City? — zapytał.

— Tam.

Dłoń Indianina wskazała kierunek zgodny z drogą, którą właśnie przebywali ludzie na koniach.

— Wracają — ucieszył się Karol.

— Nie można wiedzieć, jeśli się nie widzi. Pojedziemy ich śladem.

Kiedy zeszli ze szczytu, dotarli do swych wierzchowców i osiodłali je, To–imniża powiedział tonem wyjaśnienia:

— Jeśli wracają do Custer, odprowadzę mego brata do Laramie, a teraz nie rozmawiajmy. Niech mój brat jedzie trop w trop za moim mustangiem i czyni to samo, co ja będę czynił.

Karol sądził, że będą posuwać się po śladach tamtych dopóty, dopóki nie stwierdzą, czy tropiona czwórka istotnie kieruje się do Custer City, czy też nadal zamierza krążyć po Złych Ziemiach. Omylił się.

Co pół mili, co milę musiał zeskakiwać z siodła i gramolić się za przykładem To–imniża na szczyt mniejszego lub większego pagórka, podziwiając swego przewodnika, który skakał jak kozica, a często zrzucał Karolowi długi rzemień lassa, gdy skalna ściana stawała się prawie niedostępna. Strzelba była dodatkową zawadą w tych wędrówkach.

Ze szczytów płaskich, kopulasto zaokrąglonych lub zakończonych postrzępionymi iglicami, spoglądali w dół i w dal. Ponura pustka rozciągała się dokoła. Brak wszelkiej roślinności, a zwłaszcza lasów, ułatwiał dostrzeżenie jakiegokolwiek ruchomego punktu. Ale w równym stopniu i utrudniała obserwację i ograniczała pole widzenia plątanina kanionów i dolin. To–imniża potrafił jednak w nieomylny sposób odnaleźć sylwetki ludzi i zwierząt. Była to ciągle ta sama grupa jeźdźców. Raz prawie tuż, tuż, kiedy indziej — na krańcach horyzontu. Jednostajny, wciąż ten sam widok znużył Karola. Zmęczony ciągłym wchodzeniem i schodzeniem ze skał, wyraził wątpliwość, czy tak dokładna obserwacja jest konieczna, lecz w odpowiedzi usłyszał:

—Gdy chce się długo żyć, trzeba wiedzieć, czynią wrogowie. Jeśli mój brat jest zmęczony, niech pilnuje koni.

Po takiej uwadze Karol, dotknięty w swej ambicji, oświadczył, że „na krok nie odstąpi swego brata". Pożałował wkrótce takiej obietnicy, bo męcząca wędrówka przeciągnęła się do późnych godzin popołudniowych, a trwałaby jeszcze i dłużej, gdyby obserwowani nie rozbili obozowiska.

Obaj znajdowali się wtedy nad krawędzią szerokiego wąwozu, skąd wystrzelił ku niebu czarny obłoczek dymu.

—Ognisko — powiedział Indianin. — Tam jest dużo drzew i wody. Oni zostaną na noc, bo nie ma lepszego miejsca na nocleg. Gdy ciemności okryją ziemię, To–imniża odwiedzi obóz bladych twarzy.

—To niebezpieczne, po co?

—Dowiem się, co zamierzają.

—Jeśli ci powiedzą prawdę...

—Powiedzą, ponieważ mnie nie ujrzą.

„Strzeliłem głupstwo — pomyślał Karol. — Przecież to jasne, że on się tamtym nie pokaże!" A głośno rzekł:

—Pójdę z tobą.

—Mój biały brat jest bardzo dzielny, jednak lepiej, gdy zostanie przy koniach. Żeby podsłuchać, trzeba mieć nie tylko dobre uszy, ale umieć stąpać jak puma. Kiedyś nauczysz się tej sztuki.

—Mogą cię schwytać.

—To–imniża niejeden raz wyrwał się z niewoli.

I cóż można było na to odpowiedzieć? Przed samym zmierzchem powrócili do znanej już groty—rozpadliny, gdzie rozkulbaczono konie i rozpalono mały ogieniek, a kiedy ciemność zgęstniała, Indianin wyruszył pieszo na nocną wędrówkę.

Karol czuwał przy ogniu pomny przestrogi że wielki płomień ściąga nieproszonych gości że bardziej świeci niż grzeje, ponieważ nie sposób usiąść przy nim blisko. Tak więc drzewne szczapki raczej żarzyły się niż paliły, dając w ten sposób mało blasku, a sporo ciepła.

Po godzinie Karol wyszedł spoza rozpadliny i z zadowoleniem stwierdził, że na zewnątrz nie widać ani jednej smugi światła. Stał z oczami wlepionymi w ciemność, czujnie nasłuchując. Ze zdziwieniem zauważył, iż ciche za dnia Złe Ziemie, teraz pełne były tajemniczych dźwięków. Czy to wiatr tak grał na skalnych wgłębieniach, czy osuwający się piasek szeleścił, czy niewidzialny zwierz potrącił chwiejny głaz, który z głuchym turkotem toczył się po twardym zboczu, by upaść cicho na ziemię?

Najprawdopodobniej rozgrzane we dnie góry stygły teraz gwałtownie i nierównomiernie, powodując kruszenie się skał, które obsuwały się po zboczach.

Karol wrócił do rozpadliny, owinął się pledem i siadł przy ognisku, plecami oparty o skałę.

„Niech mój brat uważa na mustanga. On wyczuje niebezpieczeństwo. Jeśli cicho parsknie, zagaś ogień i trzymaj broń w ręku" — tak brzmiały ostatnie słowa To–imniża. Zapamiętał je dobrze i teraz zerkał co pewien czas w głąb rozpadliny, gdzie przywiązano zwierzęta. Mustang stał nieco z boku, nieruchomy i cichy. Wierzchowiec Karola co pewien czas postukiwał kopytami i potrząsał głową, ale to nie był sygnał mogący zwiastować niebezpieczeństwo.

A To–imniża?

Na pewno da sobie radę. Tak rozmyślał Karol, nie potrafił jednak pokonać niepokoju. I trochę z tego właśnie powodu, a trochę dlatego, żeby nie zasnąć, co pewien czas wysuwał się z groty—rozpadliny i nasłuchiwał. Jednak wśród odgłosów nocy nie znalazł żadnego, który by przypominał huk palnej broni, ludzkie wołanie czy wrzawę pościgu. Z nudów począł szukać swej gwiazdy—przewodniczki, wypatrzonej ongiś przez panią Jessie. Odnalazł błyszczący punkcik wśród miliarda innych i ucieszył się, nie wiadomo właściwie dlaczego. Jeśli ta gwiazda miała pomyślnie kształtować jego życie — to tym razem spełniła swe posłannictwo, oto bowiem z ciemności wyszedł To–imniża. Karol odetchnął z ulgą.

— Mój brat może jutro wracać do Laramie.

Ta dobra wiadomość jakoś zbyt mało ucieszyła zainteresowanego.

— Więc jednak odjeżdżają?

— Jeszcze nie teraz. Wysłuchałem ich rozmowy tak głośnej, że nie potrzebowałem podchodzić blisko. Oni wrzeszczeli. Wielki Duch odebrał im rozum. Pili z butelki wodę ognistą i spierali się, kto jest winien, że zagubiono twoje tropy. Narobili hałasu jak całe stado kojotów, a później powyciągali noże. Myślałem, że się pozabijają. Mogłem wpaść między nich, jak wpada orzeł między stado indyków, i przynieść tu ich skalpy.

— Ale przecież tego nie uczyniłeś? — zaniepokoił się Karol.

— Nie. To są psy niegodne mego tomahawka.

— Więc wracają do Custer?

— Nie. Jeszcze nie teraz.

— Wytłumacz.

— Posłuchaj! Blade twarze przestały cię ścigać, ale nie udają się do Custer. Obmyśliły inny plan. Mają czekać przy drodze dyliżansu.

— Na kogo?

— Niech mój biały brat się zastanowi.

— Dyliżans — szepnął Karol. — To jasne...

— Blade twarze chcą zrabować złoto — dodał To–imniża.

— Trzeba ostrzec. Gdybym znał lepiej te przeklęte strony, ruszyłbym natychmiast do Custer.

— Mój brat jest bardzo dzielny, ale nie dojechałby do celu.

— Ty mi pomożesz!

— Mój brat pragnie, żebym przestrzegł blade twarze, które wywożą złoty pył zrabowany narodowi Dakotów?

Pytanie zostało rzucone tak ostrym tonem, że Karol ze zdziwieniem spojrzał w twarz Indianinowi. Ale rysy tej twarzy nadal nie zdradzały żadnego uczucia.

— Mówiłem, że za złotem kroczy śmierć. Jedne blade twarze zabijają drugie blade twarze, a później same giną. Dlaczego mam pomagać jednym grabieżcom naszej ziemi przeciw drugim? Odpowiedz!

Karol zastanowił się. Jakże tu przekonać człowieka, który miał rację i równocześnie jej nie miał? Który nie mógł wiedzieć, że większość poszukiwaczy złota, jaka wyruszyła do Czarnych Gór, to biedacy liczący na poprawę swej sytuacji życiowej. I pewnie by tego nie zrozumiał. Tak głęboka przepaść dzieliła rzeczywistość „czerwonych” od rzeczywistości

„białych”. Nie tylko przemawiano do siebie innymi językami, ale i sposób myślenia był całkowicie różny!

Dlatego właśnie Karol zrezygnował ze wszelkich tłumaczeń i mimo woli postąpił jak najlepiej.

— Pojadę sam — oświadczył — proszę, wskaż mi kierunek, bo... i tak pojadę!

Chciał zakończyć indiańskim „Howgh”, słowem oznaczającym nieodwołalność decyzji, ale natychmiast uznał ten zwrot w swych ustach za coś śmiesznego, więc go zaniechał.

— Poprowadzę cię. Musimy ominąć tamtych i dlatego droga nie będzie łatwa.

Na tym stanęło. Przespali kilka brakujących do świtu godzin i jeszcze szarówką wyruszyli w stronę Custer. Najpierw szeroką i posępną doliną aż do miejsca, gdzie krzyżowała się ona z inną, w której odnaleźli ślady starych kolein. Wkrótce jednak zjechali z oznaczonego szlaku, istniało bowiem ryzyko spotkania na tej właśnie trasie ludzi oczekujących przybycia dyliżansu. To–imniża powiódł Karola takimi bezdrożami, taką gmatwaniną kanionów, wzgórz i jarów, że — jadąc samotnie — zagubiłby się z kretesem. W samo południe urządzili dwugodzinny postój, po czym zagłębili się znowu w bezdroża Złych Ziem. Tego dnia nie dotarli jeszcze do Custer City i Karol począł się obawiać, że nie zdążą na czas. Z rozmowy podsłuchanej przez To–imniża nie wynikało, na który dzień zaplanowano napad. Najprawdopodobniej sami napastnicy nie mogli o—znaczyć dokładnego terminu. Dyliżans kursował nieregularnie. Karol widział go, jak zdążał z Cheyenne do Custer, i wszystko teraz zależało od tego, jak długi wyznaczono tam postój.

Po nocnym odpoczynku dopiero nazajutrz Indianin doprowadził Karola do szlaku znaczonego koleinami.

— Minęliśmy ich — powiedział. — Niech mój brat spieszy do Custer, niech oczy jego będą bystre, a ręka pewna.

— Czy cię jeszcze zobaczę?

To–imniża wykonał nieokreślony ruch dłonią.

— Spotkasz mnie.

— Kiedy?

— Gdy nadejdzie pora.

— Gdzie?

— W miejscu, w którym memu bratu grozić będzie niebezpieczeństwo. Howgh!

Zawrócił mustanga i natychmiast poderwał zwierzę do galopu. Stało się to tak szybko, że Karol nie zdążył ani zadać następnego pytania, ani zadziwić się otrzymanymi odpowiedziami. Cóż one właściwie miały oznaczać? Gdyby nie powaga, z jaką zostały wypowiedziane, można by je przyjąć za żart. Kiepski żart, nic więcej!

Uznał, że nie pora teraz na rozwiązywanie zagadki. Uderzył konia piętami i ruszył ku Custer City zajmując się rozważaniem zupełnie innego rodzaju. Czy dyliżans wyruszył w stronę Laramie już wczoraj i minął ich, gdy zataczali daleki łuk, czy też jeszcze nie opuścił Custer? Najbliższy dzień, a może już tylko godziny wyjaśnią wszystko. Byle jak najprędzej znaleźć się w osadzie. Zmusił wierzchowca do szybkiego biegu, jednak nie tak szybkiego, jakby tego pragnął. Jako doświadczony jeździec wiedział bowiem, że przy długotrwałym galopie zwierzę po kilku milach traci siły. Więc posuwał się ze średnią szybkością, opanowany dwoma sprzecznymi uczuciami: niecierpliwością i rozsądkiem. Aż

niespodziewanie usłyszał narastający hałas. Jeszcze chwila i mógł już rozróżnić turkot kół podskakujących na wybojach, tętent kopyt, a nawet trzaskanie z bicza.

Zatrzymał wierzchowca na środku drogi i czekał. Teraz dostrzegł w dalekiej głębi szlaku pędzący pojazd, za którym wznosiła się szarożółta chmura kurzu. Zawołał raz i drugi. Bez widocznego skutku. Wówczas wyciągnął winchester z futerału i trzykrotnie strzelił ku górze.

Z chrzęstem i zgrzytem hamulców, przy pochrapywaniu koni, wehikuł powolutku się zatrzymał. Woźnica, rozparty na wysokim koźle, trzymający oburącz zgiętymi w łokciach rękami bardzo długie lejce, krzyknął:

— Co tam?!

Jego sąsiad z kozła skierował na Karola wylot długiej strzelby i również krzyknął:

— Czego chcesz?!

W oknach wozu ukazały się głowy podróżnych.

— Napad! — wołał Karol. — Grozi wam napad!

— Co takiego? — odezwała się jedna z wychylonych głów.

— A możeś ty sam napastnik?

I we wnętrzu dyliżansu rozległ się śmiech.

— Przestańcie — oburzył się Karol. — ja wcale nie żartuję.

— My również — odpowiedział czyjś głos.

— Słuchajcie, tam przy drodze czeka czwórka uzbrojonych drabów. Mają zatrzymać dyliżans i obrabować was.

— Skąd wiesz o tym? — zainteresował się woźnica.

— Podsłuchałem ich — skłamał zdając sobie sprawę z tego, iż powołaniem się na słowa To–imniża nic by nie osiągnął.

— Zbliż się! — krzyknął jeden z trójki tkwiącej na dachu.

Karol podjechał truchtem i zatrzymał konia dopiero na kilka kroków od drzwiczek i okien pojazdu.

— Wygląda na uczciwego człowieka — zauważył ten sam pasażer z dachu, ale jego sąsiad natychmiast podał w wątpliwość to stwierdzenie.

— Wygląd o niczym nie świadczy. Niech nam wyjaśni, skąd tu się znalazł? — Drzwiczki otworzyły się i z wnętrza budy wyjrzał mężczyzna, którego Karol rozpoznałby natychmiast, gdyby nie był tak wzburzony i dotknięty słowami pasażerów. Mężczyzna zeskoczył ze stopnia wozu, klepnął się po piersiach i głośno zaśmiał.

— Hej! — zawołał w głąb pojazdu. — Ja go znam! Jeśli tak wyglądają bandyci, bodaj bym się zamienił w najgorszego konia.

— Derek Carty! — zdumiał się Karol. — Cały i zdrowy!

— Cały i zdrowy, chłopie! Co tu robisz? Myślałem, żeś już dawno minął Laramie.

Karol zeskoczył z siodła.

— Przekonaj ich, że mówię prawdę.

Carty odwrócił się do drzwi dyliżansu.

— Panie i panowie — oświadczył z komiczną powagą. — I wy, którzy siedzicie na dachu! Oto mój druh i przyjaciel od lat. Kowboj, poszukiwacz skarbów i poskromiciel grzechotników. Każde jego słowo jest warte funta złota.

Uciszyło się, a później buchnął chóralny śmiech. Korzystając z tego Karol powiedział półgłosem:

— Derek, przestań się wygłupiać.

— Dobrze, dobrze. Proszę o spokój! — krzyknął do rozbawionych towarzyszy podróży. — A teraz powtórz wszystko od początku, Karolu.

I Karol powtórzył.

— A gdzież ci bandyci mają na nas czekać? — Zapytał woźnica.

— Przy szlaku dyliżansu.

— Pewnie, gdzież by indziej! Ale, w którym miejscu?

— Nie znam tych stron dokładnie. To może być milę stąd albo jeszcze dalej.

— Albo sto mil — ozwał się pasażer z dachu. — Ten człowiek coś kręci.

— Można mu wierzyć jak mnie — zaprotestował energicznie Carty.

Karol pomyślał, że takie zapewnienie skompromitowałoby go w oczach podróżnych, gdyby lepiej znali Carty'ego. Widać jednak nikt go dobrze nie znał, bo nawet niedowiarek z dachu odezwał się już mniej złośliwym tonem:

— Przypuśćmy. Co jednak powinniśmy uczynić w takiej sytuacji?

— Może zawrócić? — zaproponował czyjś głos z głębi pudła.

— Zawrócić? — krzyknął ktoś inny. — Mnie się spieszy, mam dosyć tych przeklętych stron!

— Ależ wieziemy kobietę...

— Panią usadzimy w środku i nic się jej nie stanie. Zresztą... nie wierzę w ten cały napad.

Karol sterczał nieruchomy obok swego konia i niecierpliwił się.

— Jeżeli będziecie nadal się spierać i tracić czas — zauważył natężając głos — napastnicy uderzą na was o zmierzchu, widoczność będzie znacznie gorsza i da im przewagę.

— Prawda — mruknął Carty. — Któż to są ci ludzie?

— Przypuszczam, że ci sami, którzy napadli na Długowłosego.

— Jesteś pewien?

— Nie mam pewności. Przecież nigdy nie oglądałem ich twarzy.

— Twierdzisz, że ich podsłuchałeś, więc...

— Ale to działo się w nocy — przerwał mu Karol — dostrzegałem tylko sylwetki.

— To na czym opierasz swe podejrzenie?

— Na tym, że jechali za mną od samego Custer i szukali moich śladów tak długo, aż je skutecznie zatarłem. Czy trzeba lepszego dowodu?

— Hm, może i masz rację. Widzę, że z ciebie nie tylko kowboj, ale i tropiciel. Czemu nie pojechałeś do Laramie?

— Przecież już mówiłem. Ścigali mnie i musiałem kluczyć jak zając.

— Samotnie?

Pytanie zabrzmiało bardzo podejrzliwie, dlatego Karol nie odpowiedział na nie, tylko wzruszył ramionami.

— Uspokój wreszcie swych towarzyszy, oni się kłócą, a w ten sposób nie dojdziemy do żadnego rozsądnego końca.

Istotnie, z wnętrza dyliżansowej budy dobiegał gwar podnieconych głosów, a i na górze wszczął się spór między trzema pasażerami. Jedynymi, którzy zachowali spokój, był woźnica i jego pomocnik. Jeden ćmił fajeczkę, drugi zapalił cygaro, najprawdopodobniej otrzymane od hojnego właściciela salonu w Custer City.

— Panie i panowie! — powtórzył swą tyradę Carty. — Proszę o chwilę ciszy!

Usłuchali go, a gdy głosy zamilkły, dodał:

— Proponuję, żeby wszyscy wysiedli.

— To tylko strata czasu. Po co?

— Dla rozprostowania kości. Nie? Będziemy głosować, kto jest za powrotem do Custer, a kto za jazdą do Laramie. Zgoda?

— Możemy głosować w dyliżansie — zaproponowano z głębi budy, ale propozycja nie znalazła widać uznania większości, bo poczęto gramolić się poprzez wąski otwór drzwiczek. Pierwszy oczom Karola ukazał się pasażer tak chudy, że choć nie był wysoki, zdawał się przewyższać wszystkich. Wysiadł. Karol zauważył, że niezbyt pewnie.

— Oto nasz wybawca! — zawołał chudy pasażer gromko, głosem nieco ochrypłym, po czym oparł się o koło pojazdu i zapadł w jakąś tępą zadumę.

Następny pasażer okazał się przeciwieństwem poprzedniego: tęgi i niski, prawie okrągły, z pucołowatym, uśmiechniętym obliczem, z podwiniętymi rękawami kurty i nogawkami spodni. On również zachowywał się jakoś dziwnie. Na pierwszy rzut oka zdradzał skłonność do runięcia w piach drogi i pewnie by się tak stało, gdyby Karol nie podtrzymał go swym ramieniem.

— Dziękuję, zbawco.

Karol pociągnął nosem i od razu odkrył przyczynę chwiejnych kroków, nadmiernej wesołości i podniecenia w kłótni. Byli pijani.

Trzeci, który się wygramolił, rozwiał ostatecznie wszelkie wątpliwości: dźwigał troskliwie w obu dłoniach wielką flaszę.

Później ukazali się inni, a kiedy wydawało się, że już wszyscy wysiedli, Karol zajrzał do wnętrza pojazdu i zauważył jeszcze jednego pasażera — kobietę. Pospieszył z pomocą, spodziewając się wiotkiej postaci, przypominającej sylwetkę pani Jessie.

— Proszę pani — powiedział wyciągając ręką w głąb pudła.

— Nie trzeba, młodzieńcze. Dam sobie radę.

Karol cofnął się o krok. Kobieta istotnie wyglądała na taką, dla której jakakolwiek pomoc jest zupełnie zbyteczna. Kiedy wyszła z wnętrza i wyprostowała się, przewyższała Karola o pół głowy, chociaż nie należał do niskich, a ponadto sprawiała wrażenie osoby nieprzeciętnie silnej. W lewym ręku niosła średnich rozmiarów walizkę, zaś w prawym — strzelbę. Walizkę zostawiła na ziemi, broń przewiesiła przez ramię rozejrzała się dokoła. Widać podjęła jakąś decyzję, bo schyliła się po swój bagaż. Karol ją uprzedził.

— Poniosę pani — powiedział uprzejmie.

Schwycił za rączkę walizki i dłoń, nie przygotowana na taki ciężar, natychmiast mu zwisła.

— Co pani tam napakowała? Chyba kamienie!

— Kamienie, kamienie, młody człowieku. Dziękuję za dobre chęci, poniosę sama.

Wyrwała mu z ręki pakunek z taką swobodą, jakby nie ważył więcej niż garść pierza, ruszyła na skraj drogi i siadła na wielkim głazie. Karol wytrzeszczył oczy.

— Co się tak gapisz?

To Derek Carty wyrwał go z osłupienia.

— Kto to jest?

— Albo ja wiem? Ona jedzie z Deadwood, podobno prowadziła tam knajpkę. Wierzę, bo wygląda na taką, która daje sobie radę z najtęższym rozrabiaką. Chodź — pociągnął go w stronę grupy pasażerów.

—Poczekaj.

—Co jeszcze?

—Myślę, że ci wszyscy ludzie powinni szybko wracać do Custer. Sam widzisz, jak są pijani.

—No to co z tego?

—To — odparł Karol z trudem hamując gniew — iż w takim stanie nie dadzą rady nawet jednemu tchórzliwemu kojotowi, a nie czterem zabijakom!

—Nie kłopocz się. Otrzeźwieją, zresztą... ty jesteś trzeźwy, ja również, poza tym woźnica i jego pomocnik. A na dodatek ta atletka, o którą pytałeś. Nie masz pojęcia, jak ona strzela! Chodź.

Karol bardzo niechętnie dał się zaciągnąć ku grupce rozgadanych podróżnych. Umilkli na jego widok.

—A pan co nam radzi? — zagadnął chudy pasażer.

—Wracać.

—No słyszycie, moi panowie? Przed chwilą twierdziłem to samo.

—Kto się boi, niech wraca — sprzeciwił się grubas.

—Piechotą? — oburzył się chudy.

—Oczywiście, że piechotą. Kto nie chce jechać, powinien iść.

Roześmiano się, ale już nie tak chóralnie, jak poprzednio. Widać wątpliwości poczęły niektórych dręczyć.

—Dżentelmeni! — zawołał Carty. — Będziemy głosować: kto za dalszą jazdą, kto przeciw? Ja głosuję za jazdą.

—A twój znajomek? — zagadnął grubas.

—Jadę do Laramie — stwierdził Karol.

—Jak to? Nam radzisz wracać, a sam ruszasz w niebezpieczną drogę?

—Tam, którędy ja przejdę, dyliżans nie przejedzie.

—Hm — mruknął ktoś — niby i racja...

—Głosujemy — przypomniał Carty. — Kto za dalszą podróżą, niech podniesie rękę. Uwaga, liczę! Raz, dwa, trzy, cztery...

—To znaczy, że wracamy — stwierdził z zadowoleniem chudy pasażer.

—Dlaczego?

—No bo nas jest dziewięciu.

—A pani? — zwrócił uwagę Carty. — Proszę pani! — zawołał. — Za czym pani głosuje?

—Za jazdą. Jeśli ją przerwiecie, pójdę piechotą do Laramie. Czy wam nie wstyd?

—Patrzcie ją — mruknął chudy — jaka odważna. — A głośno powiedział: — Jeszcze jest woźnica i jego pomocnik. Chyba i oni mają prawo głosu?

—Oczywiście.

Jednakże z kozła opowiedziano się za dalszą podróżą, co wprawiło chudego z bardzo zły humor.

—Jeśli tak zdecydowaliście, nie będę protestował. Ale proponuję, aby nasz wybawca przesiadł się z konia do dyliżansu.

—A to po co? — zapytał Karol.

—Żeby było więcej obrońców.

— Niech pan nie kręci! — zagrzmiał Carty. — Po prostu nie ma pan zaufania do mego przyjaciela. Ot, w czym rzecz! Ale ja się nie zgadzam. W środku jest ciasno jak w beczce śledzi, a wpakowanie tam jeszcze jednej osoby odbierze nam swobodę ruchów. Wprost przeciwnie, ja przesiądę się na dach. Kto uważa, że celnie strzela, proszę za mną.

Rozejrzał się dokoła, ale jakoś nikt się nie zgłosił.

— Ja idę na dach! — krzyknęła pasażerka.

— To zbyt niebezpieczne — sprzeciwił się chudy. — Czy pani wie, na co się naraża? A poza tym... trzeba umieć celnie strzelać.

— Czy ja celnie strzelam?! Poczekajcie, coś wam pokażę. Kto ma półdolarówkę do stracenia?

Podbiegło kilku chętnych.

— Skoro aż tylu amatorów, proszę rzucić w górę dwie monety. Jak dam znak.

Wolno zdjęła z ramienia broń i oparła jej kolbę na kolanie.

— Jak doliczę do trzech, rzucajcie. Wysoko w górę. Uwaga: raz, dwa, trzy!

Srebrne blaszki śmignęły ku niebu i zamigotały w blasku słońca. Wszyscy zadarli głowy. Kobieta, nie odrywając kolby od kolana dwukrotnie pociągnęła za cyngiel. Odgłos obu strzałów zlał się w jeden przeciągły huk powtórzony echem. Krążki zawirowały i spadły. Wszyscy rzucili się ku nim. Tylko Karol ani drgnął, a nawet przytrzymał Carty'ego.

— Cóż za idiotyzm — powiedział półgłosem — w ten sposób zawiadamiamy tamtych, gdzie się znajdujemy.

Carty chciał odezwać się, ale przerwał mu ryk radości.

— Oba trafione, oba trafione! — wrzeszczano i niewiele brakowało, aby mistrzynię porwano na ramiona i obniesiono triumfalnie wokół dyliżansu. Przeszkodził temu Carty.

— Dosyć! — krzyknął, a zwracając się do pasażerki: — Ma pani znakomite oko i jeśli życzy sobie jechać na dachu, bardzo proszę.

Stwierdził to z taką pewnością siebie, jakby był dowódcą oddziału wojska. Ale najdziwniejsze było to, że nikt nie zaprotestował przeciw takiej uzurpacji władzy.

— Proszę na górę — komenderował Carty. — Najpierw pani!

Podszedł do siedzącej, chwycił ją za rękę, pociągnął do pojazdu, skąd przy pomocy jeszcze dwu par rąk kobieta została wciągnięta na dach.

— A teraz jeszcze dwie osoby. Dwu dobrych strzelców. Szybciej, panowie, szkoda każdej minuty.

Kiedy załoga dachu została uzupełniona, Carty zarządził:

— Robimy barykadę z bagaży!

Na dachu spoczywało kilka wypchanych worków, przymocowanych sznurami. Zostały odwiązane i umiejętnie rozłożone po bokach.

— Hej, dżentelmeni! — ryknął z wysokości Carty. — Ruszamy!

Gromadka posłusznie podbiegła chwiejnym krokiem ku drzwiczkom dyliżansu. Wreszcie jakoś się upakowali.

— Woźnico! — zawołał niezmordowany koniokrad.

— Poczekajcie! — ozwał się głos z dołu.

— O co chodzi?

— Niech ten pański przyjaciel rusza pierwszy — zaproponował któryś z podróżnych.

— A to dlaczego?

— Żeby mógł nas w porę uprzedzić o niebezpieczeństwie.

— I zginąć pierwszy — podchwycił Carty. — On dla nas już dosyć uczynił. Zrozumcie, że jeżeli padnie pod nim koń, zatarasuje nam przejazd. Karolu, jedź z tyłu. Woźnico! W drogę! Jak można najszybciej.

Bat świsnął bardziej dla efektu niż z potrzeby. Trzy pary koni ruszyły truchtem, a po chwili przeszły w posuwisty kłus. Zabrzęczały szyby w okienkach, załomotały żelazne obręcze kół i pierwszy obłoczek kurzu wzbił się ku niebu.

— Wio, maluśkie! — ponaglił woźnica. — Katy, Daisy, Emmie, Babbie... Nuże!

Karol roześmiał się. Widać wszystkie konie z zaprzęgu nosiły popularne kobiece imiona.

Wielkie Drzewo

Początkowo Karol jechał tuż za dyliżansem, lecz rychło chmura kurzu stała się tak gęsta, że dostał ataku kaszlu, oczy poczęły łzawić i prawie zaniewidział.

Wstrzymał na chwilę wierzchowca, a kiedy pojazd nieco się oddalił, ruszył znowu w cwał, lecz nie środkiem, a poboczem drogi. Dzięki temu mógł bez przeszkód obserwować szlak ciągnący się przed pojazdem. Jak dotąd — zupełnie pusty, bo cichym trudno go było nazwać. Turkot kół, tętent kopyt usłyszałby każdy w promieniu mili. Każdy, to znaczy najprawdopodobniej: czwórka napastników i może... To–imniża, jeśli nie odjechał zbyt daleko. Bo któż więcej na tym odludziu mógł przebywać?

Karol od czasu do czasu zerkał w stronę dachu pędzącego dyliżansu, gdzie spoza prymitywnego szańca worków wystawały głowy obrońców. Carty pomachał ręką i coś tam wołał z góry, ale Karol usłyszał tylko pourywane strzępki słów. Podjechał bliżej. I wtedy widok, jaki ujrzał we wnętrzu budy, mocno go zaniepokoił. Wyglądało bowiem na to, że wszyscy pasażerowie spali.

Jak mogli spać, podrzucani raz po raz na wszystkie strony, w ogłuszającym łomocie? — zdumiał się Karol, ale zaraz sobie uświadomił że to wpływ trunku, którym raczyli się poprzednio, zneutralizował wszelkie niewygody jazdy, a jej uczestników przemienił w nieczułe kłody. Co nastąpi, gdy dyliżans zostanie zatrzymany przez napastników? Czy ci śpiący ludzie potrafią się bronić?

Odpowiedź na te retoryczne pytania mogła być tylko jedna: prędzej się dadzą zarżnąć jak kaczki, niż chwycą za broń. Bronić się mogli tylko ci z dachu. Tam bowiem nie sposób było zapaść w drzemkę. Każda sekunda nieuwagi groziła runięciem pod koła. Widok tej piątki rozglądającej się z wysokości stanowił jedyną pociechę dla strapionego Karola. Począł się zastanawiać, czy forma pomocy, jaką wybrał, była właściwa. Może należało tylko dyskretnie i z ukrycia śledzić szykujących się do napadu ludzi, a w momencie napadu zaskoczyć ich? Ba, ale bez pomocy To–imniża Karol nie potrafiłby takiego planu przeprowadzić. Poczuł żal do Indianina, a równocześnie stwierdził, że dla tych nieznanych beztroskich podróżników nie mógł uczynić więcej ponad to, co już uczynił.

Pędzili dalej, a każda przebyta mila zbliżała ich do fortu Laramie, zmniejszając groźbę napadu. Karol począł się łudzić, że prawdopodobnie coś przeszkodziło napastnikom albo po prostu rozmyślili się. Sam siebie przekonywał, jakim ryzykiem dla czterech zaledwie osób byłby napad na dyliżans pełen uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko w obronie swego mienia ludzi. Bandyci przecież nie mogli wiedzieć, w jakim stanie znajdują się pasażerowie!

Ponieważ słuszność takich argumentów była zgodna z jego pragnieniem, uznał je za niewątpliwe. I dlatego nie zaskoczył go nawet widok jeźdźców, jacy nagle ukazali się na drodze zaledwie kilka jardów przed rozpędzonym wehikułem. Pomyślał, że to jacyś przygodni podróżni. Dopiero kiedy mknący całym pędem dyliżans zbliżył się ku przybyszom, zauważył, że każdy z czterech konnych zagradzających drogę ma na twarzy kolorową chustkę, i szybko sięgnął po winchester. Nie po to, by strzelać, w takim biegu przyłożenie kolby do ramienia było sprawą wręcz niewykonalną, lecz żeby być w pogotowiu. Pożałował, że nie posiada krótkiej broni.

Teraz dostrzegł, jak tamci wymachują strzelbami i coś wołają, ale co — nie usłyszał. Dyliżans niczym taran runął na żywą przegrodę. Zdarli wędzidła i odskoczyli na boki. Wówczas zabrzmiał huk pierwszych strzałów. Jeźdźcy walili z rewolwerów. Odpowiedziały im długie lufy z dachu pojazdu.

Karol popędził wierzchowca bacząc pilnie, by ani na sekundę nie zrównać się z okienkami dyliżansu i nie znaleźć się na linii ognia. Jednakże nie padł stamtąd ani jeden strzał. Grzmiało jedynie z wysokości dachu przy hucznych okrzykach Carty'ego.

Gnała karoca, gnały konie napastników. Ustawiczny ruch uniemożliwiał celność strzałów i — jak zaobserwował Karol — kanonada była tylko oczywistym marnowaniem kul. Napastnicy zdali sobie widać z tego sprawę, bo nagle jeden z nich skoczył ku pierwszej parze koni zaprzężonych do dyliżansu. Czy chciał przyhamować ich bieg, czy dokonać ryzykownego skoku na grzbiet któregoś z nich? Tego nikt nie zdołał sprawdzić, bo oto jeździec nagle zakolebał się w siodle, jego lewa noga śmignęła w górę, a on sam rozciągnął się nieruchomo na ziemi. Koń pognał dalej, koła dyliżansu o cal minęły leżącego, a wierzchowiec Karola wykonał krótki skok.

W nieustającej palbie nikt nie zorientował się, czy człowiek spadł z konia trafiony kulą czy jakimś zbiegiem okoliczności stracił równowagę. Któż miał zresztą głowę do zastanawiania się nad tym?

Z kolei wydarzyło się coś, co mogło przesądzić o losie dyliżansu i jego pasażerów. Wóz zatrzymał się gwałtownie, siedzący na górze potoczyli się na sam kraniec dachu i gdyby nie malutka barierka służąca do umocowania bagaży, stoczyliby się na ziemię. Karol w ostatnim momencie skręcił nieco w prawo. Zobaczył wówczas, że pierwszy koń w zaprzęgu runął, następny wpadł na niego i właśnie starał się dźwignąć. Zaś pudło dyliżansu siłą rozpędu pchnęło dwa ostatnie zwierzęta między dwa środkowe. Wtedy to trzech jeźdźców doskoczyło do kozła woźnicy. Karol zatrzymał wierzchowca, przyłożył kolbę do ramienia, pociągnął za cyngiel. Chybił. Wtedy zabrzmiały jeszcze dwa strzały i dwaj napastnicy zwalili się z kulbak, trzeci wypalił w stronę Karola, zawrócił w miejscu i pognał w bok, a po kilku sekundach zniknął za skalnym wzniesieniem.

Wierzchowiec Karola jakoś dziwnie zadrżał, przechylił się i ledwie jego pan zdołał wyszarpnąć nogi ze strzemion, zwalił się w kurz drogi. Karol odskoczył trzymając ciągle lufę zwróconą w stronę napastnika, którego już nie było.

Po wrzawie, tętencie, huku strzałów — zrobiło się nagle przeraźliwie cicho. Tę ciszę pierwszy przerwał Derek Carty.

— Ej, tam na dole! — wołał z wyżyn dachu. — Jest kto ranny?

— Jest — odezwał się słaby głos.

— Zaraz schodzę.

Przerzucił nogi nad balustradką i skoczył.

— Jak tam, Karolu?

— Zabili konia, ale mnie tylko kilka razy zagwizdało koło uszu.

— No, to wygraliśmy.

Podszedł do drzwiczek i szarpnął za klamkę.

— Który tam dostał?

Po chwili wygramolił się chudy pasażer.

— Mówiłem, żeby wracać — zajęczał.

Karol zbliżył się.

— Dobrze, dobrze, gdzież ta rana?

— O tu, boli piekielnie i nie mogę ruszać ręką. Cała zdrętwiała.

— Jak zdrętwiała, to nie boli. Karolu, pomóż.

Chudy pasażer istotnie odniósł ranę. Świadczyła o tym wielka czerwona plama na rękawie powyżej łokcia. Zdjęli kurtkę, odwinęli rękaw koszuli. Rana mocno krwawiła.

— Trzeba przemyć wodą — zauważył Karol.

— Wodą? — zdziwił się Carty. — Nic się na tym nie znasz, zresztą nie mamy wody. Ej! — krzyknął w głąb pojazdu — kto ma kawałek czystego płótna?

Okazało się, że nikt nie ma, i pewnie doszłoby do podarcia koszuli pacjenta na bandaż, gdyby do sprawy nie wmieszała się kobieta.

— Poczekajcie, poczekajcie — zawoła z góry. — Już schodzę. Kto mi pomoże?

Karol pospieszył z usługą, a wówczas jedyna kobieta w tym męskim gronie wykazała niezwykłą energię. Co prawda płótna również nie posiadała, ale za to rozporządzała dwiema chustkami, jakimi kobiety okrywają głowy.

— Strasznie krwawi — stwierdziła. — znam pewne ziele... ale nic z tego, ani go wiozę, ani tu nie rośnie.

— Whisky — podszepnął Carty.

— Oczywiście. Kto z panów ma whisky?

— Dla lekarza czy dla pacjenta? — zagadnął gruby pasażer gramoląc się przez otwór drzwiczek.

— Dla pacjenta. No?...

— Chwileczkę...

Znowu zniknął we wnętrzu dyliżansu i znowu ukazał się z czarną butelką w dłoniach.

— Cały czas trzymałem pod ławką — wyjaśnił — żeby zbłąkana kula nie trafiła. Proszę.

Odkorkowała, powąchała i zajrzała do środka.

— Niewiele tego — stwierdziła. — Ale musi starczyć. Butelkę zwrócę.

— Tylko butelkę? — zmartwił się gruby.

— Można ją napełnić w Cheyenne. I tak piliście zbyt dużo. A teraz, uwaga. Trzymajcie go za rękę. Wyżej. Tak.

Powiedziawszy to chlusnęła na ranę żółtym płynem.

— Oj! — wrzasnął pacjent. — Piecze!

— Tak być powinno.

Krew pomieszana z whisky spłynęła różową plamą na ziemię.

— Teraz sprawdzimy.

Wręczyła butelkę Barry'emu. Oburącz chwyciła za rękę.

—Co pani robi?! — krzyknął i usiłował się urwać, ale bezskutecznie. Mocne dłonie trzymały przedramię jak w kleszczach.

—Cicho! — zgromiła go. — To dla pańskiego dobra.

—Boli! — wrzasnął znowu.

—Spokój. No już — powiedziała odejmując ręce. — To tylko draśnięcie, kula przeszła równiutko, omijając kość, pewnie gdzieś leży w dyliżansie.

Znowu chlusnęła whisky i wprawnie obwinęła chustką ramię.

—Na postoju w Laramie sprawdzimy, jak działa moje lekarstwo. A to proszę zastosować do wewnątrz.

—Co? — zapytał pacjent.

—To, co w butelce. Niewiele już zostało.

Przyłożył szyjkę do ust, głowę odchylił na kilka sekund.

—Rzeczywiście — stwierdził — niewiele. Jednak czuję, że mi ulżyło. Tylko ta rana pali jak ogień.

—Przejdzie — pocieszyła go i wręczyła próżne naczynie grubasowi. — Nikt więcej nie oberwał?

Po chwili ciszy zgodny chór oświadczył, że wszyscy są cali i zdrowi.

—I pełni strachu! — zawołała. — Prędzej, wychodzić z wozu! Czemu tkwicie jak szczury w norze? Tamten już dawno uciekł, a ci, co pozostali... oj, nie zdaje mi się, żeby który z nich mógł jeszcze zapolować, chyba w wiecznych ostępach. Chodźcie — zwróciła się do Karola i Carty'ego. — Twój koń także ma dosyć — powiedziała do pierwszego.

Ruszyli ku zaprzęgowi, gdzie woźnica z pomocnikiem rozplątywali uprząż i ściągali ją z padłego zwierzęcia, podczas gdy pozostała piątka tuliła uszy, parskała i cofając się napierała niebezpiecznie na przód dyliżansu.

—Spokój, spokój — powtarzał woźnica. — Daisy, Emmie... nie pchać się, zaraz zrobimy porządek. To Katy — powiedział smutno do mijającej go kobiety. — Pięć lat chodziła w zaprzęgu i na to jej przyszło...

—Trzeba połapać konie tamtych. Przyda się jeden na wymianę.

—Jeśli potrafi ciągnąć. Taki, jak Katy, na pewno nie będzie.

—Et tam, przyzwyczai się. No, trzeba obejrzeć tych nieszczęśników.

Przykre to były oględziny. Zwłaszcza dla Karola. Nigdy jeszcze nie znalazł się w podobnej sytuacji. Zdziwiła go zimna krew pasażerki i niemile zabrzmiała fachowa ocena Carty'ego:

—Nic im już nie trzeba, ale... co to? Widzicie...

—Prawda! — krzyknęła kobieta. — Obaj dostali w plecy! Więc to nie kule z dyliżansu. Ktoś strzelił z zupełnie innego kierunku.

Zaniemówiła na chwilę ze zdziwienia. Carty ukląkł przy zwłokach, obejrzał je jeszcze raz.

—Zadziwiające — stwierdził krótko.

—Zadziwiające — potwierdziła. — Ale gdzież się podział ten nasz tajemniczy sprzymierzeniec?

Cała trójka rozejrzała się bezradnie dokoła. Ani konia, ani człowieka, który w najgorszym dla nich momencie wkroczył do walki.

Pasażerka pokręciła głową:

—Nie podoba mi się to. Nie wierzę w opiekuńcze duchy ani w dobroczyńców, którzy nie chcą się ujawnić. Myślę, że tu działa jakaś konkurencyjna banda. Pomogli nam tylko po to,

żeby nas z kolei obrabować. Musimy się pospieszyć. Hej, ludzie! — zawołała w stronę karocy. — Wychodzić!

— Szybko, szybko! — zawtórował jej Carty.

— Dlaczego mamy wychodzić? Lepiej ruszajmy, — zaproponował czyjś głos.

— Z martwym koniem zaplątanym w uprząż? Jeśli nie chcecie tkwić tu do zmroku, musicie pomóc woźnicy.

Groźba poskutkowała. Wyszli, jak potrafili najszybciej. Trzech rzuciło się w stronę zaprzęgu, inni pobiegli ku leżącym w kurzu ciałom.

— Nie ma co się gapić — powiedziała ostro pasażerka. — Bierzcie się do kopania dołu i idźcie połapać konie. Nie, nie wszyscy! — zaprotestowała ujrzawszy, że cała gromadka ruszyła truchtem ku widocznym stąd sylwetkom trzech zwierząt. Nie odbiegły daleko. — Weźcie kilofy i szpadle — zarządziła. — Są pod kozłem. Musimy przecież pochować tych nieszczęśników.

Usłuchali. Nie ozwał się ani jeden głos protestu. Karol nie miał tu nic do roboty. Wrócił do swego zabitego wierzchowca i począł ściągać z niego uprząż. Przy tej czynności zastał go Carty.

— Szkoda konia — stwierdził. — Ale nie martw się, dostaniesz jednego ze zdobycznych. Słusznie ci się należy. I jeszcze ci coś powiem — tu zniżył głos — to te same draby, które napadły na Tessa.

— Skąd wiesz?

— Dobrze zapamiętałem ich twarze w saloonie Musgrave'a. Ten właśnie, który chciał zatrzymać nasz zaprzęg, ma rude włosy. Nie wierzysz, przypatrz się.

— Wierzę — mruknął Karol.

Ani mu w głowie było ponowne oglądanie zwłok, zresztą twarzy napastników nigdy przedtem nie widział.

— Jedziesz do Laramie czy jeszcze dalej? — zagadnął Carty'ego.

— Laramie? — Carty zaśmiał się półgłosem. — Nawet nie wysiądę z dyliżansu. Walę prosto do Cheyenne. Jedź ze mną, chociaż teraz na dobrą sprawę mógłbyś wrócić do Custer City. Nic ci już nie będzie grozić.

— A ty? Nie zechcesz popróbować szczęścia w Czarnych Górach?

— O nie! Ludzie są niesprawiedliwi, jeszcze by mnie kto posądził o kradzież koni!

— Właśnie, gdzież twój koń?

— Zostawiłem w Custer.

— Na pewno?

— Oczywiście, gdzież bym jeździł na takim podejrzanym nabytku, którego właściciela, na dobitkę wszystkiego, nie znam!

— A wierzę. To znaczy, że w Custer nikt nie szukał skradzionych koni.

— Pożyczonych, pożyczonych — pospiesznie sprostował Carty. — Wyobraź sobie, że nikt nie szukał.

— Dziwne. A co się stało z tym, na którym ja jechałem?

— Przepadł, zginął jak kamień w wodzie.

Karol żywił poważne wątpliwości co do prawdziwości tych słów, ale również nie mógł temu zaprzeczyć bez zbadania sprawy.

— No więc jak? — zagadnął znowu Carty. — jedziesz do Cheyenne?

— Nie, jeszcze nie teraz. Może nawet odwiedzę Custer?

— Szkoda, dobrana byłaby z nas para.

— Na pewno — stwierdził Karol, ale tonem, który wyrażał wręcz coś przeciwnego. „Chyba bym na głowę upadł — dodał w myślach — gdybym się chciał sprzymierzyć z koniokradem!"

Energiczna pasażerka przywołała obu. Konie napastników zostały schwytane, a jeden z nich nawet już włączony do zaprzęgu.

— Wybierz sobie — powiedziała do Karola.

Obejrzał oba okiem fachowca. Zbadał pęciny, kłęby, zajrzał do pysków, aby stwierdzić wiek zwierząt, na koniec zdecydował się na karosza z białą plamką na czole.

— Uprząż zostawiam — powiedział. — Kto ją weźmie?

Ale ku jego zdziwieniu nikt nawet się nie poruszył.

— Siodło może być znaczne — wyjaśnił jeden z pasażerów. — Jeśli jest skradzione, rozpozna je poszkodowany. Jeśli nie jest kradzione, może je poznać któryś ze znajomych bandyty, a z tego tylko kłopot. Dziękuję za taki dar. Lepiej rzucić gdzieś między skały.

Nikt nie zaprotestował z wyjątkiem Carty'ego. Szczerze się zdumiał.

— Oglądaliście uprząż? Jest zupełnie nowa. I to porzucać? Widać macie za dużo pieniędzy! — dodał złośliwie.

— Czy dużo, czy nie dużo, nie twoja sprawa — odciął się gruby pasażer. — Jakeś taki chciwy, zabieraj. Ale zapamiętaj sobie: jeśli ktokolwiek zahaczy nas o to siodło, skieruję go do ciebie.

— Patrzcie go! Jaki dzielny! A gdzieżeś ty był, jak ja tam na górze waliłem do bandziorów? Spałeś pijany!

— Spałem?! — oburzył się gruby. — Słyszeliście? Wszyscy widzieli, że siedziałem przy oknie ze strzelbą w ręku.

— Możeś i siedział, ale z wnętrza budy nie padła ani jedna kula.

— Bo było zbyt daleko. Po co marnować proch?

— Pewnie, pewnie. Najlepiej wejść w mysią dziurę i czekać, aż niebezpieczeństwo minie.

— Ej tam! — przerwał nagle tę ostro prowadzoną rozmowę głos pasażerki. — Chodźcie pomóc! Na kłótnię będzie czas w drodze, chyba że chcecie pozostać wśród tej pustyni.

Spojrzeli po sobie wrogo i pewnie znowu doszłoby do sporu, gdyby Karol nie chwycił obu pod ramiona i prawie siłą nie zaciągnął przed oblicze kobiety.

— Oto oni — powiedział. — Energia ich rozsadza i tylko marzą o jakiejś pracy.

— Bierzcie łopaty — rozkazała. — Tam, od tych, co już kopią, ale niesporo im idzie. Teraz wy pokażcie, co potraficie.

Posłuchali. Derek Carty, zwykle taki wygadany i rezonujący, jeszcze przed chwilą samozwańczy przywódca grupki podróżnych, nie mówił ani słówka. Może dlatego, że nie chciał przedłużać kłótni, a może dlatego, że w sporze z grubym nikt nie stanął po jego stronie.

Łopaty były tylko dwie, więc Karol wrócił do zdobycznego wierzchowca i nie odstąpił go, póki nie założył mu na grzbiet siodła, juków i całej masy pasków przytrzymujących ten spory ładunek. Kiedy wreszcie uporał się z uprzężą, objechał dokoła dyliżans kilka razy. Koń stąpał lekko, łatwo dawał się kierować i — jak mniemał Karol — był zwierzęciem spokojnym. Czy wniosek taki był słuszny, dopiero przyszłość mogła okazać. Kiedy tak się zabawiał, tamci

zdołali wreszcie wykopać spory dół, złożyć w nim poległych, zasypać ziemią i kamienistym szutrem.

— Proszę wsiadać! — krzyknął woźnica. Wszyscy rzucili się ku drzwiczkom.

— A co z koniem? — zawołał Carty.

— Po co nam koń? — zakrzyknięto już z wnętrza wozu. — Zostaw go!

— Tak nie można — zaprotestował Karol. — Trzeba zdjąć uprząż, inaczej zwierzę zamęczy się na śmierć.

— To zajmij się nim sam. Woźnico, ruszajmy!

— Chwileczkę, panowie — poprosił Car ty — tylko dwie minutki.

Podbiegł do stojącego na uboczu wierzchowca, podprowadził go na tył dyliżansowej budy, przedłużył uzdę i przyczepił ją do wystającej antaby.

— I Już! — zawołał i chwyciwszy za klamkę drzwiczek odwrócił głowę: — Karolu, jedź z nami. Pokażę ci kawał świata!

Zawołany żachnął się lekko na taką propozycję. Pomachał tylko ręką. Drzwiczki trzasnęły, woźnica palnął z bata koła zaskrzypiały i poczęły się obracać. Ciężki pojazd nabierał rozpędu, aż wreszcie zakrył go obłok kurzu. Karol został sam.

Rozejrzał się bacznie dokoła. Spostrzegł nieruchomy zewłok konia ofiarowanego mu przez Heartów, kilkanaście kroków dalej — padłego konia napastnika i... nic więcej. Rozejrzał się po raz drugi. Siodła, które wywołało spór, nie znalazł. Więc jednak Carty musiał je zabrać. Zabawne. Kiedy zdążył tym się zająć, stary spryciarz? Lepiej, że sobie pojechał. Na pewno w Cheyenne sprzeda nie tylko siodło, ale i konia. Karol był pewien, że Carty takim lub innym sposobem stanie się posiadaczem zdobycznego wierzchowca. Pal go licho! Ale co teraz? Wracać do Custer?

— Nie spieszmy się — powiedział półgłosem. — Najpierw poszukajmy To–imniża. Jeśli to nie on strzelał, bodajbym się zamienił w głąb kapusty!

Zawrócił. Miejsce wydało mu się nieprzyjemne i nie chciał w nim przebywać ani minuty dłużej. Ruszył truchtem wzdłuż świeżych kolein drogi, co pewien czas przystając i uważnie obserwując okolicę. Turkot dyliżansu ucichł. Tylko łagodny szum wiatru wygrywał smutną melodię wśród piasków i skał.

„Jeśli teraz nie spotkam To–imniża, wrócę do Custer” — pomyślał. I wtedy w dali, na drodze dostrzegł jeźdźca nieruchomego jak posąg.

Przynaglił konia do galopu i zatrzymał go dopiero na krok od znajomej postaci.

— Jesteś... — powiedział krótko, bo zabrakło mu innych słów.

— Rzekłem memu bratu, że spotka mnie, gdy nadejdzie pora, i w miejscu, w którym grozić będzie niebezpieczeństwo. Byłem w tym miejscu, a teraz pora nadeszła.

— To ty strzelałeś! Od razu zgadłem. A przecież mówiłeś, że nie będziesz pomagać ludziom z dyliżansu. Czemu więc strzelałeś?

— Bo nad moim bratem pochylała się śmierć i nie było innego sposobu jej odegnać.

— Rozumiem... A co teraz? Słońce obiegło niebo. Jestem głodny. Czy To–imniża nie spotkał na swej drodze antylopy?

Oblicze Indianina pozostało nadal nieruchome, ale kąciki ust zadrgały na ułamek sekundy w uśmiechu.

—Jedź ze mną, a może znajdę radę na twój głód.

Skręcili z drogi i ruszyli tym samym co zawsze martwym krajobrazem, aż dotarli do lejkowatego zagłębienia gruntu, za którym Karol dostrzegł znajomy pas zieleni: krzewów i drzew.

— Tutaj spotkaliśmy się po raz pierwszy — zauważył ciesząc oczy barwą tak różną od brązowoszarego kolorytu Złych Ziem.

— Tu uratowałeś mi życie, gdy umierałem z pragnienia — odparł Indianin. — I tylko tu z całych Złych Ziem ściągają do wodopoju antylopy.

Karol z zainteresowaniem rozglądał się dokoła, jak gdyby od pamiętnego spotkania minęły lata. A przecież upłynęły tylko dni. Ale dni wypełnione zaskakującymi wydarzeniami. Karol zdumiał się wyliczając po kolei wypadki, które przeistoczyły go nagle z poszukiwacza złota w coś w rodzaju trapera i nie—trapera równocześnie (przecież nie został łowcą skórek!) tropiciela śladów, przyjaciela Indianina (nigdy by w to nie uwierzył jeszcze przed tygodniem!), obrońcy dyliżansu.

W tak krótkim czasie przeżył więcej przygód, niż zdołał naczytać się o nich przez całe lata w książkach wypożyczonych z biblioteki pana Bootha.

— Do licha! — mruknął zaskoczony, ale i nieco dumny z siebie. — Może to moja gwiazda—przewodniczka tak mnie prowadzi?

— Co mój brat powiedział?

— Ot, głupstwo niewarte uwagi. Gdzie zatrzymamy się na nocleg?

— Dalej.

Zarośla gęstniały, to znów rzedły pokazując świetliste wody. Pas trawy biegnący wzdłuż rzeki raz się rozszerzał, to znów kurczył, aż przybyli do miejsca, w którym nurt płynął łukiem, tworząc długi i wąski półwysep porośnięty trawą. Na środku tego półwyspu rosło samotnie wyniosłe iglaste drzewo.

Tu zatrzymali się ku zadowoleniu Karola, który dobrze już czuł w kościach całodzienną jazdę i z westchnieniem ulgi zgramolił się z siodła. Ale tego wieczoru nie otrzymał wymarzonej pieczeni z antylopy, musiał zadowolić się paskami suszonego mięsa z zapasów towarzysza.

— One przychodzą do wodopoju, zanim dzienna gwiazda zaświeci — wyjaśnił To–imniża. — Zbudzę mego brata.

Karol nie spierał się o swój udział w nocnym czuwaniu. Był tak zmęczony, że runął jak kłoda na pled, na siodło, spadł w nicość bez marzeń przedsennych. A później wydało mu się, że zaledwie zdążył zmrużyć oczy, gdy To–imniża począł go szarpać za ramię. Usiadł wzdychając głęboko.

Po niebie przetaczały się bure chmury, rozświetlone niewidocznym księżycem. Jakże ciężko było wstać! Ale się przemógł. Chwycił winchester, tęsknym okiem zerknął na różowy, ciemniejący żar ogniska i ruszył za Indianinem.

Opuścili półwysep i poszli trawiastym pasem, z jednej strony ograniczonym wodą, z drugiej linią zarośli. To nie było daleko, ale ten krótki spacer w chłodzie przedrannym wypłoszył z Karola całą senność. To–imniża przystanął, wyciągnął rękę za siebie i lekko pchnął swego towarzysza między gałęzie żywopłotu, po czym prawie bezszelestnie rozchylił splątany gąszcz i wsunął się do środka.

— Niech mój brat położy się i nic nie mówi.

Powiedziawszy to ukląkł tak cicho, jakby był senną marą, nie człowiekiem. Natomiast dla Karola bezszelestne poruszanie się stanowiło sztukę, której dotąd nie opanował. Bo i nie miał po temu okazji. Toteż teraz, wbrew wysiłkom, mościł się wśród łodyg i korzeni z chrzęstem, jaki by wywołał przedzierający się przez zarośla bizon. Trwałoby to jeszcze dłużej, gdyby To–imniża nie dotknął lekko jego ramienia. Karol pojął ten gest i znieruchomiał, wcale w nie najwygodniejszej pozycji. Gałązki, a może i kamyki uwierały w łokcie, na których się wspierał, w brzuch, w uda.

W szparze, jaką tworzyły rozchylone gałęzie, miał przed oczami ciemny pas trawy, a za nimi czarno migocący nurt wody. Monotonne milczenie działało usypiająco, ale oczekiwanie na to, co ma nastąpić, trzymało Karola w stanie nerwowego napięcia.

Tak upływały minuty po minutach, aż na koniec gdzieś — nie mógł się zorientować: blisko czy daleko — zaszeleściły wikliny, a później na skraj wody wybiegł cień niski i długi. Karol nerwowym ruchem przyciągnął ku sobie strzelbę, ale równocześnie oparła się na niej dłoń Indianina i przycisnęła ją ku ziemi.

Cień chłeptał wodę, musiał stać piekielnie blisko, bo dźwięk był wyraźny, kształtem nie przypominał antylopy, ale Karola ponosiła myśliwska chętka posłania celnego ładunku. I uczyniłby to, gdyby nie sprzeciw towarzysza! Więc czekał i zastanawiał się, co to za tajemnicze zwierzę tak długo zaspokaja pragnienie. Na antylopę było zbyt wielkie, na niedźwiedzia — zbyt małe, nie zauważył potężnej korony łopat na łbie — więc nie łoś.

Nagle nocny wędrowiec podniósł głowę znad wody i parsknął. Karolowi zimny dreszcz przebiegł po krzyżu. Poznał drapieżnika — pumę, zwaną również amerykańskim lwem lub kuguarem.

Nadal trwała cisza przerwana jeszcze jednym parsknięciem, a po nim miękkim skokiem i trzaskiem gałązek. Zwierzę znikło.

Jakżeż wlókł się czas, nad wodą nic się nie działo. Karol spróbował zmienić niewygodną pozycję. Ledwie tego dokonał, usłyszał cichy tupot, szelest i trzy — nie, cztery! — sylwetki ukazały się w polu widzenia. Było już znacznie jaśniej, nadciągał ranek i Karol nie miał żadnych wątpliwości. Trzy antylopy pochyliły głowy nad strumieniem, czwarta — na pewno przewodnik stada — stała z łbem czujnie uniesionym, starając się schwytać wiatr, którego na szczęście nie było. Karol przyłożył kolbę do ramienia.

— Strzelaj — szepnął To–imniża.

Pociągnął za cyngiel, gdy zwierzęta już podrywały się do skoku. Winchester ozwał się suchym trzaskiem, jaki wydaje złamana gałąź. Nawet echo dziwnie wsiąkło w ciszę, jak woda wsiąka w piasek.

— Trafiona! — zawołał Karol.

— Trafiona — potwierdził Indianin.

Wyszli z zarośli na brzeg tak samo pusty, przed kilku minutami. O przebywaniu zwierząt w tym miejscu świadczyły już tylko rozmazane ślady i nieruchome ciało antylopy.

Przenieśli je na półwysep i złożyli u stóp drzewa. Nadal panował półmrok, a od wody bił chłód oraz bardziej przenikliwy. Karol rzucił się do zbierania gałązek i szybko rozpalił ogień. Sądził, że natychmiast przystąpią do zdejmowania skóry, ale ku swemu zdziwieniu usłyszał:

— Niech mój brat czuwa.

Owinął się pledem, położył w drgającym kręgu blasku i ciepła. Karol siadł, oparłszy się plecami o pień wysokiego drzewa. Z boku miał otwarty widok na płynącą bezgłośnie rzeczkę, przed sobą — nasadę półwyspu. Nikt go nie mógł zaskoczyć.

W zasięgu prawej ręki umieścił broń, w zasięgu lewej — stos suchych gałęzi. Tak przygotowany siedział i czuwał. I wówczas wydarzyło się coś, czego nie potrafił potem wytłumaczyć, co początkowo wydało mu się sennym majaczeniem, chociaż wcale nie spał. Poczuł dziwne drżenie. Zupełnie jakby ktoś wolno, ale z niezwykłą siłą zaczął potrząsać pniem drzewa. Przeczekał kilka sekund. Drżenie nie ustępowało, ba, nawet wzmogło się. Usłyszał cichy trzask. Wstał i oparłszy ręce na pniu znowu poczuł dygotanie.

— Cóż jest, u licha? — zdumiał się. Wówczas stwierdził, że olbrzymi ciężar poczyna nań cisnąć. Zaparł się nogami w ziemię natężył wszystkie siły. Nie żeby powstrzymać upadek drzewa, lecz żeby ten upadek opóźnić. Pień bowiem przechylał się wyraźnie w kierunku, w którym leżał Indianin.

— To–imniża, wstawaj!

Milczenie.

— To–imniża!

Usłyszał lekki szelest.

— Niech mój brat się odsunie!

Uskoczył w bok, a wówczas pień począł się chylić gwałtownie i olbrzymie drzewo runęło z tępym trzaskiem w poprzek półwyspu. Jego rozrosła korona plusnęła w rzekę, wodne bryzgi uniosły się wysoko w górę.

— Uff! Mój brat po raz drugi uratował mi życie.

Istotnie, gruby pień spoczywał teraz dokładnie tam, gdzie przed chwilą leżał Indianin.

— Jak to się stało? — zapytał przerażony Karol.

Niejeden raz słyszał o drzewach walących się bez żadnej widocznej przyczyny, lecz takie wypadki zdarzały się tylko na Dalekiej Północy, podczas okresu zimowego i trzaskających mrozów. Ale tu?

— Woda widać podmyła korzenie — wyjaśnił To–imniża. — Mój brat jest bardzo silny, gdyby nie podtrzymał pnia, leżałbym teraz przygnieciony. Odtąd będę mego brata nazywać Tanka–czan, dopóki nie dokona innego wielkiego czynu i nie zyska innego imienia. Howgh.

— Co to znaczy? — zapytał Karol. — Nie znam języka Dakotów.

— W języku bladych twarzy znaczy: Wielkie Drzewo.

— Ach tak — Karol nieco się rozczarował. Sądził, że nadany mu przydomek jest bardziej mężny.

Jednak uznał to również za wyróżnienie, z którego dumnym byłby niejeden traper — Tanka–czan — powtórzył.

— Ktoś musi czuwać, żeby ktoś inny mógł spać bezpiecznie — brzmiała odpowiedź. — Niech Tanka–czan pamięta o tym, dopóki znajduje się na prerii, w puszczy lub na pustyni.

Niebieska skała

— Co mnie skłoniło do wędrówki w nieznane? — Karol odpowiedział pytaniem na moje pytanie. — Dlaczego nie pojechałem do Laramie lub nie zawróciłem do Custer City? Po prostu poniosła mnie chętka przygód. Pamiętaj, naczytałem się o przygodach w książkach

pożyczonych z biblioteki Bootha! Teraz chciałem sprawdzić te przygody w rzeczywistości. Powiadasz, że już ich doświadczyłem po wyjeździe z Custer? Prawda, ale trafiła się okazja poznania kraju dziewiczego, a równocześnie istniała pewność, że w każdej chwili na mą prośbę To–imniża odprowadzi mnie ku znajomym szlakom.

— Obiecał ci?

— Tak, właśnie tak sprawa się przedstawia.

— Przypadłeś mu do serca — stwierdziłem.

— Na to wyglądało. Chociaż... kto wie, może nim powodował jakiś cel?

— Jaki?

— No... powiedzmy, nieoczekiwane spotkanie z bladymi twarzami, co zawsze w tamtych czasach i tamtych stronach mogło być ryzykownie. Wówczas ja stanowiłbym dla czerwonoskórego coś w rodzaju tarczy ochronnej. To jest oczywiście tylko mój domysł i dlatego nie ma sensu dłużej się nad nim zastanawiać. Faktem jest, że ruszyłem z To–imniża ku dalekiemu pasmu gór Wielkiego Rogu.

Jechali początkowo przez kraj pustynny, po nury jak piekło, jak całe Złe Ziemie, rozciągające się na przestrzeni ponad dwu tysięcy kwadratowych mil. Jechali stale ku zachodowi w skwarze południowego słońca, przed promieniami którego najczęściej nie było gdzie się skryć. Nocowali wśród skał i głazów, gdzie temperatura wieczorem spadała tak raptownie, że trzeba było natychmiast rozpalać ognisko. Ale często nie rosło w pobliżu nic, co nadawałoby się na opał. Gdy więc trafiali na karłowate drzewka, gromadzili tyle gałęzi, ile tylko mogli zabrać z sobą w drogę. Niestety, nagie przestrzenie ciągnęły się milami i zebrany susz nie na długo starczał. Trzęśli się więc z zimna od zachodu do wschodu słońca i takie noclegi najmocniej utkwiły w pamięci Karola.

Jak nocami chłód, tak we dnie trapiło ich pragnienie. Chociaż To–imniża niczym jasnowidz, jakimś siódmym zmysłem (zapewne dzięki znajomości znaków przyrody) odkrywał pod warstwą piachu i gruzu wilgotne pokłady ziemi — nie zawsze można było dokopać się wody. Tu już na nią natrafili, w wykopanym dole zbierała się tak wolno, że na napojenie koni, ludzi oraz napełnienie skórzanych worów trzeba było czekać godzinami.

Podróż w takich warunkach stała się dla Karola szkołą wytrwałości i cierpliwości. Wytrwałość i cierpliwość zostały wynagrodzone w sposób, który nie każdego by zadowolił, ale który zadowolił byłego kowboja, przywykłego do zielonych gajów i szmaragdowych łąk. Oto w końcu, gdy przybyli nad szeroko rozlane wody strumienia, skończyły się szarobrunatne jary urwała się ziemia o barwie popiołu z pogorzeliska. Po drugiej stronie nurtu biegła w dal jasna smuga traw, a dalej widniały pojedyncze drzewa, kępy drzew i hen na horyzoncie ciemna ściana lasu.

Ale zanim Karol — z jakąż ulgą — spojrzał na ten inny krajobraz, dwa dni wcześniej oglądał jaskinię, której widok wzbudził w nim pamięć dziecinnych bajek o potworach, smokach, gigantycznych jaszczurach, i jeszcze bardziej znienawidził Złe Ziemie.

Stało się to wczesnym rankiem, gdy ognisko dogasało, a konie czekały już osiodłane.

— Jedziemy?

— Coś memu bratu pokażę. Tego nie oglądała nigdy żadna blada twarz. Weź zwierzę za uzdę, niedaleka droga.

Postąpił zgodnie z zaleceniem, nie zadając pytań, ponieważ od dawna stwierdził, że jego towarzysz często odpowiada jedynie słowami zagadki.

Nie uszli daleko, bo tylko do widocznej z ich nocnego obozowiska, potężnej jak wieża, przysadzistej skały.

— Tu — powiedział Indianin — niech mój brat uwiąże konia.

I przerzucił lasso przez szyję wierzchowca, koniec oplótł wokół palika wbitego w twardą glebę. Uczyniwszy to rozejrzał się. Spostrzegł wszędzie tę samą spopielała ziemię, w poprzek której wędrowali już tak długo, aż niekiedy sądził, że pobłądzili i kręcą się w kółko.

— Co mój brat chce mi pokazać?

— Chodź.

Obeszli skalny masyw aż do miejsca, w którym widniał otwór wielkości potężnej, wysokiej i szerokiej bramy.

— Chodź — powtórzył To–imniża. Ale natychmiast zatrzymał się: — Gdzie twoja broń?

Karol zawstydził się. Wrócił biegiem po winchester, a kiedy zjawił się z powrotem, usłyszał:

— Kto czyni się bezbronnym, otwiera drogę niebezpieczeństwu.

Ani mruknął na taką wymówkę. Któż zaprzeczyłby jej słuszności? Teraz To–imniża wkroczył w nieprzenikliwą czerń groty. Karol zawahał się.

— Przydałaby się pochodnia — zauważył.

— Nie potrzeba. Podaj mi rękę.

Spełnił żądanie i posuwał się omackiem, ostrożnie szurając butami po ziemi. To była krótka wędrówka. Po kilkudziesięciu krokach czerń zbladła. Ujrzał w głębi jaśniejszą plamę.

Grota okazała się tunelem, z którego wyszedł, mrugając powiekami, na światło poranka. Kiedy oswoił się z blaskiem, wytrzeszczył oczy bezgranicznym zdumieniu. To–imniża słusznie twierdził, że takiego widoku nie oglądał chyba żaden biały człowiek.

Skalny tunel wybiegał na dziwną polankę, nie polankę, niewielki krąg otoczony pionowymi ścianami, oświetlony z góry. Było to zdumiewające dzieło przyrody, która w samym środku, zdawałoby się, litej skały stworzyła coś w rodzaju areny cyrkowej. Na tym małym, płaskim kręgu rosło kilka krzewów wystrzelających wysoko ku słońcu. Oczywiście, że nie ten obraz zdumiewał, lecz widok stosów kości zalegających ziemię, zupełnie jakby stado bizonów wybrało się tutaj na swój ostatni spoczynek. Karol właśnie tak przypuszczał. Ale gdy podniósł nieco pożółkły i miejscami sczerniały fragment szkieletu, spostrzegł, że jest to jednolita kość o grubości sporego drzewa i długości sięgającej mu do ramienia. Nie, bizony o takich wymiarach kości nie istniały. To musiały być olbrzymy, wobec których największy bizon wyglądałby jak preriowy świstak.

— Co to za zwierzęta? — zwrócił się do Indianina.

Ale tamten zamiast odpowiedzi wskazał mu szczątek szkieletu podobny do długiej i wąskiej czaszki z dwiema szczękami, w których sterczały zęby, raczej zębce grubości pięści dorosłego mężczyzny.

— Ale potwór! — zdumiał się Karol. — Czy kto go kiedy widział?

— Nie, nikt ich nie widział. Ani mój ojciec, ani ojciec mojego ojca. Czarownik mego plemienia powiadał, że na Płonących Ziemiach żyły olbrzymy, zwierzęta wysokie jak skały i silne jak całe stado bizonów.

— Czymże się karmiły? — zagadnął z niedowierzaniem Karol.

— Czarownik powiadał, iż rosły tu puszcze nad brzegami jezior, a później woda uciekła do środka ziemi i wszystko wyginęło.

— Brrr... — wstrząsnął się Karol. — Okropny to kraj, w którym przebywały takie potwory. Człowiek byłby wobec nich bezbronny jak mucha wobec niedźwiedzia.

— Czarownik opowiadał — zauważył Indianin — że i ludzie byli wówczas potężni i wysocy jak drzewa.

— Ja jednak wolę żyć w dzisiejszych czasach. Takiemu cielsku żadna kula nie dałaby rady.

Opuścili grotę—polankę pełni zadumy nad dziwami ziemi. Nie wiedząc — rzecz jasna — o tym, że szkielety straszliwych gadów przeleżeć tu musiały miliony lat, a nie rozpadły się w pył i proch jedynie dzięki sprzyjającym warunkom klimatycznym Złych Ziem.

Milczeli podczas całej przebytej tego dnia drogi, a Karol — po latach — przyznał pół serio, pół żartem, że rozglądał się wówczas i zerkał dokoła, czy nie zauważy gdzieś za skalnym załomem drapieżnego potwora z paszczą umazaną we krwi, szykującego się do skoku. I jeszcze nocą przy ognisku, gdy czuwał nad snem towarzysza, natężał wzrok spoglądając w ciemność i nastawiał uszu, czy aby nie usłyszy sapania i ryku zwierzęcia wielkiego jak skała. Dopiero następnego dnia, gdy ujrzał po przeciwnej stronie przejrzystego nurtu trawy, krzaki i dalekie drzewa, zmora smoków przestała go dręczyć.

Ukazały się natomiast oznaki realnych niebezpieczeństw. Zielona kraina — w przeciwieństwie do pustyni Złych Ziem — obfitowała w zwierzynę. Nie tylko w niegroźne antylopy, łosie czy raczej spokojnie usposobione czarne niedźwiedzie. Również w drapieżniki, takie jak puma, ryś i schodzący z gór w doliny, napastnik nad napastnikami: grizzli. Śladów jego pazurów co prawda jeszcze nie dojrzeli, ale To–imniża przestrzegał swego towarzysza przed spotkaniem z tym groźnym przeciwnikiem. I tak zaczęła się nauka. Wśród traw, wśród krzaków, w cieniu drzew.

To–imniża przekazywał swą wiedzę byłemu kowbojowi, który dotąd orientował się tylko wśród tropów koni, krów i preriowych wilków. Teraz oglądał podłużne rysy wyryte w korze pazurami misia, ślady zadrapań na grubym konarze dębu, a na ziemi walające się kości i strzępy skóry albo rogi antylop.

— Niech mój brat dobrze się przypatrzy. Niejeden raz przyjeżdżałem pod to drzewo. Na tamtej gałęzi siadywał ryś. Oglądałem go, gdy dzienna gwiazda zatrzymywała się wysoko na niebie i gdy chowała się za góry Wielkiego Rogu.

— Polowałeś na rysia?

— Nie. Chciałem prześledzić jego losy. Martwy ryś nie był mi potrzebny.

— Cóż może być ciekawego w życiu rysia?

— Widać, że mój brat nie jest traperem. Życie zwierząt jest księgą mądrości dla tych, którzy umieją z niej czytać.

Karol uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył. Cóż się znał na tych sprawach?

— Widziałem rysia — mówił dalej To–imniża — jak czepiał się gałęzi i ukryty wśród liści czatował na antylopy, które gromadziły się wokół pnia. Skakał na nie, rozrywał szyje i chłeptał świeżą krew. Po mięso ściągały tu wilki. Ile padło tu zwierząt, sam widzisz.

— Więc przychodziły co dnia?

— Tak.

— I ryś ich nie odstraszył? Dlaczego?

— Być może zasmakowały w żołędziach leżących wokół dębu. Ale ryś prowadził odtąd gnuśny żywot. Ociężał od jedzenia, zrobił się tłusty jak bóbr i to go zgubiło. Dopadły go wilki, zanim zdołał wskoczyć na drzewo.

Wędrowali coraz dalej i dalej na zachód, poprzez prerie, przez puszcze nie tknięte człowieczą stopą, przez leśne polanki i przestrzenie nagich piasków. Nie spieszyli się. Pośpiech był bowiem nie do pogodzenia z nauką, jaką zaczął pobierać Karol. Teraz już nie ograniczała się do rozpoznawania tropów. Ćwiczył się w podchodzeniu zwierząt, w bezszelestnym czołganiu się, w zacieraniu śladów. Niejeden raz, zlany potem, podpełzał do stadka antylop już—już na odległość celnego strzału, gdy nagle jeden nieostrożny, zbyt szybki ruch płoszył zwierzynę.

Przekonywał się coraz bardziej, jak trudne jest życie trapera, jak odmienne niż to wszystko, o czym czytał w książkach.

Po którymś z męczących ćwiczeń leżał na zboczu zalesionego pagórka ciężko dysząc i spoglądając w odsłoniętą dal, gdzie różowiła się tarcza zachodzącego słońca. To–imniża przysiadł nie opodal, tak samo milczący i tak samo wpatrzony w obraz zapadającej w sen przyrody. Wdychali zapach łąk, o tej porze najbardziej silny.

Nagle Karol dostrzegł, jak To–imniża podniósł się wolno i pochylił. Było coś niepokojącego w tym ruchu.

— Niech mój brat leży spokojnie.

Karol chciał zapytać: „dlaczego?", ale nie zapytał, bo usłyszał charakterystyczny szelest, znajomy złowrogi dźwięk. Znieruchomiał, nie śmiąc nawet odwrócić głowy. Najgorsze było to, że nie orientował się, z której strony nadciąga niebezpieczeństwo. Wszystko trwało bardzo krótko, ale było przerażające.

— Już! — zawołał Indianin.

Karol podskoczył jak wypchnięty sprężyną. Zobaczył swego towarzysza trzymającego w zaciśniętej prawicy coś, co człowiekowi nieświadomemu sytuacji mogło wydać się długim i grubym sznurem piaskowej barwy. Tylko że ten sznur... drgał!

To–imniża zamachnął się i trzasnął nim o pień drzewa, po czym cisnął daleko od siebie. Karol odetchnął głęboko.

— Nie ukąsił cię? — zapytał. — Jakże można chwytać grzechotnika gołą ręką?

— Moja ręka jest szybka jak myśl, a nie starczyłoby czasu na wyjęcie broni.

Karol zbliżył się i spojrzał. Wśród rzadkiej trawy spoczywał z roztrzaskaną głową grzechotnik o grzbiecie żółtawym, cętkowanym szeregiem plamek barwy brunatnej, otoczonych ciemniejszą jeszcze obwódką. Dwie jasne linie znajdowały się z boków spłaszczonej głowy.

— Może przeniesiemy się dalej? — zaproponował.

— Mój brat sądzi, że znajdują się tu jeszcze inne grzechotniki? A skąd ta pewność, że nie będzie ich na nowym miejscu? Ale nadchodzi noc, one chowają się w nocy przed zimnem.

— Nie cierpię tych gadów! Zawsze do nich strzelam — wybuchnął Karol.

— Noszą śmierć w zębach — stwierdził To–imniża. — Czarownik mego plemienia potrafi leczyć z ich ukąszeń, ale ja nie znam tej sztuki — przyznał skromnie.

— Noszą śmierć — powtórzył Karol. — Mój ojciec tak zginął.

— Dawno?

— Byłem wówczas małym chłopcem, ale pamiętam dokładnie... Ojciec miał farmę, daleko stąd, w kraju ludnym i zdawałoby się bezpiecznym. Tamtego dnia kosił trawę na łące... Ech, nie chcę wspominać! Ale ty powinieneś zwać się pogromcą grzechotników. A może To–imniża właśnie to znaczy? Szkoda, że nie znam języka Dakotów.

—Nauczę cię. To–imniża znaczy: Niebieska Skała.

—Co miałeś wspólnego ze skałą?

—Jeśli mój brat jest ciekaw, opowiem. Najpierw jednak rozpalmy ognisko.

Nazbierali gałęzi, uwarzyli zupy z pemikanu, obejrzeli konie. Kiedy żar przygasł, a czarne niebo rozbłysło milionami gwiazd, To–imniża dotrzymał przyrzeczenia.

Była to opowieść o latach dawnych i ziemiach nie znanych Karolowi.

—Urodziłem się w wiosce, której tipi stały nad rzeczką płynącą z dalekich gór, gdzie na zboczach rosły drzewa tak gęsto, iż nigdy blask słońca nie dosięgał tam ziemi. Tipi zrobione były ze skór bizonów, ze skór, które nie przepuszczały wody i dawały ciepło w zimie. Polowaliśmy na bizony, one nas odziewały i karmiły. Polowaliśmy i strzegli stad, gdy nadchodziła pora Dużej Wiosny i pora Małego Kasztanu (Karol nie zapytał, bo łatwo odgadł, iż chodzi tu o późną wiosnę i wczesną jesień — terminy wędrówek bizonich z północy na południe i z południa na północ). Po naszych preriach biegały stada mustangów, które chwytaliśmy, gdy było potrzeba. Dziś przerzedziły się stada bizonów, a mustangów długo trzeba szukać.

Zamilkł i wpatrzył się w żar ogniska, jakby w nim dostrzegł obraz minionych lat.

—Rzeczka, nad którą się urodziłem, nosi nazwę Skamini, a las porastający dalekie góry nazywa się Tapaza—czan.

—Co to znaczy?

—W waszym języku: Biała Woda i Czarne Drzewo, bo strumień świecił białym dnem, a las był czarny. Pamiętam wszystko. Pamiętam taniec bizona, jaki odprawiali wojownicy przed wyruszeniem na łowy, i pamiętam dzień, w którym przybyły do nas pierwsze blade twarze. Wtedy nie znałem waszego języka, byłem małym chłopcem, ale ciekawym nieznanych wędrowców. Oglądałem ich dziwne stroje i broń, która grzmiała jak piorun. To byli dobrzy ludzie, więc przyjmowaliśmy ich chętnie, pozwalali polować i sami gromadziliśmy dla nich skóry, za które otrzymaliśmy pierwsze w mej wiosce strzelby, proch i kule...

—Gdzie leży twoja wioska?

—Nie ma jej. Nie ma ryb w rzece, uciekły bizony i mustangi, wytrzebiono wszelką zwierzynę, więc i my musieliśmy odejść. To było tam — wyciągnął rękę ku wschodowi — w Czarnych Górach. Wiesz przecież, co się stało, gdy nadciągnęli poszukiwacze złotego pyłu.

—Wiem.

—Ale to były już późniejsze czasy, o których nawet nie śniłem w poranku swej młodości. Pamiętam, jak zjawili się pierwsi handlarze futer i płacili nam wodą, która podnieca serce, a później odbiera rozum. Wiesz, o czym mówię.

—Woda ognista — mruknął Karol, bo znał tę nazwę z opowiadań.

—To trucizna, białych tylko powala, nas... zabija. Czy teraz jeszcze się dziwisz, że nie chciałem bronić dyliżansu?

—Nie, ale przecież obroniłeś.

—Bo dla ciebie, mój biały bracie, nie istniał inny ratunek. Będziesz o tym pamiętał?

—Nigdy nie zapomnę, jak i o tym, żeś mnie wyrwał zatrutym zębom grzechotnika.

—Pamiętaj. Nie tylko wówczas, gdy spoglądasz na mnie, ale gdy ujrzysz któregokolwiek z synów mego narodu.

Przemówił z taką powagą w głosie, aż to zaskoczyło Karola. Dotąd uważał To–imniża za jednego z przeciętnych wojowników, którego zakres zainteresowań ograniczał się do ochrony własnego jedynie życia i tylko do tego.

— Kimże ty jesteś?! — wykrzyknął.

— Jestem To–imniża i mam prawo do trzech orlich piór, ale dlaczego ich nie noszę i właśnie tak do ciebie przemawiam... teraz nie pytaj.

— Nie będę. Czy jednak wyjaśnisz, czemu tak dziwne przybrałeś imię?

— Tylko dla ciebie jest dziwne. Gdy byłem podrostkiem, wioskowy czarodziej uczył mnie praw i obowiązków wojownika, wtajemniczał w mowę roślin i zwierząt. Później musiałem przejść próbę, którą przechodzi każdy młodzieniec mego plemienia. Dano mi łuk i strzały, kazano opuścić wioskę nocą. Księżyc odkrył wówczas swą bladą twarz, było widno jak w dzień. A miałem powrócić nie wcześniej, nim znowu ją całą odkryje. Wędrowałem długo, polując na zwierzynę lub przymierając głodem. Nocami siadywałem samotnie przy ognisku myśląc o duchach przodków i prosząc je o pomoc, o radę, o czyn bohaterski. Wysłuchały mnie. Dotarłem w skaliste wąwozy i wtedy począłem nucić pieśń, pieśń Dakotów, starą jak góry.

Daj mi długie życie, ojcze ojców, Ziemio,
I wzmóż jeszcze siły, co w mym ciele drzemią!
Gdy ruszam na wojnę, spraw, by moje łupy
Wzrosły o konie wrogów, ich skalpy i trupy!
Ale w czas pokoju strzeż od nierozwagi,
Daj łagodność sercu i gniew oddal srogi.

Śpiewałem cicho, ponieważ jest to pieśń wojownika, a ja nim wówczas nie byłem. Mój słaby głos musiał jednak dotrzeć do uszu władcy szczytów i dolin. Mijałem, jakże nierozważny, wyniosłą skałę, tworzącą zakręt w małym kanionie, gdy ujrzałem, jak zsuwał się zboczem niczym potężna bryła rudo białego futra. To był grizzli. Co wówczas czułem? Nie potrafię odpowiedzieć. Nie odwróciłem się, nie uciekłem. Ucieczka byłaby hańbą. Napiąłem łuk, gdy zwierz dosięgnął dna rozpadliny. Wypuściłem pierwszą strzałę, gdy runął ku mnie. Strzała utkwiła w jego kudłach. Wypuściłem drugą, gdy wspiął się na tylne łapy. I ta była celna, ale cóż znaczą dwie strzały dla takiego potwora? Ryknął, a wówczas wyjąłem nóż zza pasa. Czułem zwierzęcy odór i czekałem, mocno wsparłszy stopy w ziemię. Wtedy ze szczytu skały, pod którą stałem, stoczył się potężny głaz i upadł na głowę niedźwiedzia. Grizzli runął i nie podniósł się więcej, a głaz rozprysł się w drobne kawałki. Wszystkie były niebieskiej barwy i przezroczyste jak tafla wodna. Nigdy przedtem nie oglądałem kamienia takiej barwy i takiej przejrzystości. Zdjąłem niedźwiedzią skórę, rozpaliłem ognisko, a kiedy drewno zmieniło się w popiół, natarłem tym popiołem odwrotną stronę futra, aby uchronić je od zepsucia. Kiedy skończyłem, minęła noc. Wówczas zwinąłem skórę i ukryłem ją pod wielkim głazem. Znajdowałem się daleko od swej wsi, a futro ważyło zbyt wiele. Ukryłem je sądząc, że wrócę tu konno, aby zabrać zdobycz, ale nigdy nie wróciłem. Pazury i kły zwierzęcia i kilka odłamków dziwnego kamienia skrzętnie zebrałem. Zanim stamtąd odszedłem, oddzieliłem głowę grizzli od tułowia. Wspiąłem się wysoko, wysoko i na kamiennej iglicy umieściłem ją tak, aby była ze wszystkich stron widoczna. Wyjąłem nóż zza

pasa, najcenniejszy przedmiot, jaki posiadałem, i ofiarowałem go niedźwiedziowi, a później oddałem mu pokłon i długo prosiłem, aby nie miał do mnie żalu za to, że musiałem go zabić. Tak czynią wszyscy wojownicy mego narodu, by duchy zwierząt nie mściły się na nich, lecz chroniły przed złą przygodą. Wróciłem do wsi po wielu, wielu dniach. Powiedziałem czarownikowi o swej przygodzie, pokazałem mu pazury, kły i odłamki przezroczystego kamienia. Z tych odłamków zostały sporządzone moje leki, gdy stałem się wojownikiem, z kłów i pazurów niedźwiedzia — naszyjnik. Otrzymałem imię To–imniża. Wielu później dokonałem czynów, ale nie zmieniłem nazwania, bo ono przypomina, że byłem najmłodszym wśród młodych, który zdobył sobie prawo noszenia kłów i pazurów grizzli. Howgh!

Nim nadeszła wiosna

Wiele, wiele tygodni później, gdy dopalały się gorące dni lata, a liście klonu poczęły żółknąć, Karol siedział na progu swojego domostwa w samym sercu Gór Wielkiego Rogu. Tym domostwem była skalna grota, jako tako przerobiona, jako tako przystosowana do człowieczych potrzeb odpoczynku i snu. A niedaleko niej znajdowała się inna szczelina przeznaczona na prymitywną stajnię dla konia. Do tych dwu grot doprowadził Karola wierny towarzysz wędrówki, To–imniża. To on właśnie pomagał rąbać przy pomocy nieporęcznego tomahawka co cieńsze pnie drzew, aby zbudować drzwi do obu pomieszczeń, aby z cienkich palików uczynić legowisko dla człowieka i żłób dla zwierzęcia. To on upolował dwa pierwsze czarne misie i prymitywnym sposobem wyprawił ich futra, przestrzegając przed zimą, która w tych stronach trwa długo, wymaga ciepłej odzieży i chronionego przed mrozami legowiska. To on wreszcie nauczył dawnego kowboja, jak należy suszyć mięso, aby nie psuło się przez długie tygodnie lata czy zimy.

Dzień się kończył, fioletowa mgiełka gęstniała wśród dolin i spływała na daleką prerię. Karol spoglądał raz ku nizinom, raz ku szczytom i przepowiadał sobie półgłosem słowa, których się nauczył od To–imniża.

— Czan — drzewo, he — góry, hewoskan — pustynia, kan — stary, makocze — kraj, mde — jezioro, czanopuma — zarośla, omdaje — równina, tinte — step, wakpa — rzeka...

Od wielu dni uczył się języka Dakotów i czynił postępy, z czego był bardzo dumny. Uznał, że nawet słaba znajomość ojczystej mowy swego towarzysza bardzo może się przydać. Bo gdyby tak To–imniża nie znał angielskiego albo władał nim w sposób niedostateczny? Czy w ogóle doszłoby do wspólnej wędrówki, a przede wszystkim do możliwości uprzedzenia pasażerów dyliżansu?

Podczas pierwszej lekcji zagadnął swego nauczyciela:

— Skąd znasz język białych?

— Z misji.

— Z misji? — zdziwił się Karol.

Cień uśmiechu przemknął przez kamienne oblicze.

— Wysłano mnie nad rzekę, którą wy nazywacie Minnesota, ale to słowo nic nie znaczy. W naszym języku jest to Mini—sota, „woda mlecznobiała". Tam znajdowała się misja, gdzie uczono mnie nowych prawd i języka bladych, twarzy. Nad Mini—sotą żyłem przez czas, który wy nazywacie rokiem. Potem wróciłem do swej wioski. O nowych prawdach

zapomniałem, bo nie są nam potrzebne, ale język zapamiętałem. Rozumiem waszą mowę znacznie lepiej, niż nią sam władam.

— Czy uczyli cię misjonarze?

— Tak.

— Powiedziałeś, że cię wysłano. Kto?

— Mój brat pyta o wiele rzeczy naraz.

— Czy to źle?

— Znowu pytasz, ale odpowiem. Czarodziej wioski i naczelnik wioski wybrali mnie z grona rówieśników. I tak to zostało przeprowadzone we wszystkich wsiach mego narodu, i młodym wojownikom nakazano iść na wschód do osiedli bladych twarzy.

— Mądrze uczyniliście — stwierdził Karol. — Czy wszyscy powrócili?

— Jedni wcześniej, drudzy później. A teraz, chociaż nie umiem tak mówić jak ty, gdy podczołgałem się do ogniska bladych twarzy, rozumiem, o czym rozmawiają.

Karol zapamiętał sobie to wszystko, jak również swe daremne wysiłki, aby się dowiedzieć, dlaczego To–imniża wałęsał się po Złych Ziemiach i gdzie znajdowała się teraz jego wieś. Czy tkwiła w tym jakaś tajemnica, czy rzecz sprowadzała się do niechęci To–imniża do udzielania informacji nie związanych z osobistym życiem wojownika?

To–imniża odjechał, nie mówiąc dokąd. Obiecał wrócić, zanim pierwszy śnieg pokryje góry, lasy i doliny.

Karol musiał przywyknąć do samotności. Aby nie gnuśnieć, wędrował po zboczach, badał ścieżki zwierząt, ćwiczył wzrok i słuch, których sprawność decydowała o powodzeniach lub niepowodzeniach traperskiego żywota. Ale mimo tych czynności pozostawało mu jeszcze sporo czasu na rozmyślania. Właśnie jak teraz, w ciszy nadciągającego wieczoru.

Obserwował, jak gaśnie w ciemniejącym blasku zachodu różowa preria, jak gnają po niej czarne punkciki, stado antylop, bo któż potrafiłby oddalać się tak szybko?

A tam? Cóż to takiego? W punkcie znajdującym się na granicy granatowego mroku, który zdołał zasłonić krańce równiny i fioletowej mgiełki unoszącej się bliżej nad prerią, ciągle jeszcze płonącą blaskami przednocnej zorzy, ujrzał, jak z nieprzeniknionej dali wysuwa się i pełznie ku górom kształt podobny do węża.

Zanim zapadła nieprzejrzysta ciemność, zdołał rozróżnić konie, a później ludzi posuwających się indiańskim sposobem. Czerwonoskórzy? Któż by inny odważył się zapuszczać w te dzikie strony? A jeśli to Indianie, to kto wie — może pobratymcy To–imniża?

Mimo takich domysłów Karolowi wcale nie zależało na spotkaniu z nieznajomymi. Chociażby dlatego, że wampumu jeszcze nie otrzymał. To–imniża dopiero obiecał go przywieźć, tłumacząc, że tutaj nie rozporządza ani odpowiednią skórą, ani odpowiednimi narzędziami, ani farbą, którą należy nasycić nacięcia.

Wieczorem nie rozpalił ogniska i dopóki widoczność na to pozwalała, śledził posuwanie się tajemniczej kawalkady. Gdy mrok okrył ziemię, Karol nadal tkwił w swym punkcie obserwacyjnym wdychając zapachy nocy i wsłuchując się w ciszę. Jak długo tak siedział nieruchomy? Może godzinę, może dwie. Zupełnie zatracił miarę czasu. Może nawet i zdrzemnął się, bo nie zauważył, kiedy na dole rozbłysła jasna plama, i to tak blisko, że zaniepokoił się.

— Ognisko — mruknął do siebie. — Musieli wędrować w ciemnościach. Więc się spieszą. Dokąd?

Postanowił sprawdzić. A tymczasem ogień przybrał na sile, krąg blasku się powiększał.

To chyba nie Indianie — opadła go wątpliwość. — Oni nie marnują tyle drzewa. A jeśli to nie Indianie? Jakaż grupa białych mogła zawędrować aż po skaliste progi Gór Wielkiego Rogu?

Zabarykadował wejście do stajenki, przewiesił winchester przez ramię i począł schodzić pochyłą steczką wzdłuż kamiennej ściany, a później drogą wyznaczoną przez piargi, łagodnie spływającą ku nizinie.

Było ciemno, bardzo ciemno, ale tyle już razy przebywał ten szlak, że mógłby iść z zamkniętymi oczami. Oczywiście, nie prowadząc za sobą konia, bo z koniem byłby o tej porze kłopot nie lada. Przede wszystkim jednak odgłos kopyt mógłby zaalarmować tamtych.

Cel nie wydawał się daleki i piesza wędrówka nie powinna trwać długo. Coraz wyraźniej widział drgającą plamę blasku.

Kiedy dotarł na równinę, noc pojaśniała. Gwiazdy rozbłysły na niebie. Karol maszerował przed siebie, ostrożnie i cicho, jak tylko było to możliwe w tych warunkach. Przyswoił sobie tę umiejętność od To–imniża. Chociaż nie osiągnął jeszcze doskonałości swego nauczyciela, to jednak w porównaniu z ludźmi miast stąpał cicho jak kot.

Płomień gorzał coraz wyraźniejszy, aż na koniec ukazały się pojedyncze języki purpury, nad nimi — różowa łuna, wreszcie — krąg blasku drgający wśród rzadkich traw. Wtedy zwolnił kroku, a gdy dostrzegł zamazane cienie postaci, przypadł ku ziemi. Po raz pierwszy miał zastosować sztukę podchodzenia ludzi. W stosunku do zwierząt czynił to już wielokrotnie pod bacznym okiem Indianina.

Najpierw posuwał się nisko schylony, później rozpłaszczył się i czołgał odpoczywając co pewien czas. Wreszcie na granicy błyszczącego kręgu światła legł i bacznie spoglądał przed siebie. Dostrzegł cztery sylwetki ludzkie znieruchomiałe nad ogniskiem. Rzut oka wystarczył: to nie byli Indianie. Nieco z boku, po prawej ręce Karola, spoczywało kilka tobołów o zamazanych przez ciemność konturach. Nagle któryś z siedzących dorzucił drewna do ognia, płomień strzelił wysoko i Karol musiał się cofnąć. Był to niepomyślny zbieg okoliczności. Przy ognisku rozmawiano przyciszonymi głosami, a z odległości, w jakiej się znalazł, Karol nie był w stanie zrozumieć ani słowa.

Leżał nieruchomo w mroku, rozmyślając, jak by tu podsunąć się bliżej. Z ulgą stwierdził, iż płomień poczyna przygasać. Niestety! Zanim malejący blask zezwolił mu na posunięcie się chociaż kilka kroków, rozmowa przy ognisku została zakończona. Trzech spośród siedzących otuliło się pledami i rozciągnęło na ziemi. Czwarty — siadł położywszy na podgiętych nogach strzelbę o długiej lufie. Nie było już nadziei, że uda się podsłuchać rozmowę.

Trochę zły na siebie z powodu bezcelowej, jak sądził, wędrówki, postanowił poszukać innego źródła informacji. Jeśli ludzie milczą, może coś niecoś zdradzą rzeczy...

Wycofał się od czerwono żarzącego się ogniska. Wymagało to znacznie większej ostrożności wobec ciszy i na pewno bacznej uwagi wartownika. Jednakże udało się. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, powstał i wolniutko obszedł obozowisko, po czym znowu padł na ziemię. W takiej pozycji rozpoczął nową wędrówkę. Wówczas usłyszał tępe uderzenia kopyt. Gdzieś bardzo blisko musiały stać konie. Gdyby podróżni należeli do któregoś z indiańskich plemion, Karol zrezygnowałby ze swego zamiaru. Przecież

wielokrotnie opowiadał mu To–imniża o specjalnej tresurze półdzikich mustangów, o czujności tych zwierząt, które w sposób zrozumiały dla ich panów potrafiły ostrzec o niebezpieczeństwie. Ale tu napotkał tylko białych, więc postanowił zaryzykować. Odczekał chwilę i kiedy tupot ucichł, podjął mozolną wędrówkę. Na koniec dotarł do przeszkody, jaka wyrosła mu na drodze. To był jeden z bagaży. Długi i wąski, spoczywał kilkanaście kroków od ogniska. Delikatnie dotknął dłonią tobołu, wyczuł pod palcami chropowatość grubego płótna i jakieś twarde kanty sterczące pod opakowaniem. Wyciągnął zza pasa nóż. Ostrym końcem wywiercił dziurę w materiale, przesunął przez nią rękę. Poczuł kształt gładki, twardy i zimny. Znieruchomiał z wrażenia — to była lufa strzelby. W tobołach wieziono broń, i to broń jeszcze nie używaną, bo kiedy cofnął dłoń, poczuł na palcach tłusty smar chroniący metal przed rdzą.

Za tym pierwszym pakunkiem spoczywał drugi, za nim — trzeci, a jeszcze dalej leżały następne. Ciemność nie pozwalała policzyć. Zerknął w niebo, gwiazdy poczynały blednąc, trzeba było natychmiast wracać; rozumiał, jakie grozi mu niebezpieczeństwo. Gdy już się nieco oddalił, powstał i najpierw wolno schylony począł się cofać, potem przyspieszył kroku, na koniec prawie biegiem dotarł do podnóża gór. Gdy wdrapywał się ku swemu schronisku, blady świt począł rozjaśniać niebo.

Obszedł gospodarstwo, zajrzał do konia i stwierdziwszy, że nie odwiedził go żaden nieproszony gość, owinął się kocem i runął na posłanie z niedźwiedzich skór.

Kiedy się przebudził, słońce stało już za horyzontem, a daleka preria była pusta. Poszukał wzrokiem miejsca, w którym nocą gorzał płomień, ale nie znalazł tam nikogo ani niczego. Tajemnicza karawana znikła.

Rozniecił małe ognisko, upiekł podpłomyk stwierdzając z żalem, że zapas mąki jest już niewielki. Do podpłomyka dołożył płat antylopiej polędwicy i popił gorącą wodą. Ostatnia garść kawy została zużyta w dniu rozstania z To–imniża. Ze smutkiem pomyślał, że gdy zabraknie i mąki, będzie musiał poprzestać przez długie miesiące na potrawie dość monotonnej — mięsie przyrządzanym zawsze w ten sam sposób. Ba, ale gdzież na tym pustkowiu znaleźć kawę i mąkę? Co prawda można było ruszyć po zakupy do Custer City lub do Laramie. Płacić mógł złotem, ale ani mu to w głowie powstało. Podróż była długa i niebezpieczna. Postanowił ją odbyć dopiero wiosną, gdy zbierze odpowiednią ilość futer, w czym To–imniża obiecał mu pomóc. A futra — to był najlepszy pieniądz w tych stronach. Złotej rezerwy nie chciał wymieniać, wolał zachować ją na porę, w której znajdzie się w bardziej cywilizowanych stronach. Któż zgadnie, co może się jeszcze przydarzyć?

Gdy skończył swój skromny posiłek, osiodłał konia i poprowadził go tam, gdzie skalna ściana rozstępowała się przepuszczając z głębi zielonej dolinki wartkie wody potoku. Napoił zwierzę, naczerpał wody do skórzanego wora, po czym sprowadził wierzchowca ku nizinie, wskoczył na siodło i ruszył szlakiem zbliżonym do tego, jakim wędrował w nocy. Ujechał niedaleko. W poprzek prerii ciągnęła się wydeptana ścieżka. Zawrócił i posuwał się dalej wzdłuż świeżych śladów. Trop ciągnął się prosto, tak wyraźny, iż można go było zauważyć z odległości kilku jardów: kopyta głęboko wbite w trawiaste poszycie — widać zwierzęta obciążono nie lada ciężarem. Ile szło tych zwierząt — tego Karol nie potrafił ze śladów odczytać. Sytuacja uległa pogorszeniu, gdy wydeptana ścieżka skręciła między pierwsze pagórki, a później między skały i dolinki. Wydawało się, iż tajemnicza karawana zmierza wprost ku najdzikszym ostępom Gór Wielkiego Rogu. Karol nie wiedział, co ma sądzić o tak

dziwnym kierunku jazdy. Jeszcze poprzedniej nocy przypuszczał, że jest to transport broni dla któregoś z fortów, ale tędy nie wiodła przecież droga do żadnego z nich.

Na kamienistym podłożu ślad się zacierał lub całkowicie zanikał, jednak bez trudu szybko go odnajdywał. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że skały, lasy i doliny ograniczały pole widzenia i Karol obawiał się, iż za jednym z kolejnych zakrętów znajdzie się nagle twarzą w twarz z ludźmi, których śledził. Jakoś nie darzył ich zaufaniem.

A tymczasem posuwał się śladem coraz świeższym. Pomny nauk To–imniża, co pewien czas przystawał i nasłuchiwał. Niekiedy nawet zeskakiwał z wierzchowca, aby wspiąć się na pobliskie wzniesienie i sięgnąć okiem dalej, niż na to pozwalały głazy, krzewy i wyniosłe świerki lasów, które spadały zboczami aż ku trawiastym halom. Jednakże albo te wyniosłości były zbyt niskie, albo ścigani wzmogli tempo jazdy, bo nie dojrzał ani koni, ani ludzi. Tak minęła połowa dnia. Dopiero na jakąś godzinę przed zmierzchem Karol dostał się w okolicę sprzyjającą jego zamiarom. Była to jedna z licznych dolin, tym jednak różniąca się od innych, że w połowie swej długości gładka i równa jej powierzchnia gwałtownie załamywała się tworząc długi i dość pochyły spadek. Karol zatrzymał wierzchowca w miejscu naturalnego progu, za którym trawiasty trakt gwałtownie się obniżał. Spojrzał i błyskawicznie zeskoczył z konia, a w ciągu kilku następnych sekund odprowadził go w pobliskie krzaki i położył się w trawie.

Widział ich bardzo wyraźnie, diabelnie blisko. Jeden jedyny nieostrożny krok byłby go zdradził. Oto miał przed sobą: czterech jeźdźców na czele długiego węża jucznych koni, postępujących jeden za drugim, powiązanych rzemieniami. Konie dźwigały niekształtne toboły, a jeźdźcy raz po raz odwracali się, żeby sprawdzić, czy transport odbywa się w porządku. Dokądże, u licha, wędrowali?

Na to pytanie mogła dać odpowiedź jedynie dalsza jazda ich tropem. Karol nie decydował się na takie ryzyko. Postanowił zaczekać, aż między nim a karawaną znajdzie się jakaś naturalna przeszkoda utrudniająca widoczność. Lecz nie dostrzegł dokoła ani krzaków, ani skałek, ani drzew, które skryłyby go przed wzrokiem obcych. Kiedy skończy się wreszcie ten otwarty szlak? Nic nie zwiastowało jego kresu. Karol nadal spoczywał w trawie sądząc, że przyjdzie mu wędrować dopiero nocą. Karawana ludzi i koni pełzła jak ślimak. W pewnej chwili wydało się nawet, że stanęła. Czyżby mieli zamiar już teraz rozbić obozowisko? Przecież widoczność była jeszcze zupełnie dobra! A jednak — tak, na pewno! — wąż koni tkwił w jednym i tym samym miejscu.

Tajemnica przerwy w podróży wyjaśniła się nagłe, i to w sposób zaskakujący. Oto z czarnej ściany zarośli ciągnącej się tam w dole, po prawej stronie, wyjechało na otwartą przestrzeń trzech nowych jeźdźców. Karol mimo woli gwizdnął cicho:

— Indianie!

Czyżby napad? Patrzał uważnie. Jeźdźcy spotkali się i nic nie wskazywało na jakieś wrogie ich zamiary. Po dłuższej chwili postoju cała grupa wraz ze sznurem jucznych koni ruszyła dalej. Karol odczekał jeszcze kilkanaście minut, aż sylwetki koni i ludzi zmalały do wielkości mrówek, potem wskoczył na siodło i ruszył w powrotną drogę.

Przez kilka następnych dni polował na górskie barany, zbierał leśne jagody i gromadził zapas drewna na zimę. Miał sporo czasu, by przemyśleć to dziwne spotkanie. Nie podobało mu się. Biali dostarczający palną broń czerwonoskórym nie stanowili rzadkości. Taką przecież drogą plemiona indiańskie zdobywały broń. Początkowo stare, długolufe samopały z

Kentucky, później coraz nowocześniejsze wyroby rusznikarskie. Ale teraz Karol przypadkowo trafił na co najmniej kilkadziesiąt sztuk wiezionych specjalnym transportem. Nieźle musiał handlarz na takiej dostawie zarobić, jeśli zdecydował się na daleką, niebezpieczną podróż. Pierwszy lepszy patrol wojskowy miał prawo skonfiskować wieziony towar, a ludzi postawić przed sąd.

Po dwu tygodniach zjawił się niespodziewanie To–imniża wraz z nieoczekiwanym podarunkiem: przywiózł spory woreczek mąki, puszkę kawy, siekierę i kilka kartonów z nabojami. Na pytające spojrzenie Karola powiedział krótko:

— Spotkałem wędrownego handlarza.

— Ależ... ależ ja nie mogę przyjąć takich skarbów.

— Dlaczego? Czyż nie jesteś moim bratem, któremu winienem pomagać?

— Przecież tej mąki, kawy i ładunków nie otrzymałeś za darmo!

— Czy mój brat uważa, że nie zasługuje na garść mąki?

Cóż miał na to odpowiedzieć! Odmową najwyżej obraziłby swego towarzysza. Skojarzył natomiast ten dar z tajemniczym transportem broni. Od kogóż innego mógł nabyć naboje To–imniża, jeśli nie od tamtych właśnie ludzi? Więc zapytał:

— Czy naród Dakotów wykopał topór wojenny?

— Czyż mój brat widzi na mej twarzy wojenne barwy?

— Nie. Ale powiedz mi: na tych ziemiach mieszkają jeszcze inne plemiona.

— Tak. Bardzo daleko stąd.

— To znaczy — zastanowił się Karol — nic... to nic nie znaczy.

— Mój brat przemawia bardzo dziwnym językiem.

— Hm... prawda, ale też dziwnego zdarzenia byłem świadkiem.

I opowiedział o swej przygodzie. To–imniża wysłuchał cierpliwie.

— Mój brat jest czujny jak bóbr — stwierdził — i mądry jak sowa. Słusznie postąpił nie pokazując się tamtym ludziom, chociaż ja ich znam. To nie są wrogowie Dakotów.

— Kupujecie od nich broń.

— Kupujemy. Mój brat dobrze wie, iż czerwoni mężowie potrafią wyrabiać tylko dzidy, łuki i strzały. Proszę, niech mój brat nie mówi nikomu o tym spotkaniu, gdyby...

— Gdyby ktokolwiek się tu zjawił? Nie ma chyba obawy, ale postąpię zgodnie z twoją prośbą.

Temat został wyczerpany, lecz Karol nie mógł już pozbyć się dręczącego go odtąd niepokoju: czyżby na ziemiach tych miała rozpętać się krwawa burza?

— Przywiozłem memu bratu coś, co ustrzeże go przed napaścią i otworzy serca wojowników Dakotów.

— Wampum! — ucieszył się Karol.

— Wampum — powtórzył Indianin i wręczył Karolowi pas z cienkiej, miękkiej skóry, obszyty po brzegach drobnymi muszelkami, w środku mieniący się czerwono—niebiesko—czarnymi nacięciami o kształtach zbliżonych do prostej linii geometrycznych figur. Skóra miała szerokość dwu, a długość ośmiu dłoni dorosłego mężczyzny.

— Pilnuj go bacznie, a ustrzeże cię od niebezpieczeństwa, dopóki przebywasz w kraju Dakotów. Ten wampum mogłem zrobić sam, jednak uprosiłem naszego czarownika, aby wyciął na nim swe imię.

— Czy możesz powiedzieć, co tu jest wycięte?

—Każdy Dakota zrozumie te znaki. One mówią: „Otwórz przed nim swe serce i podaj pomocną dłoń. Nie odmawiaj miejsca przy ognisku i broń przed wrogami. Jego słowa są moimi słowami, jego myśli moimi myślami, tak mówi Tatanka–Yotanka”.

—Tatanka–Yotanka? — powtórzył Karol. — Kto to?

—Widać, że mój brat nigdy nie był traperem ani tropicielem śladów. Tatanka–Yotanka oznacza w języku bladych twarzy: Siedzący Byk i imię to jest znane we wszystkich fortach.

—I mnie jest znane. Tak, tak, pamiętam doskonale!

Istotnie o Siedzącym Byku Karol słyszał z racji zawarcia między przedstawicielami rządu a wodzami Indian wieczystego układu pokojowego. Ten układ został podpisany w 1868 roku w forcie Laramie również i przez Siedzącego Byka, jednego z najbardziej pokojowo usposobionych wodzów Dakotów. Och, było o tym głośno jeszcze w czasach, w których Karol pracował na farmie Bootha. Teraz otrzymany wampum nabrał podwójnej wartości. Ale kimże był To–imniża, jeśli zdołał uzyskać dla początkującego trapera, nieledwie greenhorna, tak cenny dokument?

Tym razem To–imniża nigdzie się nie wybierał. Wędrowali więc razem, ramię przy ramieniu, w głąb wysokich gór, steczkami, które pięły się nad krawędziami urwisk opadających ku zielonym przepaściom. Szli za tropami wielkorogich, dzikich baranów, za śladami niedźwiedzi i pum.

Zapuszczali się do leśnych mateczników szukając lisów, skunksów i łosi żerujących na podmokłych polankach. Niekiedy powracali z takich wędrówek dopiero wieczorami, a wówczas Karol pełen niepokoju biegł do zielonej dolinki, aby stwierdzić z ulgą, że oba konie pasą się spokojnie i żaden drapieżnik nie zostawił swych śladów na progu skalistej bramy.

Co prawda To–imniża zapewniał, że za dnia wierzchowcom nic grozić nie może, chyba... chyba żeby w tych stronach pojawił się grizzli, chociaż i on, jak wszystkie drapieżniki, woli wychodzić na łowy przy świetle księżyca. Mimo że obecności szarego niedźwiedzia nigdzie nie zauważyli, Karol nie potrafił wyzbyć się niepokoju o konie. Zabierać ich jednak nie mogli, bo ograniczałyby wędrówkę do łatwiej dostępnych przejść, a zamykać w prowizorycznej stajence na cały dzień — nie sposób, jeśli zwierzęta miały zachować pełną sprawność fizyczną.

Któregoś dnia To–imniża poprowadził swego przyjaciela w innym niż zwykle kierunku. Nie ku wyżynom, lecz samymi dolinami, gdzie stopa szeleściła na warstwach opadłych liści, gdzie drzewa coraz częściej pokazy—wały czarną korę nagich gałęzi. Kłębiaste chmury, wiatr" zimny i porywisty, deszcz, który siąpił dokuczliwie niekiedy przez parę dni bez przerwy, za—powiadały nadejście jesieni.

Minęli las liściasty, minęli świerkowy bór, aż wkroczyli na skaliste, posypane piargiem ziemie, gdzie tylko wątłe krzaki, teraz o witkach czarnych i nagich, kołysały się bezszelestnie. Za obszarem piargów i luźno porozrzucanych głazów o dziwacznych kształtach znowu ciągnął się obszar starodrzewu o gęstym poszyciu. To–imniża wprowadził swego towarzysza prosto w gąszcz, a musiał się orientować świetnie, bo po półgodzinnym przedzieraniu się poprzez splątane gałęzie wydostali się na łączkę, gdzie Indianin skręcił w prawo. Brzegiem boru dotarli do strumienia, którego piaszczyste brzegi roiły się tu i tam od wydeptanych, poznaczonych odciskami dróżek. Karol, dumny ze swej traperskiej wiedzy, wymienił nazwy aż ośmiu wędrowców leśnych, jacy o świcie musieli tu zaspokajać pragnienie. Nie omylił się ani razu, bo To–imniża obejrzawszy ślady skinął potakująco głową.

— Czy będziemy tu polować? — zapytał Karol półgłosem.

— Nie, ale niech mój brat dobrze zapamięta to miejsce. W strumieniu są ryby, można je łowić, ile razy zechcesz, ale nigdy w tym miejscu nie używaj strzelby.

— Dlaczego?

— Żebyś nie zakłócił spokoju małego ludu.

Karol rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu „małego ludu", ale nie dostrzegł żadnego stworzenia ani po tej, ani po drugiej stronie wody, gdzie czarna ściana drzew zasłaniała widoczność. Kogóż miał na myśli To–imniża?

Ruszyli brzegiem strumienia aż do miejsca, w którym wody rozlały się szeroko, tworząc jezioro. Nie było wielkie, bo las otaczał je dokoła, w wodzie przeglądały się czubki drzew. To–imniża położył palec na ustach i zwolnił kroku, a Karol starał się go naśladować każdym ruchem, oczekując wyjaśnień. Rozglądał się i nic nie dostrzegał. Wody jeziorka wydawały się puste, ale gdy podeszli bliżej, Karol zauważył drobne fale rozchodzące się po powierzchni aż po kraniec przeciwległego brzegu. A później dostrzegł jakiś kształt poruszający się na samym środku wodnego zbiornika. Przyspieszył kroku ze wzrokiem ciągle utkwionym w zagadkowe zjawisko i... nastąpił na bardzo gruby, bardzo suchy konar. Pękł z trzaskiem, a wtedy — rzecz dziwna — pękająca gałąź spowodowała całą serię huków tak podobnych do głosu palnej broni, że Karol czym prędzej ściągnął z ramienia swój nieodstępny winchester.

— Co to?

— Mały lud — odparł wesoło Indianin. — Gdybyś stąpał ostrożniej... Ale zachowajmy ciszę, a znowu się ukaże.

— Bobry — szepnął z zachwytem jego towarzysz.

Zachwyt był szczery i uzasadniony. Bobry były marzeniem każdego trapera, oczywiście wcale nie żywe, lecz... ich futerka. Najłatwiejsza zdobycz — bo nie trzeba za nią wędrować i ścigać przez bezdroża, a równocześnie — jakże cenna. Na futra bobrowe zawsze można było. znaleźć nabywców.

Tak, to były bobry walące ogonami w wodę na sygnał niebezpieczeństwa, bobry, które Karol znał tylko z opowieści i z rysunków.

Przeszli jeszcze kilkanaście kroków. Tam, gdzie jeziorko kończyło się wysokim wałem zwalonych pni, mułu i gałązek, a w szczerbach tej zapory pieniła się i przelewała woda, płynąc dalej znów wąskim pasmem. W rzeczywistości jeziorko okazało się tylko spiętrzoną wodą strumienia.

Wzdłuż niskich brzegów tkwiły w ziemi niskie kikuty pni poprzecinanych ostrymi zębami, brunatniały kawałki kory i pożółkłego już drzewa. Jeden z leśnych olbrzymów leżał zwalony kilka kroków od brzegu. Widać mali drwale źle obliczyli odległość i drzewo zamiast do jeziorka runęło na ziemię. To–imniża siadł na nim i gestem ręki wskazał miejsce Karolowi.

— Niech mój brat nie porusza się — powiedział szeptem — i nie rozmawia, a ujrzy coś, czego dotąd nie oglądały oczy żadnej bladej twarzy.

Karol zamienił się w posąg. Wlepił wzrok w taflę wody, ale nic się na niej ani pod nią nie działo. Fale znikły, powierzchnia wygładziła się. Sterczały nad nią stożkowate budowle — domki bobrzego ludu, podobne do miniatur indiańskich tipi, tyle że wejście do nich znajdowało się pod powierzchnią wody.

Minęło kilka — dla Karola bardzo długich — chwil. Wówczas drobna fala plusnęła tuż przy tamie. To–imniża pochylił się, przyłożył do warg obie dłonie zwinięte w trąbkę i począł ni to mówić, ni to wołać przeciągłym, monotonnym głosem:

— Ska... skaa... skaa...

Woda wygładziła się, potem znowu zabulgotała i jakiś niewidoczny tego sprawca począł płynąć ku brzegowi. Trójkąt fal, jaki powstał na powierzchni, wskazywał kierunek ruchu. Karol aż wstrzymał oddech.

— Ska... skaa... skaa... — monotonnie zawodził Indianin.

Trójkątna fala dosięgła brzegu i Karol ujrzał małą, ciemnobrązową głowę, błyszczące oczy i długie wąsy. Głowa dźwignęła się ukazując krótką, grubą szyję. Zwierzątko znieruchomiało.

— Skaa... skaa... — zawodził To–imniża.

Bóbr wyszedł na trawę, przystanął, bacznie spoglądając na ludzi. Znowu postąpił kilka kroków, kołysząc się zabawnie, zawahał się, wspiął na tylne łapki i ruszył ku Indianinowi. Z tej odległości wyglądał jak odziany w futro krasnoludek z dziecięcych bajek. Przyczłapał do nóg To–imniża i — ku jeszcze większemu zdumieniu Karola — oparł się przednimi łapami o kolano Indianina. To–imniża przerwał zawodzenie i poinformował swego towarzysza:

— Możesz już mówić i poruszać się, ale nie przemawiaj zbyt głośno i nie czyń ruchów gwałtownych.

Karol odetchnął. Ścierpł cały podczas tej przymusowej pozycji.

— Co to znaczy „ska”? — zapytał.

— Biały. Tak go nazwałem z powodu jasnego pasa futra. Spójrz.

Położył delikatnym ruchem dłoń na głowie zwierzęcia w miejscu, w którym przez prawie czarne włosy ciągnęło się jasne, siwawe pasemko.

— On jest najstarszy z całej gromady, to wódz małego ludu. Znamy się od wielu wiosen.

— I zawsze do ciebie przychodzi?

— Zawsze, jeśli go zawołam. Inne wychodzą również, ale już nie zbliżają się do mnie. Czekaj cierpliwie, a ujrzysz.

Karol spojrzał na jeziorko o powierzchni zmąconej teraz wielokrotnymi falami. Tu i tam poczęły ukazywać się trójkątne głowy, a wkrótce czwórka nowych przybyszów wygramoliła się na brzeg.

— To–imniża — szepnął w osłupieniu Karol — z ciebie zaiste wielki czarownik.

Indianin potrząsnął przecząco głową.

— Nie potrzeba czarów. Na ten mały lud, nikt nigdy tu nie polował. Ja im nie zrobię krzywdy, a one o tym wiedzą. Widzisz?

Teraz Karol stał się świadkiem widowiska najdziwniejszego z dziwnych. Z jeziora poczęły wychodzić bobry różnej wielkości, o rozmaitych odcieniach futer. Część z nich skierowała się ku skrajowi lasu, nie zważając na obecność ludzi, ale mniejsza grupka ruszyła wprost ku Indianinowi. Pół drogi przebyła na czworakach, dalszą część — na tylnych nogach. Jednakże bobry nie zbliżały się bardziej niż na odległość kilku kroków. Stanęły gromadką, posapując i coś tam do siebie mówiąc. Karol rozróżniał pomruki, piski i o mało nie parsknął śmiechem.

— Ależ to istne czary — powiedział głośniej, zapominając o przestrodze. — A może ja śnię? Jeśli komu o tym opowiem, uzna mnie za kłamcę.

— Mój brat się myli. Słyszałem od starych wojowników o bobrach karmionych z ręki.

—One najwyraźniej rozmawiają o nas.

—To jest rodzina Ska — wyjaśnił poważnie Indianin.

—Czy mogę go pogłaskać?

—Nie teraz. Musi się przyzwyczaić do ciebie. Pamiętaj, że bobry mają bardzo ostre zęby. Ale chodźmy stąd, odrywamy je od pracy. Mały lud musi gromadzić żywność na zimę.

Powstał ostrożnie, żeby nie potrącić Ska. Karol ruszył za nim. Kiedy dotarli do ujścia strumienia, obejrzał się. Zobaczył bobry żwawo maszerujące ku pierwszym drzewom lasu.

—Czy będziesz pamiętał, że mały lud żyje ze mną w przyjaźni?

—Tego widowiska nie zapomnę do końca życia.

—To dobrze. Wiesz, dlaczego cię tu przyprowadziłem?

—No... żebym zobaczył bobry...

—Nie tylko dlatego. Obawiałem się, że któregoś dnia sam odkryjesz ten zakątek, a wówczas jakiż los czekałby mały lud?

—Co masz na myśli?

—Broń, która niesie śmierć. Ale teraz mogę być spokojny. Czy nie tak, Tanka–czan? Czy nie tak, mój biały bracie?

Spadł śnieg i stopniał w ciągu kilku godzin. Tylko na najwyższych szczytach przetrwał aż do wieczora. Ale w nocy rozszalała się zawierucha. Huraganowy wiatr napędził chmur, które zwaliły na ziemię cały swój ładunek. Kurniawa trwała jeszcze przez dzień i noc następną. Gdy wreszcie słońce zabłysło na czystym niebie, ukazało oczom Karola pofałdowaną przestrzeń bieli, która okryła lasy i doliny. Na szczęście mróz nie był wielki, a mieszkalna grota znajdowała się w miejscu zacisznym, otoczoną murem skał. Również w ukrytej dolince cicho było i bezwietrznie, chociaż w dole, nad płaszczyzną prerii Karol dostrzegł srebrzystą kurzawę — oznakę gwałtownego wiatru. Ba, gdybyż jeszcze chata—jaskinia miała piec!

Ale to było marzenie, z którym nie zdradził się przed swym towarzyszem. Wspomniał tylko na potężne piece w domu Bootha, na wieczory spędzane — mimo trzaskającego mrozu — w cieple czterech ścian widnego mieszkania i... cicho westchnął. „Chciałem, to mam” — powiedział sobie i przestał rozmyślać na ten temat. Przecież zagrzebawszy się w futra nie czuł chłodu, a w dzień trzaskające bierwiona dawały tyle ciepła, ile właśnie potrzebował dorosły człowiek. Zresztą nie było czasu na bezczynne siedzenie w jednym miejscu. To–imniża począł go wtajemniczać w zimowe łowy, a przede wszystkim w sposób poruszania się po grubym, śnieżnym kożuchu. W zwykłych butach Karol nie zaszedłby daleko, zapadając się po kolana, po pas, ba — po czubek głowy w kopnych warstwach białego puchu. To–imniża z kawałków giętkich gałęzi i roślinnych włókien, a częściowo ze ścięgien ubitej antylopy sporządził owalne krążki, które przytwierdzano do podeszew. Były to tak zwane śnieżne rakiety, znane mieszkańcom Dalekiej Północy. Dzięki większej powierzchni ciężar ciała rozkładał się tak, że idący nie zapadał się w zaspy. Należało jednak nauczyć się chodzić, należało szeroko rozstawiać nogi, aby nie zaczepić jedną rakietą o drugą i w efekcie nie runąć w śnieg. Karol wielokrotnie walił się na ziemię, ale ponieważ nie lękał się guzów, po paru już dniach towarzyszył To–imniża w dalekich wyprawach.

Polowali na rysie, na czarne niedźwiedzie, bo jeszcze nie zapadły w sen w swych gawrach, na wilki, ale przede wszystkim na lisy. Nie na te o rudej, pospolitej maści futra, lecz na okazy o prawie siwym włosie, zwane przez traperów i handlarzy „srebrnymi”. Cena takiej skórki

sięgała pięćdziesięciu dolarów. Szukali również odmian o futrze ciemnym, niekiedy aż granatowym. To były lisy błękitne. Tańsze od srebrnych, przecież wielokrotnie przewyższające handlową wartość rudych.

To–imniża nauczył Karola ściągania, a później preparowania skórek tak, by nie uległy zepsuciu podczas zimowych miesięcy, by włos z nich nie wypadał, nie sztywniały i nie kruszyły się. Pracowity to był czas i świetna szkoła traperska dla nowicjusza.

Odpoczywali wieczorami przy trzaskającym ognisku, przy którym wnieśli spadzisty daszek z drągów i jedliny, kierujący całe ciepło ognia w jedną stronę, a zabezpieczający plecy przed podmuchami mroźnego wiatru.

W takie godziny, w ciszy przerywanej niekiedy wyciem wilków, Karol nadal uczył się języka Dakotów, wysłuchiwał rad związanych z samotnym życiem w puszczy i na prerii.

— A ty — zagadnął któregoś wieczoru swego przyjaciela — zawsze tak spędzasz zimę, jak teraz? Nie wracasz do swej wsi? Tak, jak słyszałem o innych wojownikach twego plemienia?

To–imniża przysunął do ognia sporą kłodę, której koniec już zdążył się spalić, i pogrzebał patykiem wśród wiśniowych głowni.

— Czemu milczysz? Może to tajemnica?

— Nie dla mego brata — odparł powoli Indianin. — Wiem, że mnie nie zdradzisz. Posłuchaj: jestem tu w zimie, wśród lasów Wielkiego Rogu, ale gdy słońce przygrzeje, wędruję na Złe Ziemie, jak wy je nazywacie, i jeszcze dalej, tam gdzie stoją tipi bladych twarzy, tam gdzie Mila—hanska siedzą w swych fortach wzniesionych na naszą zgubę.

— Po co? — wyrwało się Karolowi.

— Wiesz przecie o wieczystym pokoju zawartym w Laramie między przedstawicielami Wielkiego Białego Ojca a wodzami Dakotów, Cheyennów i Arapahów.

— Wiem.

— Nie minęło kilka wiosen, a blade twarze wdarły się w głąb Czarnych Gór, które są odwieczną ziemią Dakotów. Czy możemy wierzyć tamtym bladym twarzom? Patrzymy, co robią, i jeśli spróbują iść dalej, tam gdzie dzienna gwiazda zapada w ziemię, wykopiemy topór wojenny, bo nasza cierpliwość dobiega kresu. Howgh!

— Więc jesteś zwiadowcą?

— Gdyby nie mój biały brat, przebywałbym tu w samotności, czekając, aż słońce stopi śniegi, a później znowu ruszył ku siedzibom białych. Taki otrzymałem rozkaz.

Karol pomyślał, że gdy wróci w zamieszkałe strony, zaskoczy słuchaczów opowiadając o swej traperskiej przygodzie, a przede wszystkim o swym niezwykłym towarzyszu doli i niedoli. Nie przypuszczał wówczas, że zdarzą się wypadki, które skłonią go raczej do wstrzemięźliwości w ujawnianiu swych wspomnień.

— Więc jesteś zwiadowcą — powtórzył. — Ale cóż może znaczyć jeden zwiadowca na tak wielkiej przestrzeni?

— Jest ich wielu.

— Nie spotkałem dotąd żadnego, poza tobą.

— Po cóż mieliby ci się pokazywać?

— Istotnie — zawstydził się Karol. — To byłoby bardzo niemądre z ich strony. I tak nakazali wam wodzowie?

— Tatanka–Yotanka...

— Ten, od którego dostałem wampum?

—Ten sam.

—Czemu takie dziwne nosi imię: Siedzący Byk?

—Posłuchaj: kiedy był jeszcze małym chłopcem, Odjibwayowie napadli na jego rodzinną wieś i zabili ojca, Skaczącego Bawołu. Wtedy chłopiec otrzymał od wioskowego czarownika imię Hakada, co w waszym języku oznacza: Ostatni Godny Pożałowania, był bowiem jedynym synem Skaczącego Bawołu. Czarodziej wioskowy o imieniu Wambli—luta (co w waszym języku oznacza: Czerwony Orzeł) postanowił, zająć się wychowaniem Hakada, był bowiem bliskim krewnym jego matki. Gdy nadszedł czas próby, Czerwony Orzeł wraz ze swym synem Ite–o–magazu (co w języku bladych twarzy tłumaczy się: Deszczowa Twarz) i z Hakada wsiedli na mustangi i pojechali ku Górom Skalistym. Posuwali się wzdłuż brzegów wielkiej rzeki, która zwie się Missouri, a gdy dotarli pewnego dnia do serca gór, poczynało już mrocznieć. Trafili do zielonej doliny, gdzie rosły trawy, kwiaty i rzadkie drzewa. Stąd Hakada miał iść na dalszą, już samotną wędrówkę, na którą wyrusza każdy młodzieniec naszego narodu, zanim zostanie wojownikiem. Miał spędzać czas na rozmyślaniach i doświadczać swej samodzielności. I mieć ucho czujne, a oczy orle, aby móc widzieć dobre duchy wskazujące mu drogę i unikać złych duchów ziemi wiodących do zguby. Howgh!

Tak więc w tej dolinie mieli się rozstać. Zanim jednak do tego doszło, we trzech rozpalili ognisko, a Ite—o—magazu upolował antylopę. Kiedy mięso piekło się nad płomieniem, zauważyli, że pasące się obok wierzchowce poczynają się niepokoić, że usiłują zerwać pęta i odbiec daleko. Rozejrzeli się dokoła w zapadającym zmroku, dostrzegli przyczynę niepokoju. Pod jednym z potężnych, samotnych drzew stał bizon, tak wielki, jakiego nigdy jeszcze nie oglądali. Zwierz patrzał w ich stronę i darł kopytami ziemię. A musisz wiedzieć, mój biały bracie, że bizony nie zaczepiane nigdy pierwsze nie atakują człowieka. Istnieją jednak wyjątki. Są to stare samotne byki, dawni przywódcy stad, pokonani przez młodszych rywali i wypędzeni. Takie byki stają się złośliwe, groźne i niebezpieczne dla każdego stworzenia. I taki to bizon ukazał się tamtego wieczoru trzem wędrowcom.

Ite—o—magazu pierwszy chwycił łuk i wypuścił strzałę. Utkwiła w ciele olbrzyma. Bizon ruszył do ataku. Ite—o—magazu odskoczył, ale zanim zdołał nałożyć na cięciwę drugą strzałę, byk rzucił się na niego. Wówczas Hakada porwał za włócznię i wbił ją głęboko pod łopatkę zwierzęcia. Bizon zatrzymał się. Stał chwilę z pochylonym łbem, później chrapnął, podkulił tylne nogi i siadł! Tak, mój bracie, bizon siadł, a nikt spośród żyjących i tych, którzy odeszli do wiecznych ostępów, nigdy nie oglądał siedzącego bizona. Oto dlaczego Hakada otrzymał imię Tatanka–Yotanka i nosi je po dziś dzień. Nie ma bowiem siadających bizonów, a ten, którego pokonał, musiał być duchem Skalistych Gór.

Powiem ci jeszcze, że według waszych obliczeń (a znam się na nich) Tatanka–Yotanka miał wówczas trzynaście lat. Pokaż mi bladą twarz, która w takim wieku mogłaby pochwalić się bizonia skórą! Kiedy miał lat siedemnaście, wybrano go czarownikiem na miejsce Czerwonego Orła, który odszedł do krainy wiecznych łowów. W sześć lat później został wodzem odłamu Dakotów, Hunkpapa. Dziś znają go wszyscy wojownicy od Czarnych Gór po Góry Wielkiego Rogu i dalej jeszcze. Jest gwiazdą na niebie Dakotów. Howgh!

Znowu w Laramie

Przez cały okres zimowy polowali wspólnie. To–imniża był cierpliwym nauczycielem, a Karol Gordon — pojętnym uczniem. Podczas kilku mroźnych białych miesięcy zdobył więcej doświadczenia niż niejeden traper. Tak, Karol już nie był dawnym kowbojem, ale tropicielem śladów, z którego wiedzy mógłby skorzystać przeciętny łowca skórek. A przecież ówczesne doświadczenia i wiedza Karola były tylko drobną cząstką tej mądrości, jaką osiągnął znacznie później, gdy zdobył imię Wielkiego Bobra, nadane mu przez kanadyjskie plemię Czarnych Stóp. Ale to zupełnie inna historia...

Gdy śniegi stopniały, a suche kotliny i skalne rynny wypełniły się pianami rwącej ku nizinom wody, Karol był już posiadaczem stosu futer złożonych w tylnej części domu— jaskini. Należało je obecnie przetransportować do miejsca, gdzie mogłyby być ocenione i sprzedane. Ba, ale dokąd?

Karol przemyśliwał o Custer City licząc na to, że futra kupi Patrick Musgrave, właściciel saloonu. Zresztą, nie mógł mieć żadnej pewności, ale przecież Karol nigdy jeszcze nie handlował skórami. Do Custer City ciągnęła go poza tym chętka odwiedzenia rodziny Heartów, stęsknił się za nimi bardzo.

Zwierzył się ze swego projektu To–imniża, lecz napotkał ostry sprzeciw. Indianin twierdził (a musiał o tym dobrze wiedzieć), że do Custer nie przyjeżdżali handlarze futer od chwili prawie całkowitego wytrzebienia zwierzyny w Czarnych Górach, a liczyć na karczmarza — to ryzyko daremnie przebytej drogi. Właśnie, ta droga. Z miejsca, w którym obecnie przebywali, dzieliła ich od Custer City i od Laramie prawie ta sama odległość, ale droga do Custer wiodła przez uciążliwe i niebezpieczne Bad Lands — Złe Ziemie i wymagała więcej czasu niż do Laramie. Jadąc z Gór Wielkiego Rogu do Laramie, można było ominąć Złe Ziemie, więc taką podróż doradzał To–imniża.

—W Laramie — stwierdził Karol — widziałem tylko fort i kilka farm hodowlanych. O kupca będzie tak samo trudno albo jeszcze trudniej niż w Custer.

Na to Indianin zauważył, że fort Laramie został założony jako placówka handlowa, prowadząca między innymi skup skór i dopiero znacznie później obsadziły go Mila—hanska. Jednakże co roku na wiosnę przybywali do Laramie handlarze futer, a bodaj że i na miejscu działał jakiś sklep zaopatrujący wędrowców we wszystkie potrzebne w dzikich stronach przybory traperskie oraz w żywność.

Wobec tego Karol ustąpił. Począł pakować skóry i wówczas wynikła nowa trudność: toboły okazały się tak wielkie, że nie było sposobu pomieszczenia ich na grzbiecie jednego konia, tym bardziej że na tym grzbiecie musiałby się zmieścić jeszcze i jeździec.

—Miałem zamiar odprowadzić mego brata do Laramie — oświadczył To–imniża — więc połowę skór zabiorę na swego mustanga.

—Wspaniale! — ucieszył się Karol. — Jak mam ci dziękować? Mógłbym zabłądzić w drodze, a poza tym nic a nic nie znam się na handlowaniu.

Ale w tym miejscu Indianin wykonał przeczący gest ręką.

—Nie będę przy sprzedaży futer.

—Dlaczego?

—Laramie to niedobre dla mnie miejsce, a i dla mego brata będzie lepiej, jeśli go Mila— hanska nie ujrzą w moim towarzystwie. Rozumiesz?

Karol zastanowił się chwilę, wspomniał zasłyszane jeszcze w Custer opowieści o wzajemnych starciach zbrojnych między poszukiwaczami złota a czerwonoskórymi i... skinął głową.

— Dokąd wobec tego chcesz mnie doprowadzić?

— Do miejsca ustronnego, które tylko ja znam i które tylko ty poznasz. Stamtąd już prosta droga do Laramie.

— Ale jakże dowiozę futra na jednym koniu?

— Zabierzesz mego mustanga jako jucznego.

— A ty zostaniesz bez konia?! — wykrzyknął Karol. — To bardzo niebezpieczna sprawa.

— Będę czekał na twój powrót w dobrym ukryciu.

— A gdyby mnie zatrzymano? Różne sprawy mogą się wydarzyć.

— Mój brat nie jest dzieckiem.

Zabrzmiało to trochę jak przygana, więc Karol nie odezwał się więcej na ten temat. Okazało się jednak, że nawet dwa konie (z jeźdźcami, oczywiście) nie podołają ciężarowi skór.

— Chyba... żebyśmy szli pieszo.

— To zły pomysł — zauważył To–imniża. — Piesza wędrówka w jedną tylko stronę potrwa dłużej niż dwukrotny przejazd stąd do Laramie.

— Więc co proponujesz?

— Połowę skór zawieziemy teraz, połowę za drugim razem.

I tak też postanowili uczynić. Przed wyjazdem zabarykadowali dom—jaskinię, zatarasowali wejście do stajenki, by żaden czworonóg nie mógł go sforsować.

Podróż ku Laramie odbyła się bez przeszkód, poza tymi, które wynikły z ukształtowania terenu, dzikich bezdroży i wiosennych strumieni przegradzających raz po raz trasę.

Na milę, a może na dwie przed osiągnięciem fortu rozstali się nad samym brzegiem rzeki. Tu miał czekać Indianin, a Karol wracając wzdłuż piaszczystych ławic i zielonych krzewów nad wodami Laramie (bo tak nazywała się właśnie) nie mógł ominąć przyjaciela.

— Co mam ci przywieźć? — zapytał. — A może wolisz pieniądze?

— Ufff... dlaczego mój brat tak do mnie mówi?

— Dlatego, że co najmniej połowa skór należy do zwierząt, które ty sam ustrzeliłeś. A więc i połowa zapłaty jest twoja. Chyba nie zaprzeczysz i dlatego nie możesz odmówić.

Karol powiedział to wszystko tonem bardzo poważnym, niemal surowym. Nie miał zamiaru przyjmować od swego towarzysza jeszcze jednego prezentu. Już dość ich otrzymał.

Poskutkowało.

— Niech się stanie, jak tego sobie życzy mój brat. Przywieziesz mi — tu przerwał i spojrzał bacznie Karolowi w oczy — tyle broni palnej, ile jej będziesz mógł kupić za moją część.

— Broni? — zdziwił się nieprzyjemnie Karol i na sekundę pożałował swej propozycji. Przypomniał sobie ni stąd, ni zowąd relację Mary Dugan o napadzie czerwonoskórych na spokojną karawanę, gdy jechali do Custer.

— Mój brat się dziwi? Czyż wojownikom nie są potrzebne strzelby?

Karol zreflektował się.

— Oczywiście — odparł — wszyscy myśliwi potrzebują palnej broni.

— Więc przywieziesz?

—Obiecuję ci. A teraz żegnaj i czekaj na mnie. Wrócę, zanim słońce dwa razy skryje się pod ziemię!

Ruszył skrajem rzeki, wiodąc na lince obładowanego skórami indiańskiego mustanga. W dwie godziny później, po raz drugi w swym życiu, ujrzał pociemniałą palisadę fortu Laramie. Ze wzruszeniem wspomniał Heartów. To przecież gdzieś tutaj obozowali, a tam — bawił się Jack, niedoszła ofiara podrażnionego grzechotnika.

Rok minął od tamtych dni, a Karolowi wydawało się, że upłynęły wieki. Nic tu się nie zmieniło: te same zielone krzaki, ta sama rzadka i sucha trawa i woda pluszcząca o niski brzeg. Nawet w miejscu, w którym — jak sądził — obozowali Heartowie, i teraz płonęło ognisko. Nieco dalej pasły się konie, stały wozy bliźniaczo podobne do siebie. Jacyś ludzie kręcili się tu i tam, prawdopodobnie nowa karawana przybyszów ze wschodu i południa zmierzała ku złotodajnym stokom Czarnych Gór.

Słońce zachodziło, więc Karol uznał, że pora jest nieodpowiednia na zasięgnięcie języka o kupcach futer, i postanowił rozbić swe obozowisko w pobliżu rzeki. Poprowadził zwierzęta ku wodzie, uwolnił je z bagażu, aby mogły zaspokoić pragnienie i wytarzać się do woli po długiej podróży, potem spętał im przednie nogi.

Przed rokiem samotny nocleg pod gołym niebem sprawiłby mu sporo kłopotu. Teraz była to dla niego drobnostka. Nazbierał suchych gałęzi, znalazł na brzegu kilka grubych szczap, prawdopodobnie przyniesionych tu przez powodziową falę. Wszystko zgromadził w jednym miejscu, a następnie przeniósł na wybrane obozowisko. Oczyścił z traw szeroki pas ziemi i po chwili żółtoczerwony płomień mrugał doń wesoło. Zasiadł przy ognisku, mając po lewej ręce toboły z futrami, po prawej — broń, a przed sobą garnczek pełen wody.

Siedział oparty o siodło i obserwował, jak wśród rozrzuconych wozów rozbłyskiwały niczym gwiazdy światła ogni. Siedział i dumał nad przeszłością i nad tym, jak ma jutro najlepiej przeprowadzić transakcją z handlarzem. Woda zabulgotała w garnku, rzucił w nią garść zmielonej kawy, dar To–imniża. Wtedy usłyszał bliski pobrzęk, jaki wydaje metalowe wiadro, gdy kołysze się na uchwycie. Spojrzał i dostrzegł wynurzającego się z mroku człowieka. Szedł beztrosko, wymachując naczyniem. Sylwetka idącego wydała mu się znajoma, ale było zbyt ciemno, by rozróżnić szczegóły. Mężczyzna zmierzał ku rzece. Kiedy mijał ognisko rzucił: „Dobry wieczór...”

Głos również wydał się nieobcy, tak znajomy, że Karol porwał się od ognia.

—Czemu tak samotnie? — zapytał tamten zwalniając kroku.

—Nie mam ani towarzyszki, ani towarzysza poza strzelbą i... — tu urwał, bo akurat płomień strzelił ku górze i blask oświetlił twarz rozmówcy. — Abel? — zapytał niepewnie. — Abel Heart? Chyba mnie oczy mylą!

—A ty kto?

—Nie poznajesz?

—Hurra! — wrzasnął nieznajomy. — Karol! Karol! Skąd się tu wziąłeś? Chodź ze mną!

Porwał go w ramiona, okręcił w kółko, aż zatoczyli się obaj i niewiele brakowało, runęliby w ognisko.

—Karol! Karol! Wracasz do Custer?

—Ani mi w głowie.

—To co tu robisz? Chłopie, byliśmy przekonani, że cię dawno nie ma w tych stronach Chodź, chodź do nas. Zabieraj ten cały majdan. O, dorobiłeś się drugiego konia? A to dopiero!

—Gdzie obozujecie?

—Przy tym najbliższym wozie. Tkwiliśmy tu prawie nos w nos i jeden o drugim nic nie wiedział. A to ci heca! No, zabierajmy się. Dopiero się ojciec ucieszy. I Jessie, i Jack.

Zagasili ogień, władowali rzeczy Karola na grzbiety obu koni, wyleli zagotowaną kawę (co było marnotrawstwem usprawiedliwionym jedynie szczęśliwym i niespodziewanym spotkaniem) i poszli. Abel miał rację. Obozowisko Heartów znajdowało się nie opodal.

Na triumfalny okrzyk Abla cała rodzina porwała się od ogniska, a potem działo się to, co zwykłe dzieje się podczas nieoczekiwanego spotkania bliskich sobie ludzi, których los na długo rozłączył. Zadawano sobie nawzajem niezliczoną ilość pytań, i to nie czekając na odpowiedź. Wreszcie stary Heart zrobił z tym wszystkim porządek i nakazał Karolowi opowiedzieć o swych losach. Słuchali nie przerywając: Samuel, pani Jessie, Abel i mały Jack. Kiedy opowieść dobiegła końca, Samuel zauważył:

—Pewnie ci nie bardzo służyła ta indiańska opieka. Wyglądasz, przepraszam, jak... żebrak. Ubranie całe w strzępach, twarz obrośnięta, trudno poznać dawnego Karola.

—A gdzież to miałem kupić nowe ubranie? A o goleniu, doprawdy, zapomniałem.

—No właśnie. Musisz iść do fryzjera. Twoja głowa przypomina stóg siana, nie fryzurę uczciwego człowieka! A poza tym musisz się jakoś oporządzić, mój chłopcze. Jutro zaprowadzę cię, gdzie trzeba. Jeśli krucho z pieniędzmi...

—Ależ ojcze — zawołał Abel — on tu przywiózł tyle futer, że jak je sprzeda, to i na rok mu starczy!

—No, no. Widzę, że stałeś się prawdziwym łowcą skórek. Jeśli ci to odpowiada, a zwierzyny nie brakuje, zrobiłeś bardzo dobry wybór.

—A wy? — doszedł do głosu Karol. — Co u was słychać i czemu to spotykamy się w Laramie?

—Wracamy — wyrwał się Abel. — Pozwól, ojcze — dodał szybko, widząc, że Samuel zamierzą mu przerwać. — Wracamy więc na Wschód i chyba wszyscy zadowoleni. Czy nie tak, ojcze?

—Na pewno. Tym bardziej że trafiła się okazja znakomita.

—Okazja? — zdziwił się Karol. — Jaka?

—Sprzedaliśmy dom — dorwał się znowu do głosu Abel. — I to wcale nieźle!

—Któż go kupił?

—Nie zgadłbyś. Patrick Musgrave.

—Otwiera drugi saloon!

—Nie, bo ten pierwszy się spalił. Co prawda niecałkowicie i sporo towarów ocalało, ale mieszkać w nim nie sposób.

—Zaprószono ogień?

—Raczej... podpalono. Na to wyglądało, ale kto tego dokonał... nie można było dociec. Ojciec radził karczmarzowi, żeby zwinął interes, ale to uparta sztuka. Z odbudową nie poszłoby łatwo. Pracowaliby tylko we dwóch, ze swym pomocnikiem, rzecz przeciągnęłaby się na kilka tygodni, a Musgrave żałował każdej soboty i każdej niedzieli.

—Zaproponowaliście mu kupno domu?

— To on zaproponował.

— I zrezygnowaliście z dalszego wydobywania złota? — zdziwił się Karol.

— Tam już nic nie ma albo tyle co nic. Zanim chwyciły pierwsze mrozy, wyczyściliśmy swoje co do okruszyny.

— Nie bądź taki pewien, synu — przerwał Samuel. — Jeszcze niejedna złota grudka spoczywa pod ziemią, ale kto wie, gdzie jej szukać?

— Clive Tess — podpowiedział Karol.

— Właśnie! — wykrzyknął Samuel. — Ten się znał na rzeczy. Nigdy nie zapomnę, ile mu zawdzięczamy.

Westchnął i umilkł. Milczeli i inni. Każdy pogonił myślą w tamte odległe dni. Pierwszy odezwał się Karol:

— Teraz rozumiem, wracacie w swoje strony i chyba nieźle zaopatrzeni.

Abel zaśmiał się cicho.

— To jasne — powiedział. — A poza tym... przebyć rok w takiej dziczy to aż nadto. Prawda, Jessie?

— Do Custer nie wróciłabym za wszystkie skarby świata! To nie miejsce dla dzieci, a i dla dorosłych... nie bardzo. No, Jack, dosyć się już nasłuchałeś. Chodź spać, późno. Nie żegnam cię, Karolu, do jutra.

Kiedy zniknęła w wozie, Samuel zauważył półgłosem:

— Jessie jest wściekła na Custer. W ostatnich dniach począł się do niej zalecać jakiś brodacz, typ spod ciemnej gwiazdy. Ciągle przychodził pod naszą chałupę i nie dawał Jessie spokoju. Ale jak nas dostrzegał, to wiał. Nic nam o tym nie wspominała lękając się awantury i tylko nalegała na przyspieszenie odjazdu. Dopiero w drodze...

— Żałuję, że go nie spotkałem — odezwał się z zawziętością w głosie Abel.

— Nie żałuj — zgromił go Samuel. — Jessie ma swój rozum i słusznie postąpiła rzecz całą przed tobą ukrywszy. Ani słowa! No, czas i na nas. Dobrze czuję tę piekielną drogę w kościach. A jutro, Karolu, spróbujemy przehandlować twoje futerka. Na mój jednak rozum nieco dalej otrzymałbyś za nie znacznie więcej. Czy nie powinieneś jechać z nami kawałek, chociażby do Cheyenne?

Karol przecząco potrząsnął głową.

— Nie chcesz z powodu tej... czerwonej skóry? — zagadnął nieco złośliwie Abel.

— Ta czerwona skóra, jak go nazywasz, bardzo mi pomogła. Ile mu zawdzięczam, to tylko wiem sam. A poza tym... mam jedno słowo, takie same dla białych, jak dla czerwonych. Obiecałem, że wrócę, to wrócę... Jakże mógłbym opuścić człowieka pozbawionego konia? Czy mam zostać koniokradem?

Karol przemówił ostro, aż sam się zdziwił i zaraz tego pożałował.

— Ależ nie, chłopcze — starał się go ułagodzić Samuel. — Nikt cię nie namawia do zabrania cudzego wierzchowca. Ale przecież ten twój Indianin może poczekać kilka dni dłużej.

— Kilka dni? — żachnął się Karol. — Do Cheyenne to szmat drogi! I tydzień nie starczy. Nie, nie! Nawet nie próbujcie mnie namawiać!

— Wszyscy zgłupieliśmy, jak tu stoimy we trójkę — odezwał się nagle Abel. — Przecież ten spór całkiem niepotrzebny.

— Co ty gadasz, synu? — skarcił go Samuel.

— Dobrze gadam. Jest prosty sposób na to, żeby Karol jechał do Cheyenne nie czyniąc nikomu krzywdy. Powiedz, Karolu, jak daleko stąd obozuje ten twój Indianin?

— Niecały dzień drogi — odparł, chociaż w rzeczywistości To–imniża znajdował się znacznie bliżej, ale oceniwszy niechętny stosunek Heartów do swego przyjaciela, na wszelki wypadek nie chciał zdradzić jego sąsiedztwa.

— No więc — uradował się Abel — odprowadzisz mu konia i zaraz do nas wrócisz. Skóry załadujemy na wóz i jazda do Cheyenne! Powiadam ci, Karolu, to będzie wspaniałe! — Klepnął go z radością po ramieniu.

— Niemożliwe do przyjęcia.

— Dlaczego?

— Bo połowa skór jest własnością Indianina i obiecałem mu, że je tu, w Laramie, sprzedam. Razem polowaliśmy i razem podzielimy się zarobkiem.

— No to sprzedaj tę połowę, a z resztą jedź z nami.

Karol nagle roześmiał się.

— Przepraszam — powiedział. — Byliście i jesteście bardzo dla mnie dobrzy...

— Eee... tam — przerwał Samuel — po prostu przypadłeś nam do serca i chcemy dla ciebie jak najlepiej.

— Rozumiem doskonale, ale tym razem wybaczcie mi, że waszych rad nie posłucham. Czy nie przyszło wam do głowy, że może ja nie chcę jeszcze wracać na południe ani na wschód? Że może pragnę pozostać w tych stronach?

— Na tej pustyni? — zdumiał się Abel.

— Och, nie tu! Nie macie pojęcia, jak piękne są Góry Wielkiego Rogu.

Pomarkotnieli.

— No, tymczasem kładźmy się spać — zarządził Samuel.

Rozłożyli derki wokół wygasającego ogniska i zasnęli w dość ponurych nastrojach. Karol był markotny, bo nawet nie przypuszczał, że swą odmową sprawi tym dobrym ludziom tyle przykrości. Ale przecież inaczej postąpić nie mógł. Ze względu na To–imniża, ze względu na obietnicę zakupu broni. Pół nocy rozmyślał, jak tego ma dokonać. W obecności Heartów nie chciał nabywać większej — jak sądził — ilości strzelb. Wywołałoby to na pewno jakieś komentarze, a może nazbyt nawet ostrą wymianę zdań. Broń należało kupić po wyjeździe Heartów. Sprzedawcy mógł Karol powiedzieć w razie czego, że nabywa transport broni dla całej grupy traperów.

Rankiem humory się poprawiły, co było zasługą pani Jessie. Dowiedziawszy się o wczorajszej rozmowie bardzo gorąco stanęła w obronie Karola.

— Potraficie myśleć tylko z sobie — zaatakowała obu Heartów. — Dlaczego Karol ma z nami wędrować aż do Cheyenne? Powiadacie, że po to, aby lepiej sprzedał futra? A ja myślę, że chodzi wam po prostu o jeszcze jedną strzelbę w pogotowiu! I zapominacie, że Karol będzie wracał samotnie, przez, sami wiecie, niezbyt bezpieczny kraj. Jakie macie prawo od niego tyle wymagać?

— Ależ Jessie... — przerwał jej Abel.

— Cicho bądź i ani słowa więcej na ten temat, bo się pogniewam. Chodźcie na śniadanie i rozchmurzcie ponure oblicza. A ty, Karolu, nie przejmuj się tym wszystkim.

Nikt już nie wspomniał o poprzednich projektach i natychmiast po posiłku trójka mężczyzn powędrowała szukać jakiegokolwiek wędrownego czy tutejszego handlarza.

Najpierw skierowali się pomiędzy wozy porozstawiane na nadrzecznej płaszczyźnie, ale nikt z podróżnych nie był kupcem. Wtedy poszli do fortu. Napotkany podoficer oświadczył im, że w tym roku żaden trader nie zawitał do Laramie. Być może przyczyną tego były niezbyt pomyślne wiadomości z pogranicza. „Czerwone skóry — jak się wyraził — nie chcą siedzieć na wyznaczonych im miejscach i trzeba będzie z nimi zrobić porządek."

Dłużej na ten temat nie chciał mówić, a może nic więcej nie wiedział, jednakże przed odejściem poradził, aby porozumieli się ze „starym Peabody". Na pytanie, kto to jest, odparł, że przed niecałym rokiem Peabody założył w Laramie faktorię. Ta faktoria miała się znajdować w sąsiedztwie fortu. Okazało się, iż w tym wypadku słowo „sąsiedztwo" było bardzo niedokładne. Poczęli krążyć w coraz większym promieniu wokół fortu, gdzie leżały nieliczne, luźno porozrzucane prymitywne budowle osadników i corrale dla bydła. Pytali każdego napotkanego przechodnia. Owszem, o Peabody wiedziano, ale wskazówki dotyczące wiodącej do jego składu drogi były tak chaotyczne, aż nabrali podejrzenia, iż żaden z nagabywanych ludzi nie korzystał dotąd z usług handlarza.

Do celu trafili zupełnie przypadkowo, wówczas gdy Karol zwrócił uwagę na większe skupisko zabudowań. Istotnie, tam właśnie, wśród ściśniętych na małej przestrzeni baraków i bud — co było najprawdopodobniej zapoczątkowaniem ośrodka handlowego przyszłego miasta Laramie — odkryli czarny napis na szerokiej desce: „J. W. Peabody — Store".

Nad deską widniała belkowana fasada, typowa dla wszystkich wczesnych budowli Dzikiego Zachodu, a pod nią wąskie drzwi wiodące do mrocznego wnętrza.

— Jednak trafiliśmy! — wykrzyknął Samuel. — Teraz pozwólcie, że ja będę się targował.

„Stary Peabody" okazał się człowiekiem, któremu daleko jeszcze było do starości, ale w tych stronach słowo „stary" najczęściej oznaczało wcale nie wiek, lecz zdobyte doświadczenie, i było przydomkiem wielce zaszczytnym.

Peabody — wysoki, szczupły z potarganą czupryną, badawczym spojrzeniem i miłym uśmiechem na twarzy — powitał ich na progu swego królestwa jak dawno nie widzianych znajomych. Co natychmiast bardzo mile ujęło przybyszów. Nie ulegało wątpliwości, Peabody umiał sobie zaskarbiać przychylność ludzką i na pewno źle na tym nie wychodził.

— Wejdźcie, panowie, znajdziecie u mnie wszystko, o czym tylko może zamarzyć człowiek w tych stronach. Jeśli chcecie obejrzeć moje skarby, służę uprzejmie...

— Owszem, wejdziemy — odezwał się Samuel. — Ale najpierw chcemy wiedzieć, czy pana interesują skóry?

— Skóry? Jakie?

— Różne, ale wszystkie w doskonałym stanie i prosto ze zwierzęcych grzbietów.

— To znaczy: futra? Oczywiście, że mnie interesują. Gdzie te futra?

— Za pół godziny przywieziemy.

— Doskonale. Czekam.

Wrócili szybko do obozowiska.

— Gdzieżeście chodzili? — wybiegła naprzeciw zaniepokojona pani Jessie. — Już myślałam, że was porwali jacy zbóje. Słyszeliście, co tu gadają?

— Nie mieliśmy czasu na głupstwa — stwierdził poważnie Samuel. — Sprzedajemy skóry Karola.

— Może to głupstwa, a może nie. Jak was tak długo nie było, przyszedł tu jeden taki, co się wybiera w Czarne Góry. Pytał, jak nam wypadła droga. I zdziwił się, że przebyliśmy ją tak

gładko. Powiedziałam mu, że szlak jest dobrze przetarty. A on na to, że na pograniczu szykuje się wojna. Ludzie zastanawiają się, czy ruszać dalej na zachód, czy też lepiej zawracać. On sam nie wie, jak ma postąpić, a ja mu nic nie potrafiłam poradzić, bo pierwszy raz słyszę o jakiejś tam wojnie. Co wy na to?

— Żołnierz z załogi fortu wspominał o czymś podobnym — odparł Samuel. — Czy to prawda, czy nieprawda, cóż nas to może obchodzić. W samą porę zwinęliśmy manatki.

— Słyszysz, Karolu? — wtrącił się Abel. — Jeśli to prawda, znajdziesz się jak kawałek żelaza między młotem a kowadłem. Pójdziesz z czerwonoskórymi czy przystaniesz na zwiadowcę do wojska?

Karol wzruszył ramionami.

— Ani jedno, ani drugie. Potrafię się wycofać w odpowiedniej chwili.

— Bardzo jesteś pewien siebie — zauważył Samuel. — Bacz, żeby cię ta pewność nie zawiodła. No, ale zabierajmy te skóry.

Z czterech tobołów uczynili dwa, obciążyli nimi konia Karola i na piechotę powędrowali do handlarza. Obejrzał krytycznym okiem ładunek, dotknął go ręką tu i tam.

— No, no, ale się to panu udało — zwrócił się wprost do Karola. — W jedną zimę?

— A w jedną.

— Ma pan wyjątkowe szczęście albo też i myśliwy z pana wyborowy. Trzeba to rozładować i sprawdzić.

— Jak pan odgadł, że to ja upolowałem, a nie moi towarzysze?

— Och, to takie proste. Wszyscy jesteście jednakowo opaleni, jak ludzie przebywający pod gołym niebem, ale tylko pan jeden nie strzygł się i nie golił od... bardzo wielu miesięcy. Zgadłem?

Karol roześmiał się za całą odpowiedź.

— Jeśli pan pragnie skorzystać z mojej brzytwy, ja i ostrzyc potrafię...

— Chętnie skorzystam, ale najpierw skóry.

— Słusznie.

Wnieśli toboły do wnętrza i złożyli na długim stole z nieheblowanych desek. Zaczęła się segregacja. Peabody wyciągał ze stosów jedno futerko po drugim, otrzepywał je, gładził dłonią, dmuchał we włosy i odkładał na bok. Skóry lisów „srebrnych" i „niebieskich" zgromadził oddzielnie, również oddzielnie futra niedźwiedzie i baranie, dalej porozkładał skórki rysi, skunksów i łosi. Pomagali mu, jak umieli, a upłynęły ze trzy godziny, zanim Peabody wziął do ręki ołówek i na kartce papieru począł wyceniać każdą sztukę. Cyfry były bardzo różnej wielkości, ale ich nie kwestionowali, słabo znając się na rzeczy. Karol uznał, że handlarz jest tak sympatyczny, że na pewno nie może być oszustem. Zresztą kiedy Peabody podsumował długą kolumnę cyfr, wynikła suma przekraczająca najśmielsze marzenia. Nigdy dotąd jako kowboj pana Bootha Karol nie rozporządzał jednorazowo nawet dziesiątą częścią tego, co teraz miał otrzymać.

— Zgoda? — zagadnął Peabody.

— Ależ — wyrwał się Samuel sądząc, że postępuje bardzo chytrze — należałoby jeszcze raz ocenić...

— Nie, nie! — zaprotestował Karol, setnie już znudzony całym tym obrzędem. — Zgadzam się i ubijamy interes.

Samuel wzruszył tylko ramionami i spojrzał na niego z wyrzutem.

— W porządku. Gotówka czy towar?

— Trochę tego, trochę tamtego — odparł Karol uszczęśliwiony, że dobrnęli do końca.

— Przede wszystkim ubranie — zarządził Samuel — również buty i kapelusz, bielizna... Chcemy, żeby nasz przyjaciel wyszedł stąd jako elegancki mężczyzna.

— Ach, oczywiście. Już ja się o to postaram. Chodźmy głębiej, panowie.

Ruszyli.

— Jeszcze rewolwery i pas — przypomniał sobie głośno Karol (zawsze marzył o błyszczących coltach i teraz mógł wreszcie urzeczywistnić swe marzenia bez większego uszczerbku dla kieszeni).

— Oczywiście, znajdzie pan u mnie wszystko, co potrzeba.

W tym stwierdzeniu nie było przesady. Magazyn istotnie zawierał mnóstwo przedmiotów niezbędnych w codziennym życiu: ubrania, żywność, broń, siodła, uprzęże, lassa, koce. Kto udawał się na zachód, mógł tu właśnie we wszystko się zaopatrzyć.

Poczęli wybierać, oglądać, radzić. Obaj Heartowie, za każdym razem, gdy kupiec wymieniał cenę, głośno zdumiewali się nad jej wysokością i zdumiewali się szczerze. Na futrach — nic a nic, ale na wartości ubrań, butów, mąki czy kawy znali się wcale nieźle. Z tego wynikała kłótnia „ząb za ząb" o wysokość zapłaty, o każdego dolara, o każdą półdolarówkę, o każde nieledwie dziesięć centów. Heartowie byli nieustępliwi i pod ich presją Peabody krok po kroku, a raczej: cent po cencie, ustępował. Karol nie wtrącał się do tych targów, bowiem bawiła go zażarta walka towarzyszy o jego pieniądze. Wreszcie wybrano strój na miarę Karola: piękną jelonkową kurtę, wełnianą kamizelę, koszulę w czarno—niebieskie kraty, spodnie obszyte na szwach skórzanymi wypustkami i na koniec buty, które poddane zostały drobiazgowym oględzinom Heartów, jakby co najmniej w pode— szwach kryły skarb. Peabody nie okazywał zniecierpliwienia. W końcu targu dobito, a skórzany pas i dwa niebieskawo polśniewające colty wybrał już Karol sam i ku nie ukrywanemu oburzeniu swych towarzyszy zapłacił bez słowa protestu żądaną cenę.

— A teraz — odezwał się Peabody — chętnie pana ostrzygę.

— Potrafi pan?

— Przez trzy lata prowadziłem zakład fryzjerski — obruszył się kupiec.

— Ale jednak zmienił pan zawód — wtrącił podejrzliwie Samuel. — Chcemy, żeby nasz przyjaciel po pańskim zabiegu wyglądał, jak się patrzy, a nie jeszcze gorzej!

— Zmieniłem zawód, bo przestał się opłacać. Ludzie zrobili się oszczędni, każdy wędruje z własną brzytwą, a kto wybiera się na zachód, ten uważa, że nie warto się strzyc. No, decyduje się pan? Wątpię, czy w całym Laramie znajdzie pan fryzjera.

Po takim stwierdzeniu Karol zasiadł na koślawym stołku. Znalazł się nawet czysty ręcznik, nożyce, brzytwa i pędzel z mydłem.

W pół godziny później opuszczał skład Peabody'ego tak odmieniony, jak gdyby zawitał tu wprost z najelegantszego magazynu któregoś z wielkich miast Wschodu.

— Wyglądasz wspaniale — stwierdził Abel — jak prawdziwy westman, o jakim piszą w książkach.

Karol uśmiechnął się:

— To źle piszą. Prawdziwy westman nie może być elegantem. Nie ma na prerii fryzjerów ani sklepów z ubraniami.

Gdy wrócili do obozu, pani Jessie bacznym okiem zlustrowała postać Karola. Lustracja wypadła zadowalająco.

— Ile to wszystko kosztowało?

Gdy wymienili sumę, krzyknęła z oburzenia.

— Co?! Daliście się oszukać. Trzech dorosłych mężczyzn wyprowadził w pole jeden sprytny handlarz! Jak wam nie wstyd?

— Ależ Jessie — zaprotestował Samuel — targowaliśmy się o każdą sztukę. Zapytaj Karola. Ale tu wszystko dziesięć razy więcej kosztuje niż w Cheyenne!

— Doprawdy nie ma o czym mówić — próbował załagodzić Karol. — Niczego nie żałuję i jestem bardzo zadowolony z zakupów.

— Tak uważasz? A ja myślę, że jak tu dłużej pobędziesz, z twego złota nie pozostanie nawet pyłek. Co za szczęście, że już stąd wyjeżdżamy, a i tobie radzę uciekać.

— Na pewno nie będę tu tkwił latami. Kiedy ruszacie?

— Jutro — oświadczyła energicznie pani Jessie.

— Ależ... — spróbował sprzeciwić się Abel.

— Powiedziałam: jutro, to jutro. Nie masz tu czego szukać. A ty, Karolu?

— Nie zostanę ani minuty dłużej.

Wybaczmy Karolowi to nieszkodliwe kłamstwo. Musiał przecież jeszcze zostać w Laramie, aby dopełnić obietnicy danej To–imniża. A kupować broni w obecności Heartów — jak już powiedzieliśmy — nie chciał.

Najbliższego ranka, gdy wóz Heartów ruszył na szlak wiodący w kierunku Cheyenne, gdy Abel powiewał kapeluszem, pani Jessie chusteczką, a mały Jack po prostu machał ręką, Karol siedział już na koniu z mustangiem To–imniża przywiązanym do siodła na długiej lince. Malutka karawana zniknęła w tumanach rudo—szarego pyłu, lecz Karol stał jeszcze w miejscu. Wreszcie, odczekawszy kilka minut, odjechał, ale nie w stronę koryta rzeki, lecz ku barakowi pana Peabody.

Zeskoczył z siodła tuż przed drzwiami, w których tkwił setnie nudzący się handlarz. Rozpromienił się na widok przybysza.

— Czy znowu skóry? — zapytał z uśmiechem.

— Będą i skóry. W ciągu najbliższego tygodnia, ale teraz chcę jeszcze coś niecoś kupić.

— Proszę bardzo. Czy pan jest pośrednikiem? No, bo taka masa futer...

— Ach, o to chodzi? Nie, nie jestem pośrednikiem, ale też nie poluję sam.

— Rozumiem. Czym mogę służyć?

— Potrzebuję kilku strzelb, dobrych strzelb.

— Niech pan przywiąże konie i pozwoli ze mną.

Karol wkroczył do ciemnego wnętrza przesyconego zapachem skóry. Peabody zaprowadził go na sam koniec baraku. Tam w drewnianych stojakach połyskiwały dobre dwa tuziny sztuk palnej broni, począwszy od czternastostrzałowych winchesterów, poprzez remingtony, dubeltówki, a nawet stare, kentuckie rusznice o przeraźliwie długich lufach. Karol słyszał, że ongiś cieszyły się dużym wzięciem właśnie z powodu owych długich luf. Handlowano nimi wymieniając za skórki bobrowe, przy czym równowartością strzelby był stos skórek równy jej wysokości. Ale Karol wybrał winchestery. Uzgodnił cenę i osiem sztuk tej nowoczesnej broni kazał dobrze zapakować.

—Taka was tam gromada? — zdziwił się Peabody, a Karolowi wydało się nawet, że spojrzał nań podejrzliwie. — Ale słusznie pan wybrał taką broń. Doskonała do polowania, a przydać się może i do innych celów — tu przymrużył jedno oko. — Gadają o wojnie z czerwonoskórymi.

Gdybyż odgadł, komu ta broń miała służyć!

Karol opuścił Laramie dopiero koło południa. Nieco zasępiony z powodu ładunku, jaki wiózł. Nie miał już żadnych wątpliwości, że ta broń będzie rzadko używana w wyprawach myśliwskich. Zdawał sobie sprawę, że wnosi swój wkład w jakąś przyszłą, nie określoną jeszcze krwawą masakrę. Ale czy mógł odmówić prośbie To–imniża?

Do kryjówki swego towarzysza dotarł bezbłędnie, posuwając się wzdłuż brzegów rzeki Laramie. Mimo że Indianin jak zwykle miał kamienny wyraz twarzy, dostrzegł, że jest bardzo zadowolony. Zdradził mu to błysk radości w jego oczach. Złożył dokładną relację z zakupów.

—Tanka–czan wyświadczył wielką przysługę swemu czerwonemu bratu, ale o tym będzie wiedziało tylko kilku wojowników. Nie byłoby dobrze dla mego brata, gdyby wieść o tym nabrała rozgłosu.

Nie trzeba dodawać, że takie oświadczenie wcale nie uradowało Karola. Mimo tego zdecydował się na powtórną wędrówkę do Laramie. Inaczej przecież nie sprzedałby reszty skór spoczywających w jaskini.

Więc znowu ruszyli we dwóch. Karol liczył, że tym razem To–imniża nie obarczy go kłopotliwym sprawunkiem. Omylił się jednak.

Przed barak Peabody'ego zajechał tak, jak za pierwszym razem. To znaczy z indiańskim mustangiem na lince i z tobołami skór na jego grzbiecie.

Handlarz, wbrew przewidywaniom, nie zdziwił się. Zagadnął tylko o towarzyszy Karola, a potem żwawo zajął się segregacją skór. Teraz, bez Heartów, wycena przebiegała sprawniej, ale też — jak podejrzewał Karol — była chyba mniej rzetelna. Gdy już wszystko zostało obliczone, powędrowali, kupiec i klient, na koniec składu, gdzie Karol zakupił jeszcze dziesięć sztuk broni, nie gardząc nawet kentuckimi rusznicami. Nie miał już wyboru.

—Chyba uzbraja pan całą armię? — zauważył żartobliwie Peabody. — Mój arsenał został wyczyszczony co do ostatniej sztuki.

Karol oświadczył, że ekwipuje swą gwardię przyboczną, co zostało przyjęte jako doskonały dowcip. Natychmiast po zapakowaniu i załadowaniu towaru opuścił Laramie.

Później, już w górach Wielkiego Rogu, razem z To–imniża poddali dokładnym oględzinom przywiezioną broń. Była w doskonałym stanie. Odtąd To–imniża zabierał po trzy, cztery sztuki, odjeżdżał na swoim mustangu i wracał po kilku dniach. Powtarzało się to kilkakrotnie, póki ostatnia sztuka nie została wywieziona.

Dokąd? O to Karol nie pytał.

Na południe!

Tak właśnie przedstawiała się historia dni ubiegłych. Tych bardzo dawnych, tych dawnych i ostatnich paru tygodni.

To–imniża wywiózł zakupioną broń, odjechał, nie zapowiadając rychłego powrotu. Sezon polowań na futra skończył się, a mięsa Karol nie potrzebował wiele. Niekiedy miał go aż zbyt dużo. Jeśli nie wytropił zająca czy stadka dzikich indyków, strzelał do antylopy, łosia lub

wielkorogiego barana. Ale cóż miał poczynać z tak wielką ilością jedzenia, które w cieple wiosennych dni i nocy ulegało szybkiemu zepsuciu? Krajał więc mięso na pasy i — nauczony przez To–imniża — suszył je. Była to robota żmudna i mało pożyteczna w okolicy, gdzie roiło się od zwierzyny. Stos wysuszonych pasków rósł, a Karol krzepił się tylko nadzieją, że kiedyś ten „żelazny zapas" zostanie wykorzystany. Aż nadszedł taki dzień. O szarym przedświcie, gdy drzemały łąki i lasy, Karol wypchał juki suszonym mięsem i znajomym szlakiem zjechał ku dolinom. Co go do tego skłoniło? Nie dawała mu spokoju plotka zasłyszana w Laramie o nadciągającej wojnie. Dwukrotna podróż do fortu nie przyniosła żadnych wyjaśnień. Jednakże niebezpieczeństwo mogło nadciągnąć z innej strony. Karol postanowił to zbadać. Ruszył więc prosto na wschód, chcąc dotrzeć jak najbliżej Rzeki Prochowej i Missouri. Najkrótsza droga przecinała skraj Złych Ziem. Musiał więc zagłębić się, jak niegdyś, w labirynt kanionów i skał, gdzie tak trudno było o wodę, a jeszcze trudniej o zwierzynę. Suszone mięso bardzo się przydało.

Początek podróży wypadł pomyślnie. Przez łąki, doliny, brzegami bezimiennych rzek jechał w stronę wschodzącego słońca i kierunku tego nie zmylił nawet wówczas, gdy dzienna gwiazda stała u szczytu nieba i gdy chyliła się ku zachodowi. Nauczony przez To–imniża, strony świata rozpoznawał bezbłędnie, nie uciekając się do kompasu, bo go zresztą nie miał, ani do pomocy tajemniczej rośliny wskazującej północ, o której mu wspominał Samuel Heart. Wątpił nawet, czy taka roślina istnieje.

Nocami świeciła mu — wśród milionów innych — jego gwiazda i wydawało się, że to ona wskazuje właściwą drogę. Ziemia była cicha, znaczona tylko tropami jej czworonogich mieszkańców. Ani razu nie poczuł zapachu dymu, zwiastującego obecność człowieka. Jednak — w imię ostrożności — korzystał z każdego wzniesienia, aby dokładnie obejrzeć okolicę.

Zabrał ze sobą wampum, ale nie tęsknił za spotkaniem z czerwonoskórymi wojownikami. Takie spotkanie — jeśli Indianie rzeczywiście mieli zamiar wszcząć krwawą rebelię — mogło wypaść dla Karola kłopotliwie i przedłużyć niepotrzebnie jego wędrówkę. Dotarł wreszcie na obszary Bad Lands. Ale i tu, mimo bacznych poszukiwań, nie odnalazł ani ludzi, ani ich śladów. Po trzech dniach włóczęgi po skalistej pustyni doszedł do wniosku, że wieści zasłyszane w Laramie były tylko plotkami.

Uspokojony — wrócił.

Ten spokój został naruszony nagle i nieoczekiwanie nocną krótką wizytą To–imniża. To już nie była plotka. Indianin nie mógł się mylić. Więc cóż teraz? Karol uznał, że musi uzbroić się w cierpliwość i czekać na powrót towarzysza, na własną rękę niczego nie przedsiębiorąc. Wzmógł tylko ostrożność podczas samotnych wędrówek i polowań. Jakby w przeczuciu rychłego rozstania się z tym królestwem pierwotnej i pięknej przyrody codziennie odwiedzał swe ulubione miejsca: żeremie bobrów (które widocznie nie oswoiły się jeszcze z jego obecnością, bo nie wychodziły na brzeg); zakręt trzech dębów (tak go nazwał, bo stały tam trzy dęby zrośnięte pniami, niby znak ostrzegawczy przed pobliskim upłazem bardzo kruchej, obsuwającej się skały, za którą zaczynała się przepaść); samotną sosnę, jedyny okaz tego gatunku wśród morza świerków, z dużą dziuplą, w której mieszkała szarobiała sowa; ponure oparzelisko wśród równie ponurej doliny, gdzie najchętniej żerowały łosie; wreszcie — nagi grzbiet góry, porosły rzadką trawą i pokryty samotnymi głazami, gdzie upolował swego pierwszego barana.

Z tych wędrówek nigdy nie wracał z pustymi rękami. Niekiedy dźwigał drobną zwierzynę: zająca, dzikiego królika, indyka, kiedy indziej z trudem taszczył barana lub łosia. Często większe sztuki musiał ćwiartować i przenosić częściami. Potem zabierał się do krojenia i suszenia mięsa, coraz mocniej przekonany, iż ta żmudna robota nie pójdzie na marne.

Tak minęło siedem czy osiem dni (Karol stracił rachubę czasu). Któregoś bardzo wczesnego ranka obudziła go woń dymu. Schwycił broń i ostrożnie wyjrzał zza drzwi swej chaty—jaskini. Przy płonącym ogniu siedział To–imniża i z uwagą obracał improwizowany rożen, na którym tkwił spory kawał mięsa. Spojrzał na Karola i z powrotem zajął się pieczeniem.

—Nie chciałem budzić mego brata — powiedział nie odrywając oczu od ognia. — Musisz być wypoczęty, czeka cię daleka droga.

—Ho, ho — zaśmiał się Karol, ale jego śmiech nie wypadł szczerze. — Cóż ty mi wróżysz? Kiedy przybyłeś?

—W nocy.

—Spieszyłeś się — oblicze Karola spoważniało.

—Mój brat musi opuścić te strony.

—Już?

—Tak.

—Cóż takiego znowu się wydarzyło?

—Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Mila—hanska zgromadzili się w forcie Lincoln?

—Pamiętam.

—Już ich tam nie ma. Wkroczyli na nasze ziemie i idą tutaj.

—Więc mam uciekać? Mnie nie znajdą.

—Któż może wiedzieć?

—A jeśli nawet... niczym mi to nie grozi.

—Będziesz musiał przystać do nich jako przewodnik. Znam dobrze Mila—hanska i wiem, jak postępują.

Karol zasępił się. To–imniża mówił prawdę. Jeśliby istotnie żołnierze wdarli się w głąb Gór Wielkiego Rogu i znaleźli go tutaj, nie wywinąłby się od przymusowej służby zwiadowcy.

—Do licha! Więc każesz wyjeżdżać!

—Proszę cię. To dla twego dobra. Pamiętaj, że w zamęcie walki nikt nie będzie oglądał twego wampumu. Ta ziemia spłynie krwią.

Karol westchnął. Od dawna już nie czuł się tak źle, jak teraz.

—Kiedy? — zapytał krótko.

—Jak najszybciej. Sprawdź uprząż, obejrzyj konia. Czy masz dosyć żywności?

—Nasuszyłam mięsa przez ostatnie dni.

—Mądrze uczyniłeś. Siadaj i jedz.

Podał mu na ostrzu długiego i szerokiego noża plaster pachnącej pieczeni. Karol przyjął, ale pokarm nie chciał mu przejść przez gardło. Przewidywał taki ranek i taką wiadomość, a jednak był nią zaskoczony. Nadzieja, że „jakoś się wszystko ułoży” prysła.

—Czego oni od was chcą? — zapytał nie dostrzegłszy naiwności tego pytania.

—Mój brat na pewno sam już dawno to odgadł. Chcą zabrać nasze tereny łowieckie i zapędzić nas na ziemie, gdzie ani trawa nie rośnie, ani puszcza nie użycza cienia w skwarne

dni. Będziemy walczyć i wielu dzielnych wojowników przeniesie się do wiecznych ostępów. Howgh!

— Niech to... — wybuchnął Karol. — I jesteś pewien, że oni tu przyjdą?

— Któż zdoła wstrzymać bieg wielkiej rzeki? Niech mój brat pożywi się. Nie wiadomo, kiedy znowu będzie mógł zasiąść przy ognisku.

Takie oświadczenie do reszty odebrało Karolowi apetyt. Zmusił się do przełknięcia paru kęsów, a później zagotował czarną jak smoła kawę. Pili w milczeniu aż do chwili, gdy błysk czerwonej zorzy padł na skałę, pod którą siedzieli.

— Pora jechać — To–imniża wstał.

Karol poszedł do wnętrza chaty, potem do stajni. Wyprowadził konia, obejrzał dokładnie uprząż, nałożył na grzbiet wierzchowca, wypakował juki amunicją, pod którą ukrył woreczek ze złotym piaskiem, a resztę dopełnił płatami suszonego mięsa.

Dokonawszy tego przysiadł jeszcze na kawałku zrąbanego pnia, aby po raz ostatni rzucić okiem ku szczytom górskim i ku dolinom, krainie, którą — słusznie czy niesłusznie — przez prawie rok uważał za własne królestwo. A później, prowadząc konia za uzdę, zeszli ścieżką ku spadającym w dół piargom. Kiedy dotarli do podnóża góry, Indianin cicho gwizdnął. Ozwało się parsknięcie i zza skalnego załomu wybiegł mustang.

— Odprowadzę mego brata tam, gdzie już mu żadne niebezpieczeństwo grozić nie może.

— Dziękuję ci, To–imniża. Dokąd chcesz mnie skierować?

— Musisz jechać w stronę słońca, gdy sięga szczytu nieba, to jedyna pewna droga, inne są dla ciebie zamknięte. Pamiętaj. Ruszajmy.

Puścili konie galopem. Noc spędzili jeszcze przy wspólnym ognisku, zagubieni w beztroskiej, pustej i cichej równinie. Nazajutrz rozstali się.

— Kiedy cię ujrzę znowu, mój bracie?

To było ostatnie pytanie, jakie Karol zdołał wymówić przez ściśnięte gardło. Ale nie otrzymał odpowiedzi.

— Żegnaj — usłyszał tylko.

Karol obrócił koniem, a kiedy odjechał kilkanaście jardów, spojrzał za siebie. To–imniża tkwił nieruchomo na grzbiecie mustanga jak posąg odlany z brązu. Widząc, że Karol zatrzymał się, podniósł otwartą dłoń — na znak pokoju i przyjaźni — i wspiął konia do skoku. Daleka chmurka kurzu podniosła się za nim, a Karol czekał, aż postać jeźdźca zmaleje do wielkości szpilki i wreszcie zniknie.

Ruszył teraz przed siebie, na południe, a później ku południowemu wschodowi, drogą najprostszą poprzez koryta strumieni, przez doliny rzek, omijając masywy górskie.

Podczas samotnych godzin dnia i samotnych godzin nocy obmyślał swą przyszłą ścieżkę życiową. Zamarzył — nie po raz pierwszy — o spokojnymi życiu farmera, zamarzył o małym miasteczku pełnym gwaru ludzkich głosów, o szczękaniu kufli na blacie szynkwasu w saloonie, o turkocie ładownych wozów jadących po nierównej powierzchni wiejskiej drogi, o rżeniu tabunów koni i ryku długorogich teksaskich wołów. Miał już dość samotności.

Kierował się na południowy wschód nie zbliżając się do Laramie. Tak dotarł do Północnej Platte, wcale o tym nie wiedząc, bo na pustym brzegu nie znalazł nikogo, kto mógłby go poinformować. Przebył rzekę wypatrzywszy bród i nawet nie zamoczywszy butów. Wtedy ujrzał w dali, na zupełnym pustkowiu, pierwszy ślad ludzkiego życia: zagrodę dla bydła, a dalej domek. Pragnienie mu dokuczało — z mętnej wody w rzece nie skorzystał — dlatego

gdy dostrzegł przed domkiem studnię, zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Podszedł do drzwi domu, nieco uchylonych. Zastukał.

— Kto tam?

— Halo — odezwał się. — czy mogę skorzystać ze studni?

Usłyszał ciężki tupot butów. Drzwi rozwarły się. Ukazał się mężczyzna w kolorowej koszuli, z obliczem spalonym na mahoń i włosami przypominającymi ryżową szczotkę.

— Potrzeba panu wody? — zapytał przyglądając się bacznie przybyszowi. — Ależ oczywiście. Obok studni stoi wiadro, proszę sobie nabrać.

Spojrzał na Karola raz jeszcze i mruknąwszy coś na temat wiadra cofnął się i zatrzasnął drzwi. Karol poczłapał ku cembrowinie, spostrzegł blaszany kubeł ze sznurem. Spuścił go do studni, a gdy brzękło i zabulgotało w ciemnym wnętrzu, wyciągnął i postawił na krawędzi cembrowiny. Pił wolno, długimi łykami. Potem znów zapukał do drzwi. Ale otworzyło się już tylko okno.

— O co chodzi?

Pytanie zostało wprawdzie zadane mało uprzejmym tonem, lecz Karol tym się nie przejął.

— Jak się nazywa ta miejscowość?

— Dotychczas nie otrzymała nazwy.

— A co to za rzeka?

— Północna Platte.

— Gdzie leży najbliższe miasteczko?

— Cztery mile stąd z okładem. Nad rzeką.

— Jak się nazywa?

— Blowy Garden.

— Tyle tam wiatru? — spróbował zażartować, ale nie wywołał uśmiechu na ustach informatora.

— Bardzoś ciekawy, wędrowcze. Pojedź, to zobaczysz.

Dostrzegł, jak ręka wyciągnęła się ku antabie okna.

— Jeszcze chwileczkę! — zawołał. — Czy w tym Blowy Garden istnieje jaki bank lub kantor?

— A jest... ale dobrze pilnowany...

Okno zatrzasnęło się z brzękiem szyb, a Karolowi wydało się, że słyszy śmiech.

„Cóż to za dureń? — pomyślał ze złością. — Ani chybi wziął mnie za bandytę. Widać nie są to spokojne strony. Trzeba jak najszybciej pozbyć się złota".

Jeszcze tego samego dnia dotarł do Blowy Garden. Była to nędzna mieścina, raczej zalążek osiedla. Wjechawszy między dziwacznych kształtów budy, płoty i domki, ujrzał ulicę pustą, jakby ją wymiotło. Wreszcie posunąwszy się kilkanaście jardów dalej zauważył parę koni zaprzęgniętych do samotnego wozu, a później kilku mężczyzn podpierających płoty i gapiących się na cielaka, który podskakiwał skrajem drogi i szczypał nędzną trawkę. Samotni gapie nie wzbudzili w nim zaufania. Postanowił informacji zasięgnąć gdzie indziej. Wówczas wzrok jego padł na drewnianą wywieszkę razury.

„To coś dla mnie — pomyślał. — Przy okazji ostrzygę się i ogolę".

Pociągnął dłonią po policzkach, zatrzymał konia i przywiązał zwierzę do samotnego słupka wbitego przed drzwiami. I teraz zawahał się. W jukach siodła znajdowało się złoto. A

gdyby tak skradziono mi konia?! Aż spocił się na samą myśl. Ale wnosić złoto do fryzjera — to pomysł jeszcze gorszy. Przestąpił próg i zagadnął:

— Czy mogę zostawić zwierzę? Różnie niekiedy bywa...

Odpowiedział mu człowiek w białym kitlu i z pędzlem w ręku:

— Niech się pan nie obawia. Koniokradów u nas jeszcze nie było.

Przyjął to oświadczenie za dobrą monetę, ale postanowił możliwie jak najkrócej zabawić w tym lokalu. Spostrzegł dwa lustra i dwa fotele, jeden zajęty przez klienta o namydlonym obliczu, drugi — pusty. Zdumienie wywołał na jego twarzy widok pozostałej części fryzjerskiego zakładu: pod ścianą stał typowy dla wszystkich saloonów, długi szynkwas. Za szynkwasem sterczał sprzedawca w ongiś białym kitlu, a za sprzedawcą widniały półki pełne kolorowych butelek, kufli i szklanek.

Widać samo golenie i strzyżenie nie przynosiły wystarczającego dochodu, konsumpcja trunków miała go zwiększać.

Karol osunął się na wolny fotel.

— Zaraz panu służę — ozwał się głos zza szynkwasu.

Karol spojrzał w lustro i przestraszył się. Zobaczył oblicze zarośnięte, opalone, brudne.

„Wyglądam jak najgorszy włóczęga — stwierdził. — Nawet moje oczy świecą jakimś ponurym błyskiem. Nic dziwnego, że tamten farmer wziął mnie za bandytę".

— Służę panu...

Człowiek w brudnym fartuchu podał mu szklaneczkę w jednej czwartej wypełnioną płynem o barwie słomy.

— Ależ... ja chciałem się ostrzyc i ogolić...

— Zaraz to załatwimy. Widzę, że pan jest zmęczony i z dalekiej drogi. Nieco whisky dobrze zrobi.

— Niech będzie — mruknął rozbawiony i podniósł szklankę do ust. Poczuł ostry smak w gardle i miłe ciepło w żołądku. Ten napój nie był najgorszy. Zwrócił szklankę i pogrążył się w bezmyślnej kontemplacji odbicia własnej twarzy.

— Może umyć głowę?

— Dobrze, tylko szybko.

Bezwolnie poddawał się kolejnym zabiegom fryzjera, aż wreszcie — po prostu z nudów — zainteresował się prowadzoną obok rozmową.

— Tak, oczywiście — mówił obcy głos. — Pan się nie myli. Napadu dokonano o świcie, a wszyscy pasażerowie spali, stąd informacja o liczbie napastników jest wątpliwa. Czy skrócić włosy?

— Nie, nie są jeszcze takie długie — odparł drugi obcy głos. — Zatrzymali pociąg?

— Jednak warto by obciąć grzywkę. Pociąg sam stanął. Na małym przystanku. Nie uwierzy pan, ale tam nikt nie wsiada, zupełne bezludzie. To się nazywa... chyba Scottbluff albo coś podobnego.

— Nie, proszę nie strzyc. A jak się dobrali do ładunku?

— Wysadzili drzwi wagonu pocztowego. Dynamitem.

— Ho, ho! — zadziwił się drugi głos.

— Tak, tak, proszę pana. I wynieśli wszystkie skrzynki. Cała przesyłka była wieziona z Cheyenne do Omaha.

— Dużo tego?

—Dokładnie mi nie mówiono. Ale chyba sporo. Oni mieli wóz, proszę pana. Odkryto świeże ślady kół. Władowali skrzynki na wóz, inaczej nie daliby rady. Czy spryskać kolońską wodą?

—Dziękuję.

Skrzypnął fotel, zaszurały nogi, a po chwili trzasnęły wyjściowe drzwi.

—Co się stało? — zagadnął Karol.

—Napad, proszę pana. Zrabowano transport złota.

Nie pytał więcej, ale zrobiło mu się nieprzyjemnie. Pomyślał o własnym ładunku i o koniu stojącym przed domem.

—Czy już? — zniecierpliwił się nagle.

—Chwileczkę.

Spryskano mu twarz jakimś płynem o podejrzanym zapachu i piekielnie szczypiącym.

—Służę panu.

Spojrzał w lustro i kiwnął głową.

—Bardzo dobrze. Ile płacę?

—Pięć dolarów.

—Pięć dolarów? — powtórzył.

—Razem z whisky, to ustalona cena.

„To bezczelne zdzierstwo" — pomyślał, ale ponieważ pilno było mu wyjść, zapłacił bez słowa sprzeciwu.

Odetchnął ujrzawszy swego wierzchowca nadal uwiązanego do tego samego słupka. Cofnął się i uchylając drzwi zapytał:

—Czy tu jest jaki kantor bankierski?

—Oczywiście. Proszę się trzymać prawej strony. To niedaleko.

Ruszył we wskazanym kierunku, mijając bryczkę ciągnioną przez dwa konie, wóz farmerski, paru jeźdźców i grupkę przechodniów, jacy zatrzymali się przed drzwiami niskiego budyneczku, w poprzek którego, tuż pod dachem, biegł napis: „Bob Saloon", a później: „Golden Grain Belt Beers". Zapamiętał sobie to miejsce, ponieważ był głodny i śpiący, a liczył na to, że tutaj, jeśli nie ma w miasteczku hotelu, znajdzie jakiś kąt do drzemki.

Na koniec wzrok jego dojrzał wywieszkę: „Banking—house. Howe and Evans". Budynek był parterowy, ale murowany. Posiadał drzwi obite blachą i grubymi ćwiekami. Nacisnął klamkę. Nie ustąpiły. Zastukał. Usłyszał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Pisnęły zawiasy, w wąskiej szparze ukazał się kawałek twarzy.

—Proszę?

—Ja... — zaczął Karol, ale natychmiast przerwał i zapytał: — Nie można wejść?

—W jakiej sprawie?

Zdziwiło go takie pytanie. Zerknął w górę, żeby sprawdzić, czy istotnie znajduje się przed wejściem do bankowego kantoru.

—Mam złoto — poinformował ściszając głos. — Chcę je wymienić.

—Proszę poczekać.

Drzwi się zatrzasnęły. Był to zaiste dziwny sposób załatwiania klientów, ale postanowił poczekać i czekał. Dość długo. W każdej innej sytuacji po prostu odszedłby, ale teraz jak najszybciej chciał się pozbyć swego skarbu, zbyt trudnego do ukrycia w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku.

Wreszcie powtórnie zgrzytnęły zawiasy.

— Niech pan wejdzie.

Przywiązał wierzchowca do poprzecznego drąga wspartego na wbitych w ziemię palikach, wydobył z juków woreczek i z tym drogocennym ciężarem wkroczył do wnętrza. Było ono dość długim, lecz wąskim pomieszczeniem, przegrodzonym w połowie sklepową ladą. Za nią znajdowały się drzwi, a obok nich malutkie okienko przegrodzone na krzyż dwiema żelaznymi sztabami. Za ladą tkwił w głębokim fotelu chudy blondyn nieokreślonego wieku, w kamizelce i czarnych zarękawkach naciągniętych aż po łokcie na białą koszulę. Człowiek, który wprowadził Karola, wyglądał odmiennie. Był wyższy, bardzo potężnej tuszy, szeroki w barach, o tęgim karku i obliczu przypominającym psa rasy buldog. W sumie robił wrażenie niezbyt sympatyczne.

Karol zbliżył się do lady i położył na niej swój skarb.

— Chcę wymienić na pieniądze — wyjaśnił.

Siłacz, który do tej pory stał za jego plecami, przysunął mu krzesło.

— Chce pan przekaz na bank czy gotówkę? — zagadnął jakimś warczącym głosem.

— Gotówkę.

— Proszę rozwiązać woreczek.

Karol rozsupłał rzemyki. „Zarękawki" pochyliły się i wydobyły garść żółtego pyłu, wśród którego spoczywały dwie malutkie grudki rodzimego kruszcu.

— Ho, ho! Chyba trafił pan na prawdziwą bonanzę. Gdzież to było?

— W Czarnych Górach.

— No proszę. I nie lękał się pan wieźć tego taki szmat drogi?

— A gdzież miałem wymienić?

— Chociażby w Cheyenne.

— Nie jechałem tamtędy, zresztą... czy to takie ważne?

— Dla jednego ważne, dla drugiego nie — stwierdził zagadkowo człowiek o obliczu buldoga. — Pojmuje pan?

— Wprost przeciwnie: nic nie rozumiem. O co tu właściwie chodzi? — zdenerwował się Karol. — Jeśli nie chcecie kupić złota...

— Ależ owszem... — stwierdził łagodnym tonem człowiek w zarękawkach. — Chętnie nabędziemy, tylko że musimy zachować nieco ostrożności.

— Ostrożności! — wykrzyknął Karol. — Czy wy przypadkiem nie sądzicie, że to złoto zostało skradzione?

Nie otrzymał odpowiedzi, bo w tej chwili otworzyły się drzwi w ścianie za kontuarem i dwie nowe osoby wkroczyły do kantorku.

— To właśnie ten — powiedział człowiek idący nieco z tyłu i wskazał na Karola.

— Jestem szeryfem Blowy Garden — przedstawił się pierwszy, po czym siadł na ladzie i spojrzał ostro na Karola.

— Skąd pan przybył?

— Z dalekich stron.

Karol spróbował pytanie obrócić w żart.

— To nie jest odpowiedź — zauważył szeryf — Radzę panu sprawę traktować poważnie.

— Skoro pan tak twierdzi... ale ja nie mam o niej wyrobionego poglądu. O co właściwie chodzi?

— Wszystko się wyjaśni. Więc... skąd pan tu przybył?

Karol wzruszył ramionami:

— Z Gór Wielkiego Rogu.

— Szmat drogi i dzikie strony. Wielki z pana ryzykant.

— Być może — zgodził się Karol.

— A to złoto? — wskazał palcem na woreczek.

— Wydobyte z ziemi.

— W Górach Wielkiego Rogu?

— Nie. W Czarnych Górach.

— Nie rozumiem. Gdzież pan w końcu przebywał: w Czarnych czy w Wielkim Rogu?

— I tu, i tu. Złoto wydobywałem w Czarnych Górach, dokładnie w Custer City. Może się jednak wreszcie dowiem, o co chodzi?

— Dobrze. Przed trzema dniami napadnięto na pociąg i zrabowano transport złota. Słyszał pan o tym?

— Owszem, przed godziną, u fryzjera. Jeśli się nie mylę, posądzacie mnie, szeryfie, o udział w napadzie?

— Sam pan powiedział. A twierdzi pan, że jedzie ze złotem z Gór Wielkiego Rogu.

— Właśnie tak.

— Natomiast złoto znalazł w Czarnych Górach.

— Prawda.

— Dlaczego pan z takim ładunkiem wędrował na bezludzie? Przecież każdy stara się jak najprędzej przekazać złoto do banku.

— Właśnie w tym celu tu przybyłem.

— Miał pan po drodze szereg innych miast. Na przykład Cheyenne, tam istnieje bank.

— Ci panowie już mnie o to pytali — zirytował się Karol. — Nie jechałem przez Cheyenne! Chyba mi wolno?

— Oczywiście, tylko że to dziwnie wygląda.

— Nie widzę nic w tym dziwnego.

— Tak pan uważa? No, proszę! Znajduje pan złoto w Czarnych Górach, jedzie z tym skarbem do Gór Wielkiego Rogu, żeby wreszcie wylądować w Blowy Garden, w trzy dni po napadzie na pociąg. Przyzna pan, że wygląda to nieco podejrzanie.

— Powiedziałem prawdę.

— Hm... jednak muszę pana przesłuchać jako... podejrzanego.

— Właśnie pan to czyni. Od kilku minut.

— No... niezupełnie, to tylko taka rozmowa. Na przesłuchanie nieodpowiednie to miejsce. Muszę pana poprosić do siebie.

Opierać się nie było sensu, to tylko pogorszyłoby sytuację. Ruszył więc Karol pokornie ramię w ramię z szeryfem, który nie dał mu prowadzić konia. Podejrzliwy przedstawiciel władzy sam ujął cugle, poleciwszy uprzednio złoty skarb umieścić w juku.

Tak przewędrowali ulicę nadal pustą, co Karol przyjął z ulgą, bowiem asysta szeryfa krępowała go bardzo i wstydził się komentarzy przygodnych widzów, a takie na pewno byłyby wypowiadane, i to zapewne w tonie niezbyt przychylnym dla Karola.

Nie spotkawszy nikogo, szybkim marszem (Karol wyrywał, ile siły w nogach, a szeryf dostosował się do tego tempa) dotarli do celu, którym był samotny budyneczek o

okratowanych oknach. Szeryf wielkim kluczem otworzył drzwi, przywiązał konia do słupka i polecił Karolowi wydobycie z juku woreczka, po czym gestem ręki zaprosił go do wnętrza. Wyglądało skromnie, wręcz ubogo: stół, ława, dwa krzesła, bardzo zniszczony fotel na tle gołych ścian i wysokiej jak drzwi kraty, za którą widniał drugi mały pokoik. Karol prawidłowo domyślił się, że jest to chwilowa przystań dla różnych niespokojnych duchów, tymczasem — pusta.

— Niech pan siada, o tu... — zagaił szeryf zajmując miejsce po przeciwnej stronie stołu. — No więc... na czym to stanęliśmy? Pańska opowieść brzmi dość kiepsko.

— Jak mam to rozumieć? — oburzył się Karol.

— Ano tak, że trudno uwierzyć, by posiadacz takiej fury złota wędrował aż tak daleko, aby je sprzedać, a jeszcze trudniej uwierzyć, że z tym samym złotem jechał pan aż w Góry Wielkiego Rogu. Co pana do tego skłoniło?

— Chciałem zapolować — odparł Karol siląc się na spokój. — W Czarnych Górach nie ma już zwierzyny.

Zdał sobie sprawę, iż jakakolwiek wzmianka o To–imniża tylko pogorszyłaby sytuację. Szeryf uzna go za kłamcę obdarzonego bardzo bujną fantazją.

— Czy zna pan kogo, kto mógłby potwierdzić fakt, że był pan eksplorerem w Czarnych Górach?

Karola dosłownie „zatkało". Wytrzeszczył oczy nie wierząc własnym uszom.

— No, czemuż pan milczy? Nie jestem żadnym krwawym szeryfem i nie dybię na pańską skórę. Nawet pan wcale nie wygląda na bandytę, mówiąc szczerze, ale w takiej sytuacji...

Karol próbował się uśmiechnąć, jakoś mu to nie wyszło. Pomyślał, że gdyby szeryf ujrzał jego twarz przed wizytą złożoną fryzjerowi, na pewno miałby inne zdanie o wyglądzie zatrzymanego. Odetchnął głęboko.

— Przecież ja tu nikogo nie znam! Skądże panu wytrzasnę świadka? Zresztą... dobrze. Niech pan pojedzie do Custer City i zapyta o mnie właściciela tamtejszego saloonu, Patricka Musgrave.

Szeryf pokręcił głową:

— Nie, to na nic. Piekielnie daleko i...

Co chciał dalej rzec — tego Karol nigdy się nie dowiedział. Zdanie zostało w połowie przerwane głośnym tupotem butów po deskach i okrzykiem:

— Hej, szeryfie! Słyszałem... o, przepraszam. Sądziłem, że jesteście sami.

— Nie szkodzi, siadaj, Derek, i poczekaj chwilę.

Karol drgnął, odwrócił głowę.

— Karol! — wrzasnął przybysz. — Co tu robisz?

Tak, to był właśnie Derek Carty, nikt inny.

— Znacie się? — zainteresował się szeryf.

— Jeszcze jak! Razem szukaliśmy złota w Czarnych Górach. Mnie się nie udało, ale on nieźle się obłowił. O co chodzi, szeryfie?

— Och, głupstwo. Po prostu... pomyłka. Bardzo pana przepraszam — zwrócił się do Karola.

— Mogę odejść?

— Oczywiście.

— Chodź, Karolu. Wpadnę do was, szeryfie, później. A to co? — zapytał wskazując na pękaty woreczek spoczywający na stole.

— Właśnie moje złoto — wyjaśnił Karol. — Uznano, że brałem udział w jakimś napadzie na pociąg.

— To było tylko podejrzenie — zaprotestował przedstawiciel władzy. — Musiałem sprawę zbadać.

— To tak? — powiedział Carty. — Ej, szeryfie, pogniewamy się. Jak mogliście podejrzewać mego przyjaciela? Zabieraj, Karolu, swe złoto i chodźmy.

Wyszli.

— Kiedyś przyjechał?

— Przed dwiema albo trzema godzinami.

— Dokąd zmierzasz?

— Na południe. Im prędzej stąd wyjadę, tym lepiej.

W tym miejscu Karol opowiedział historyjkę z próbą wymiany złotego piasku.

— Gdyby nie ty, pewnie bym siedział teraz za kratą. Ten szeryf to cymbał!

— Hm, szeryf na pewno prochu nie wymyśli, ale to chłop poczciwy z kościami.

— Dziękuję za taką poczciwość — oburzył się Karol i zaraz dodał bez związku z poprzednim: — Nic nie jadłem od samego świtu...

— Ładna historia! No to chodź, chodź szybko. Bob nas nakarmi.

— Co za Bob? Chodźmy do saloonu.

— Właśnie o tym mówię.

Pociągnął go za ramię i nie puścił, póki nie zatrzymali się przed drzwiami, nad którymi widniał znany już Karolowi napis: „Bob saloon". Wkroczyli do wnętrza.

Niewielka salka była prawie pusta. Zaledwie dwu mężczyzn podpierało szynkwas, a dwu innych sączyło piwo przy stoliku.

— Bob! — krzyknął Carty w stronę białej postaci tkwiącej pod ścianą. — Dawaj, co masz najlepszego! Mój przyjaciel umiera z głodu. Siadaj, Karolu.

— Widzę, że świetnie się zadomowiłeś w tym Blowy Garden. Skąd ta znajomość z szeryfem?

— Mogę powiedzieć, że mu prawie uratowałem życie.

Karol uśmiechnął się:

— Co to znaczy „prawie"?

— No, bo niekoniecznie musiał zginąć. Mogło się skończyć na drobnym guzie lub połamaniu żeber. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Karol uśmiechnął się po raz drugi:

— Nie jestem ani o cal mądrzejszy po takim wyjaśnieniu.

— Ha, widzisz, ten szeryf kiepsko zna się na koniach i w ogóle... Któregoś dnia jechał bryczką i zaprzęg go poniósł. Na dobitkę wszystkiego wypuścił lejce z rąk. Wyobraź sobie parę spłoszonych zwierząt gnającą środkiem ulicy i ciągnącą za sobą bryczkę, która raz przechyla się na prawą, raz na lewą stronę. A w bryczce bezradny gość, który trzyma się poręczy i jest blady jak śnieg. To był właśnie szeryf.

— Czemu nie wyskoczył?

— To nie było łatwe. A myślę, że po prostu stracił głowę. Bo wyobraź sobie, bryczka miała hamulce i to niezłe. Wskoczyłem na stopień, pokręciłem korbką i to wszystko. Bardzo mi wtedy dziękował. Później pomogłem mu schwytać koniokrada...

— Koniokrada? — Karol parsknął śmiechem.

Carty przymrużył lewe oko:

— Człowiek nigdy nie przeczuwa, w jakiej sytuacji może się znaleźć. Ten koniokrad bardzo mnie wówczas rozzłościł, zupełny cymbał! Zapomniał dopiąć popręgów u siodła. Zdążyłem schwycić go za nogę i natychmiast zwalił się z całą uprzężą. Dobrze mu tak, na przyszły raz niechaj uważa.

Przerwali rozmowę, bo gospodarz podał jajka sadzone na wędzonym boczku, a do tego butelkę whisky. Wypili, ale następnej kolejki Karol odmówił.

— Co ci? — zaniepokoił się Carty. — Chory jesteś?

— Ale, tam... Strasznie chce mi się spać. Jedna porcja dobrze zrobi, ale przy drugiej zasnę.

— A cóż to komu szkodzi? Mam tu pokoik, wcale niezły. Chodź, odpoczniesz.

— Nie, nie. Nie mam zamiaru zostawać dłużej. Diabli wiedzą, co znowu temu szeryfowi strzeli do głowy.

— Nic mu nie strzeli, skoro wie, że ja cię znam.

— Tak ci ufa?

— Ba, chciał mnie zrobić swoim zastępcą.

— Nie! Doprawdy?

— Jak mnie tu widzisz! Ale już mam dosyć Blowy Garden i zamyślam wyjechać.

— Długo tu bawisz?

— Od kilku tygodni.

— A przedtem?

— Wędrowało się tu i tam.

— Przez całą zimę?

— Ach, gdzie ja nie byłem! Ale ty, Karolu, co teraz zamierzasz?

— Marzę o kawałku ziemi, na której mógłbym gospodarować. Już mi się znudziła włóczęga.

Carty zastanowił się chwilę.

— A wiesz, to dobry pomysł. Pojadę z tobą. Ciągle się spotykamy. Coś w tym musi być. Nie uważasz?

Karol wcale nie uważał. Zrobiło mu się zimno i gorąco na samą myśl wspólnej wędrówki z koniokradem, szulerem i Bóg wie czym jeszcze.

— Trzeba mieć trochę grosza — wtrącił — rozumiesz? Ziarno, narzędzia, materiał na budowę domu, a i ziemia nie jest za darmo.

— Nie martw się o mnie. A może lepiej kupić gotową farmę?

— Nie. Chcę przyłączyć się do jakiejś karawany osadniczej i zagospodarować dziewicze grunty. To taniej wypadnie, a poza tym liczę, że w gromadzie znajdę sąsiedzką pomoc.

— Świetnie! Bardzo mi to odpowiada.

Karol z trudem już ukrywał niepokój. Stowarzyszenie się z Cartym byłoby największym głupstwem, jakie można popełnić. Ale jak tu odmówić? Ten sympatyczny, mimo wszystko, koniokrad i oszust uratował mu życie w Custer (Karol nie wątpił w to ani przez sekundę), a przed chwilą wybawił z wielkiego kłopotu.

—Wyruszymy jutro — ciągnął Carty nic nie zauważywszy. — Najpóźniej pojutrze. Wcześniej nie mogę. Mam tu pewne zobowiązanie.

—Zobowiązanie? — zdziwił się Karol.

—Tak, rewanż. Widzisz... zbiera się tu co wieczór gromadka moich znajomych i skracamy sobie nudę grą. Wczoraj karta poszła mi nadzwyczajnie, obiecałem, że dam im dzisiaj możność odegrania się. Chyba rozumiesz?

—Oczywiście, a czyś ty w ogóle cokolwiek do nich przegrał?

—No, w sumie to raczej nie, odkąd bawię w Blowy Garden.

—Rozumiem — powiedział Karol i wpadł w jeszcze bardziej ponury nastrój, ponieważ już od dawna podejrzewał swego towarzysza o niezbyt dżentelmeńskie sposoby gry. Niech teraz przyłapią Carty'ego na oszustwie, to szeryf raz jeszcze zmieni swą decyzję. Jakąż wartość może przedstawiać świadectwo szulera?

—No i co, Karolu, zgadzasz się?

—Muszę się zastanowić.

—No to się zastanawiaj. Ja wpadnę do szeryfa. Może chcesz się przedrzemać?

—Nie, już mi przeszło.

Powiedział prawdę, groźba wspólnej wędrówki z Cartym wpędziła Karola w nastrój paniki — któż by w takiej sytuacji potrafił spać?

—Poczekaj tu na mnie. Jak będziesz się nudził, zamów sobie cokolwiek, na mój rachunek. Ja mam tu otwarty kredyt. Do zobaczenia!

Karol odczekał kilka minut, potem zapłacił cały rachunek, chociaż karczmarz początkowo nie chciał przyjąć pieniędzy („Jeszcze pan Carty na mnie się obrazi, jak mu o tym powiem!"). Opuszczając lokal, zatrzymał się na progu i rzucił w stronę właściciela saloonu:

—Jakby pan Carty mnie szukał, proszę powiedzieć, że musiałem szybko opuścić Blowy Garden. Będzie pan pamiętał?

Wziął konia za uzdę i poprowadził go skrajem drogi aż do miejsca, gdzie kończyły się ostatnie zabudowania. Wtedy przystanął i obejrzał się, cały spocony z wrażenia. Nigdzie jednak nie zauważył znajomej sylwetki Carty'ego, pewnie nadal tkwił u szeryfa.

Wskoczył na siodło i najpierw kłusem, później galopem ruszył na południe. Zmierzchało się i pierwsze gwiazdy poczęły pobłyskiwać na niebie. Nie była to najlepsza pora na podróż, zwłaszcza — po całym prawie dniu jazdy. Ale Karol wolał niebezpieczeństwa nocnej wędrówki niż jeszcze jedno spotkanie z Cartym. Czy można się temu dziwić?

W połowie nocy zatrzymał się na podmokłym uroczysku, rozsiodłał wierzchowca i noc spędził na jakimś suchszym pagórku, ale spał bardzo źle, budząc się co chwila. Tak dotrwał do świtu, potem ruszył dalej, jeszcze bardziej zmęczony niż poprzedniego dnia.

To była długa, bardzo długa podróż przez połacie nie tkniętych pługiem ziem, przez zagubione farmy, przez ulice małych miasteczek. W jednym z nich Karol szczęśliwie spieniężył swe złoto. Nie przydarzyła mu się żadna przygoda. Może to był tylko zbieg okoliczności, a może wpływ gwiazdy, jego gwiazdy, którą odszukiwał na niebie każdego wieczoru.

Aż w końcu któregoś popołudnia dostrzegł na pustej równinie ruchomy wąż wozów.

„Coś dla mnie — pomyślał. — Osadnicy, bo któż inny w tych stronach?"

Pędził, a wozy rosły mu w oczach. Dostrzegał już chmurki kurzu wzbijające się spod kół, spod kopyt koni i racic wołów, dostrzegał już jeźdźców kłusujących przy wozach.

Tak, to była osadnicza karawana, cel jego dalekiej drogi i początek innej, ale już nie samotnej, wędrówki.

KONIEC